

HENRYK BRANDT

PAMIĘTNIKI
OFICERA POLSKIEGO

(1808-1812)

przekład z niemieckiego

M.G.

z przedmową prof. SZYMONA ASKENAZEGO

Część I.

WARSZAWA

DRUKARNIA
A. T. JEZIERSKIEGO
47. Nowy świat 47.

1904.

PRZEDMOWA.

Od prof. Szymona Askenazego, znanego powszechnie badacza naszych dziejów najnowszych, otrzymaliśmy list w sprawie wydawanych w „Bibliotece” „Wspomnień” generała Brandta, w którym znajdzie czytelnik fachową, charakterystykę zarówno dzieła samego, jak i jego autora. List ten dajemy w całości, zamiast przedmowy:

Szanowny Panie Redaktorze!

„Pamiętniki gen. Brandta, obfite i interesujące z wielu względów, zasługiwałyby zewszecmiar na szczegółową analizę krytyczną, zamiast której mogę służyć w tej chwili jedynie paroma nastroczającymi się przygodnie uwagami poniższymi:

Pamiętniki niniejsze są w swoim rodzaju zjawiskiem całkiem wyjątkowym. Autor tych „wspomnień oficera polskiego” (jak zwykle bywają one powoływane wedle najbardziej rozpowszechnionej skróconej edycji francuskiej), oficer Księstwa Warszawskiego, ozdobiony krzyżem najstarszym polskim, towarzysz broni Chłopickiego i Poniatowskiego, był zarazem pruskim generałem piechoty, czynnym wykonawcą represji zbrojnej w Poznańskim w 1848 r. i przyjacielem osobistym późniejszego feldmarszałka Moltkego. Naprawdę należał on do owego pośredniego, pogranicznego, w gruncie rzeczy bardzo tęgiego i podatnego do asymilacji, żywiołu niemiecko-polskiego, z kąd to swego czasu, na potężnym ogniu wielkich przewrotów polityczno-wojennych w przełomie XVIII a XIX stulecia, tyłu najlepszych wypaliło się Polaków. Zapewne, Brandt nie posiadał w sobie materiału, aby zostać Fiszerem. Przyszedł za późno, z rodziny czysto niemieckiej, bez żadnych tradycji polskich, z ojca urzędnika pruskiego na najwcześniejszą zagarniętą w pierwszym zaraz podziale ziemi polskiej, związany też z tą ziemią samym tylko trafunkiem urodzenia i przypadkiem dalszych okoliczności publicznych i prywatnych. Mimo to wszystko był już na najlepszej drodze, by zostać dobrym Polakiem. Ale on przedewszystkiem był żołnierzem, odważny, roztropny, nawet lojalny, przeniknioty

6

wysokiem poczuciem obowiązku i honoru, lecz poczuciem ściśle, zanadto zawodowym; a był zresztą z ukształcenia i stosunków zanadto związany z kulturą niemiecką, aby polska mogła w nim przeważać. Koniec końcem, z jego powrotu do niemieckości niepodobna mu uczynić poważnego moralnego zarzutu. Można tylko z ubolewaniem stwierdzić, że to wyrobienie osobiste i wojskowe, jakie w znacznej mierze służbie polskiej zawdzięczał, miało nietylko wyłącznie na pruski pójść użytek, lecz nawet wprost przeciw sprawie polskiej zostać obrócone.

Brandt urodził się w 1789 r., w b. Prusach Królewskich, gdzie ojciec jego, człowiek średniej zamożności, a obarczony nader liczną rodziną, był *Amts Rathem*. Młody chłopak posłany był na nauki do Królewca, do liceum, później na wydział prawny uniwersytetu. Ztąd, podczas nadzwyczajnych zaciągów, przedsięwziętych na gwałt po klęsce jenańskiej 1806 r., wzięty był jako chorąży do armii pruskiej. Zostawszy jednak, niebawem, po Tylży, poddanym Księstwa Warszawskiego, wszedł w stopniu podporucznika do legii Nadwiślańskiej polskiej. Pamiętnikarz dość niewyraźnie przechodzi nad tym epizodem do porządku dziennego, zrzucając z siebie wszelką w tym względzie inicjatywę. Jednakowoż, choć przyznać się do tego oczywiście było zresztą dość niezręczną dla późniejszego generała pruskiego, stać się to chyba nie mogło bez pozytywnych starań z jego strony. Był zapewne olśniony fortuną Napoleona i młodego Księstwa, nie miał wtedy żadnego powodu kochać powalonych, poniżonych Prus, a miał przed oczyma ojca, który stracił urząd, i kilkonaścioro rodzeństwa bez środków utrzymania: była dla niego służba polska śród tak ich warunków jedyną deską ratunku. Byłaby więc tutaj całkiem na miejscu większa otwartość pamiętnikarska. Skromniejszy daleko, mniej utalentowany i mniej ciekawy, ale dużo też prostszy pamiętnikarz, będący podówczas w całkiem analogicznym położeniu, Stanisław Broekere, nierównie jaśniej i sympatyczniej z zupełnie podobnej tłomaczy się decyzji. Broekere był pod względem wieku najściślej rówieśnikiem Brandta, był tak samo polskim Niemcem, albo raczej niemieckim Polakiem, tak samo w 1806 r. został junkrem pruskim, tak samo potem był w Hiszpanii w służbie polskiej i tak samo swoje pamiętniki spisywał w języku niemieckim; ale był urodzony w 1789 r. w Wielkopolsce, więc jeszcze pod Rzplątą, przed drugim podziałem, miał tradycje domowe polskie (był zresztą katolikiem, nie luteranem jak Brandt), i poprostu oświadcza, że, wzięty ze swoim regimentem pruskim w kapitulacji magdeburskiej 1806 r., postanowił sobie od razu wrócić in *mein Vaterland Polen... in den preussischen Dienst wollte ich aus gewissen Gründen nie wieder eintreten*. To też Broekere skromnie umarł śród nas w Warszawie

7

i leży pod zatarty m napisem na Powązkach, kiedy natomiast Brandt zamknął oczy w Berlinie, jako wysoki dostojnik armii pruskiej i doczekał się pochlebnego nekrologu w sztabowym *Militärwochenblatt*.

Do Hiszpanii przybył Brandt w chwili ważnej, kiedy mianowicie Napoleon rozpoczynał tam swoją słynną kampanię zimową 1808/9 r., mającą powetować ciężkie niepowodzenia z lata t. r. Posiadamy dość obfitą literaturę pamiętnikarską, dotyczącą walk polskich w Hiszpanii, użytą jeszcze ostatnimi czasy w nader nieudolnej kompilacji Sulimy „Polacy w Hiszpanii” (1888). Należy jednak tę literaturę uznać za niewystarczającą dla dwóch powodów. Nasamprzód są to, z małemi wyjątkami, relacje uczestników niższych stopni (Mroziński, Dobiecki, Wojciechowski red. Leona Potockiego, Broekere, Załuski i t. d.), pozbawionych

więc tem samym możności należytego ogarnięcia całokształtu większych operacji. Chłopicki, oczywiście najpowołany tu referent, napisał wprawdzie na długich swoich wczasach w Krakowie obszerną pracę pamiętnikarsko-militarną, lecz, niestety, te nieoszacowane, blisko stoarkuszowe swoje pamiętniki, o których wartości daje pojęcie dochowany ułamek o bitwie pod Epilą, spalił w chwili zaniepokojenia w 1846 r. Powtóre, z pierwszorzędných źródeł obcych, oprócz starych relacji Gouvion-Saint-Cyra, Sucheta, Foy, Napiera i t. d., nie zostały jeszcze dostatecznie wykorzystane najnowsze, niekiedy arcydoniosłe przyczynki. Z tych nowych źródeł, oświetlających wiele kwestyj z nowej strony (zwłaszcza z najmniej uwzględnianej dotychczas strony hiszpańskiej, która przecież w tym wypadku zewszecmiar zasługuje na sprawiedliwą uwagę), należy wymienić: wielkie wydawnictwo dokumentów ministerium wojny w Madrycie *Historia militar de España 1808 — 14* (10 t., 1886); źródłową monografię Andrada o gerylasówce 1809 — 10 (2 t., 1893); świeżo wydobytą bardzo ciekawą pracę Jominiego *Guerred' Espagne* (wyd. *Revue milit. suisse*, 1892); pamiętnik marszałka Jourdana (1899), a przedewszystkiem kapitalne wydawnictwo sekcji historycznej

sztabu generalnego francuskiego ogłoszone przez komendanta Balagny *Campagne de l'Empereur Napoléon en Espagne*, biegnące koleją dokumentów bez przerwy z dnia na dzień operacji, a w świeżo wydanym t. III (1903; doprowadzone do 23 grudnia 1808 wieczór (resp. do 26 stycznia 1809 r.).

Relacja pamiętnika Brandta o Hiszpanii odznacza się wysokimi zaletami. Jest wiarogodną pod względem samej treści, a sympatyczną pod względem nastroju. Autor opisuje przeważnie wypadki, w których sam uczestniczył, a opisuje jasno, ściśle, spokojnie, z krytyką roztropną i przekonującą. Broni polskiej oddaje sprawiedliwość zupełną, bierze ją, gdzie należy, w skuteczną obronę bądź przeciw

8

zarzutom, bądź przeciw niedocenieniu jej zasług przez historyografię francuską (szczególnie z powodu opisu pamiętnikarskiego marszałka Sucheta). Z wielkiem, żalosem uznaniem, nawet wprost weneracją odzywa się Brandt o niepospolitych czynach Chłopickiego, który poniekąd staje się właściwym bohaterem tych pamiętników. Jest tu mnóstwo szczegółów, wystawiających w najpiękniejszym świetle wspaniałą postać Chłopickiego; a są też inne, bardzo zastanawiające, a odsłaniające, obok niezrównanej sprawności bojowej, głębokie braki w indywidualności militarnej generała. Umiał on zresztą wcześniej poznać się na zdatości Brandta — (z którym jeszcze pod koniec życia w przyjacielskim pozostawał stosunku) — i wyjątkowem obdarzył go odznaczeniem: za brawurę, okazaną w potyczce pod Villelem, 16-go lutego 1810 r., przedstawił go Fryderykowi-Augustowi do Krzyża wojskowego

virtuti militari (patent z 26-go listopada t. r.). Był to podówczas jedyny wypadek w armii polskiej, że prosty podporucznik otrzymał ten stopień nagrody, udzielanej zazwyczaj wyższym oficerom. Skromna prostota, z jaką Brandt w swoich pamiętnikach dotyka tego epizodu, czyni wrażenie nader dodatnie. Co zaś najsympatyczniej uderza w całej jego opowieści, ściągającej się do tych wypadków, to widoczne w nim głębokie przejęcie się *esprit de corps*, szczerze zsolidaryzowanie się ze sławą i dobrem imieniem tych szeregów polskich, gdzie on służył. Z naciskiem podnosi pamiętnikarz, w porównaniu z bezwzględnością francuską, zaszczytną wyższość zachowania się w Hiszpanii Polaków, ich większą karność i ludzkość, wdzięcznie odczuwaną przez nieszczęsną ludność miejscową. Było tak niewątpliwie i z tego cieszyć się należy. Ale niepodobna nam zamykać oczu na odwrotną stronę medalu. Różnica była, i chwalebna, ale zawsze tylko względna. Postępowanie Polaków w Hiszpanii było nierównie lepsze niż Francuzów, przecie dobrem nie było, bo być nie mogło. Ciało oficerskie polskie na ogół zachowywało się wzorowo, ale w szeregowiecach wieloletnie zacięte walki z nieubłaganym przeciwnikiem wytworzyły, pod wpływem bezpośrednich wzorów francuskich, dosyć krzywdzącej brutalności. Jeśli miło nam czytać u Brandta, że Hiszpanie, doznawszy dobroduszości żołnierza polskiego, odzywali się: *que buena gente los Polacos*, nie możemy jednak zapomnieć, że nazywano tam także Polaków *los infernos*. Udział Polaków w wojnie hiszpańskiej był niezawodnie koniecznością, ale jedną z najdotkliwszych. Wojna była zła, niesprawiedliwa. Wiadomo powszechnie, z jakim okrucieństwem z obu stron była prowadzona; lecz dopiero z nowszych źródeł hiszpańskich, a nawet francuskich możemy wytworzyć sobie pojęcie o tym ogromie krzywdy i gwałtu, jaki wtedy zwalono na ludność półwyspu, borykającą się

9

o swoją niezawisłość narodowy. Zapewne, były tam i dzikie zbrodnie gerylasów, i fanatyzm, i inkwizycya; ale to wszystko błędnie, kiedy się ogląda tę niesłychaną presję policyjno-wojskową, wywieraną na całym narodzie, od ludu prostego, niszczonego doszczętnie, aż do arystokracji hiszpańskiej, narzuconej sprawie napoleońskiej przy pomocy denuncyantów, żandarmów, czynnego przymusu na najlepszych ludziach, nawet na najpierwszych patriotycznych kobietach Hiszpanii. Sprawa hiszpańska, to plama w dziejach napoleońskich. Broń polska w tej sprawie musiała uczestniczyć, na to nie było rady, tak chciała nieodparta konsekwencya losów krajowych; lecz będzie to zawsze, mimo całą niepożyłą chwałę zbrojną, wspomnienie bardzo bolesne.

Opis kampanii 1812 roku, opracowany przez Brandta, jest z rozlicznych względów nauczający, oświetlając dobitnie błędy nie tylko Napoleona, ale i kwatery głównej rosyjskiej — choć wypada tu podkreślić, czego nie mógł wiedzieć pamiętnikarz, że Kutuzow, kiedy zwiastował pościg za armią francuską, działał w pewnej mierze świadomie, nie bez głębszych pobudek politycznych. Szczegóły, dotyczące zatargu między Napoleonem a księciem Józefem, wymagałyby sprostowania w świetle innych znanych przyczynków bezpośrednich, a zwłaszcza niewydanej korespondencji Poniatowskiego. Początek tego zatargu należałoby właściwie odnieść dalej wstecz, jeszcze aż do odrzucenia pierwotnego planu kampanii podolskiej, przedstawionego przez ks. Józefa w Paryżu latem 1811 r.; zaś wedle naocznego świadectwa Sołtyka, porozumienie nastąpiło jeszcze przed wzięciem Smoleńska.

Stronę wysoce dodatnią tej części Pamiętników Brandta stanowi ich wczesna geneza. Wprawdzie wniosek wręcz przeciwny o nader późnem ich powstaniu mógłby nasunąć się na pierwszy rzut oka skutkiem niektórych wzmianek tekstu. Jest tu krytyka pamiętników Sucheta, wydanych w 1828/9 roku; są luźne szczegóły odnoszące się aż do 1852 i 1854 r.; gdzieindziej znów jest zwrot: „w lat czterdzieści po napisaniu tego (Pamiętników) czytam wspomnienia marszałka Marmonta” — co ze względu na ukazanie się rzeczonych „Mémoires” ks. Raguzy w 1857, wobec prawdopodobieństwa, że musiały się one zaraz dostać do rąk Brandta, kazałoby znów odnieść pierwotną redakcję do r. 1817. W rzeczywistości jednak całe Pamiętniki niniejsze oparte są na obszernych dziennikach, spisywanych w czasie marszu (*Marschbemerkungen*), a więc niemal ściśle spółcześnie z opisywanemi wypadkami. Na podstawie tego materiału redagował on następnie z wielką starannością, poprawiał i przerabiał swoją relację, która oczywiście tym sposobem zyskuje znakomicie na wartości źródłowej. Jednocześnie

10

zresztą osiągniętą była sama już rozumowana redakcja w głównych przynajmniej rysach, o czem świadczy ta okoliczność, że część opisu, pokrywająca się doskonale odpowiednim wstępem Pamiętników, ukazała się znacznie dawniej w jednej z pierwszych prac autora „*Ueber Spanien mit besonderer Hinsicht auf einen etwaigen Krieg*“ (1823). Dodajmy, że później jeszcze Roman Załuski do swej pracy o Chłopickim w Hiszpanii (1856) korzystał z informacji, udzielonych mu przez Brandta.

Brandt odbył kampanię saską 1813 r. w korpusie VIII Poniatowskiego; raniony pod Lipskiem dostał się do niewoli rosyjskiej; w 1815 r., zalecony przez Chłopickiego, wstąpił do pułku liniowego armii Królestwa Polskiego, lecz wkrótce namyślił się i wziął dymisję. Mogła wpłynąć na to okoliczność, że folwark ojcowski pod Strzelnem przy demarkacji odszedł do Księżtwa

Poznańskiego; zapewne jednak było to też w związku z masowymi dymisjami 1816 r., wywołanymi przez W. Ks. Konstantego (a być może także w związku z akcją generała Kosińskiego, celem uformowania wojsk autoramentu polskiego w armii pruskiej?). W 1817 roku wstąpił Brandt do XI pułku piechoty pruskiej w stopniu kapitana; przez lat dziewięć konsystował w drobnych garnizonach pogranicznych w Poznańskim i na Szląsku; w 1828 przeszedł na profesora do Szkoły wojskowej w Berlinie; ztąd w 1830 do sztabu jeneralnego. W grudniu 1831 użyty był specjalnie do robót informacyjnych, dotyczących rewolucji listopadowej i wojny polsko-rosyjskiej, i wnet z feldmarszałkiem Gneisenauem, jako wodzem naczelnym zmobilizowanych czterech korpusów zachodnich, udał się do Poznania. Ztąd w marcu 1831 r. wyprawiony był z misją poufną do obozu rosyjskiego, Dybicza w Siennicy. Relacje Brandta o tym okresie są nazbyt skąpe, nacechowane zbyt śpiesznie dyskrecją urzędową. Bądź co bądź, uzupełniają one znane z kądziąd wiadomości Canitza, Gneisenaua i innych. Z wielką a słuszną surowością odzywa się Brandt o strategii polskiej; wprost nie poznaje w dzisiejszym dyktatorze swego Chłopickiego, ani dzielnych swoich towarzyszy broni w Skrzyneckim, jego doradcach i podkomendnych. Upokarzające to doprawdy uczucie wyobrazić sobie tych rzeczoznawców pierwszorzędnych — szefem sztabu Gneisenaua był wtedy w Poznaniu sławny Clausewitz — śledzących z gorączkowym zajęciem operacje w Królestwie i zdumiewających się nad nieporadnością generalicyi polskiej. Podnieść należy zupełne prawie przemilczenie przez Brandta sprawy głównej: gotowego już planu pruskiego wkroczenia do Królestwa, oczywiście celem okupacji go w obrębie słynnej „*Kwesebecker Grenze*”. Raz tylko wyrwała się Brandtowi luźna wzmianka, iż Gneisenau miał rozkaz *auf Gewisse*

11

Eventualitäten sofort in Polen einzurücken. Z kądziąd przecie wiadomo, że rzecz bardzo daleko już była posunięta: posiadamy formalny memoriał Gneisenaua do Fryderyka-Wilhelma z początku kwietnia, zaraz po Dembem i Iganiach, projektujący natychmiastowe wkroczenie z korpusami V i VI, w 51-tysięcy ludzi i 144 dział, za którymi miał podążyć korpus I.

Clausewitz nadzwyczaj palił się do tej akcji. Zresztą niebawem, po nagłym zgonie Gneisenaua, sam twórca owej projektowanej „*Grenze*”, generał Knesebeck we własnej o sobie objął dowództwo naczelne w Poznaniu. Arcynaiwna ta sprawa, związana bezpośrednio ze społecznym, własnoręcznym memoriałem cesarza Mikołaja I-go, biorącym już na seryo na uwagę cesyę części Królestwa do Prus, zyskuje na oświetleniu w nader tutaj ułamkowych, lecz bądź co bądź ciekawych notatkach Brandta, nauczających jeszcze i z tego względu, że stwierdzają one najpozytywniej we wszystkich szczegółach znany fakt systematycznego prowiantowania armii bojowej rosyjskiej z magazynów pruskich w Elblągu, Toruniu, Gdańsku, Królewcu.

Druga misja Brandta do Paskiewicza, po wzięciu Warszawy dotyczyła już sprawy przyjęcia wojsk polskich, które przekroczyły granicę pruską. Wiadomo, jak fatalną okazała się dla tych nieszczęśliwych pruska gościnność. Brandt bezpośrednio miał do czynienia z aktem kapitulacji i z całą tą opłakaną sprawą. Usiłuje on rehabilitować władze pruskie; a nawet ogłoszona w tym celu półoficyjalna bezimienna broszura *Die Polen in und bei Elbing* (1832, też po francusku.) jego jest pióra. Wprawdzie dalecy jesteśmy od tego, aby brać dosłownie wszystkie zarzuty uczynione ze strony polskiej przez głowy gorące, jak Bem, Czyński i t. d. (*Verfahren der preus. Militärbehörden gegen heimathlose Polen; Actenstücke und Belege über Bruch der Neutralität Preussens* i t. d.); a mamy też w części dowody, stwierdzające nie małą winę opieszałości Rybińskiego; w każdym razie dosyć jeszcze pozostaje faktów nie wątpliwych a haniebnych do potępienia nieludzkiego zaiste i nieuczciwego zachowania się władz wojskowych pruskich w tym tragicznym epizodzie.

Brandt, posunięty w 1842 r. na pułkownika, w marcu 1848 r. na dowódcę X brygady piechoty w Poznaniu, w tym charakterze pod rozkazami gen. Colomba uczestniczył w zbrojnym stłumieniu ruchów powstańczych w Poznańskim. 29-go kwietnia t. r. zniósł on pod Książem oddział Floryana Dąbrowskiego, co nie przyszło z wielką trudnością, skoro miał około 6,000 regularnego wojska na niespełna 1,000 powstańców. Od 1850 r. był komendantem Poznania, później dowódcą X dywizyi tamże. W 1857 r. wziął dymisję w stopniu generała piechoty; otrzymał też wtedy, z okazji 50-letniego jubileuszu służby wojskowej, stopień doktora *honoris causa* od

12

uniwersytetu królewieckiego. Zbliżony do Moltkego, żywo popierał sprawę reorganizacji armii pruskiej i energicznie w tym duchu przemawiał w sejmie pruskim, dokąd kilkakrotnie z Poznańskiego był obierany. Umarł w Berlinie w styczniu 1868 r. Zostawił liczne pisma polowe, stawiające go w pierwszym rzędzie społecznych teoretyków wojskowych. Wartość kapitalna przypisywana jest przez znawców jego *Taktik der drei Waffen* (1833; liczne edycje i przekłady, nawet na język japoński); cenione również *Der kleine Krieg* (1837), oparte na doświadczeniu polsko-hispańskim. Ogłaszał też pomniejszych pisma okolicznościowe: tak z powodu wojny polsko-rosyjskiej wydał *Der Feldzug der Russen und Polen zwischen Bug und Narew im J. 1831* (1832), gdzie zresztą z wielką odzywa się wstrzeźliwością (istotne zdanie ówczesnych sztabowców pruskich znacznie później dopiero zostało ujawnione w wyd. w 1888 r. piśmie jego kolegi, asystującego wtedy kwaterze głównej rosyjskiej, pułk. Canitza *Der russisch - polnische Krieg*). Podobnież z powodu przesilenia krymskiego ogłosił *Ruslands Politik und Heer in den letzten Jahren* oraz *Warum müssen wir neutral bleiben*, trzymając się i w tej ważnej sprawie, jako też w sprawie konfliktu sejmowego z powodu reorganizacji armii, najściślej kierunku polityczno-militarnego, wskazanego przez Bismarcka i Moltkego. Pamiętniki niniejsze doczekały się dwóch edycji (1868 i 1870); część pierwsza tłum. na język francuski, przez bar. Ernoufa p. t. *Souvenir d'un officier polonais. Scenes de la vie militaire en Espagne et en Russie* (1877), i polski „Wspomnienia z wojny w Hiszpanii i Rosyi” (1878). W rękopisie pozostał ciąg dalszy dzienników, gdzie zapewne znalazłoby się sporo interesującego nas bezpośrednio materiału o stosunkach poznańskich, a zwłaszcza 1848 r. tem bardziej, że Brandt aż do końca utrzymywał zażyłe stosunki z wieloma domami polskimi (np. z Radziwiłłami); lecz ogłoszenie tych ustępów rodzina pamiętnikarza uznaje jeszcze za przedczesne.

Szymon Askenazy.

Poprzestajemy obecnie na pierwszej części „Wspomnień” Brandta; dwie pozostałe, obejmujące czasy 1828 — 1838 i 1848 — 1857 r., wyjdą później.

W Hiszpanii.

I.

Dziecinne lata. — Szkoły. — Pogrzeb Kanta. — Królowa pruska w Memlu (1807). — Marszałek Davoust. — Blücher i Schill. — Zostaję podporucznikiem w Legii Nadwiślańskiej (1808). — Pochód do Francji. — Sedan. — Arcis sur-Aube. — Wspomnienia Dantona. — Bordeaux i dom Montaigna. — Bajonna. — Kąpiele Napoleona w Biarritz. — Wejście do Hiszpanii.

Urodziłem się w r. 1789, w małej wioseczce Łąki, położonej w dawnej prowincji Prus Zachodnich, podczas podróży moich rodziców. Wyprowadzono z tego wniosek, że będą miał życie burzliwe.

Początkowe nauki przeszedłem w domu rodziców, gdzie kilku nauczycieli zajmowało się kształceniem jedenaściorga dzieci.

W dziewiątym roku życia pojechałem z trzema starszymi braćmi do liceum w Królewcu w Nowej Marchii, gdzie w owym czasie uczyło się wiele młodzieży z Prus Zachodnich i Południowych. Nauczyciele w liceum byli dobrzy, uczciwi ludzie, ożywieni jak najszlachetniejszymi chęciami względem powierzonej im młodzieży. Po upływie czterech lat, gdy moi starsi bracia zdali ostatnie egzaminy i przerwali się na uniwersytet do Królewca w Prusach, pojechałem i ja z nimi i wstąpiłem tam do szkoły (*Alstädtische Schule*), w której dyrektorem był Haman. Wykłady w primie, prowadzone przez

14

dyrektora, były świetne. Rzadko można spotkać kogo, kto by tak jak on, umiał swoich uczniów zachęcić i zjednać. Zachowałem we wdzięcznej pamięci tego zacnego człowieka i w 1811 r., podczas oblężenia Murviedro w Hiszpanii — starożytnego Saguntu, posłałem mu szkic tamtejszego zamczyska, z kilku słowami zapewnienia o moim głębokim szacunku.

Najwybitniejszym wspomnieniem, jakie zachowałem z lat szkolnych, jest pogrzeb Kanta, w którym brałem udział jako uczeń primy. Na widok małej trumny, obitej czerwonym aksamitem ze srebrnymi ozdobami, otoczonej uniwersytecką młodzieżą, wszyscy odsłaniali głowy, a głęboka cisza zebranych tłumów podnosiła uroczysty nastrój tej chwili. Dużo od tej pory widziałem pogrzebów królewskich i książęcych. Ale nigdy nie spotkałem równie głębokiego, religijnego skupienia wśród tak licznych tłumów.

W r. 1805 opuściłem szkoły z dyplomem (*Testimonium maturitatis*) i wstąpiłem na uniwersytet w Królewcu, na którym poprzedziło mnie trzech moich braci. Ojciec chciał mnie wykierować na prawnika. Podczas pierwszego semestru zachowywałem się tak, jak większość początkujących studentów, to jest zajmowałem się zupełnie czem innym, nie nauką. Podczas drugiego semestru próbowałem pracować, ale miękko. Co mnie zajmowało najwięcej, to język francuski i czytanie dzienników. Geniusz i powrodozenie nowego cesarza Francuzów budziły we mnie zapał, podzielany przez większość moich kolegów. Kolejne wojny 1805 r., o której otrzymywaliśmy ciągle wiadomości, poddanie się Ulmu, wejście Francuzów do Wiednia, bitwa pod Austerlitz i pokój Wiedeński, zdumiewały, zachwycały naszą młodzieńczą wyobraźnię. Najście terytorium pruskiego w Anspach (październik 1805), wytrzeźwiło nas na chwilę; wszyscy przewidywali

15

natychmiastowe zerwanie. Wiadomość o zajęciu Hanoweru uspokoiła chwilowo wzburzenie. Zdawało się, że Prusy wyjdą z tego zatargu z honorem, powiększywszy swoje posiadłości. Ale niebawem widnokrąg zachmurzył się nanowo.

Pamiętam — jakby to było wczoraj — wzruszenie a raczej wzburzenie ogólne, kiedy do Królewca doszła wiadomość o klęsce, poniesionej przez naszą armię pod Jeną. Na zebraniach studenckich czytywaliśmy głośno gazety i listy prywatne. Czytania te wywoływały komentarze, nieuniknione rozprawy, oblewane obfitości libacjami. Wtedy już studenci pochodzenia polskiego którzy dotąd uważali się za Prusaków Południowych i Litwinami. Nawet Gdańszczanie utworzyli osobną grupę i tylko studenci z prowincji z dawniejszych prowincji pruskich zachowali pruskiego ducha podobnego do nastroju, jaki panował później — w roku 1813. Wszyscy chcieli brać się do broni, sypały się mowy, wiersze i wezwania. W początku listopada przybył do Królewca fligel-adjutant królewski, v. Bronikowski, z poleceniem zorganizowania nowych oddziałów w Prusach królewskich. Ofiarowywał on dobrze urodzonej młodzieży stopnie oficerów w batalionach tymczasowych. Stawiło się na jego wezwanie mnóstwo studentów, a w ich liczbie i ja. Zostałem przyjęty w stopniu chorążego do drugiego batalionu Prus Wschodnich. Posłano nas na naukę na krańce państwa i popełniono wielki błąd, pozostawiając nas tam zbyt długo. Wodzeni z jednego obozowiska do drugiego, ucierpieliśmy nie mało od zimna, brudów, niewygodnych kwater, nędznego pożywienia za drogie pieniądze i nadmiaru pracy przy ciągłych ćwiczeniach.

Starszy porucznik, który dowodził kompanią, a w początkach i batalionem, był Polakiem, źle mówiącym po niemiecku, opanowanym istną manią

16

mustrowania i ćwiczenia żołnierzy, ale po za tem rozsądnym człowiekiem. Znał on wybornie swój zawód. Po kilku miesiącach tak dalece wykształcił swoje kompanie, że cały batalion robił wrażenie zupełnie dostatecznie wyćwiczonego.

Mówiono wtedy, że z innymi batalionami działo się to samo, co i z nami, i ganiono ogólnie, że te dobre posiłkowe wojska włączono po brudnych kwaterach, zamiast wzmocnić niemi armię, która walczyła z Francuzami. 8,000 ludzi więcej w korpusie Lestocqu'a mogło być zmienić zupełnie los bitwy pod Eylau i ocalić Prusy od wielu późniejszych klęsk.

Czas, przepędzony na kwaterach, nie upłynął dla mnie bez korzyści. Przystudiowałem starannie komentarze Cezara, siedmioletnią wojnę, Fryderyka II, Karola XII Woltera i nowsze wojskowe dzieła. Jeden z chorążych, także Polak i dawny uczeń

szkoły kadetów, doskonały znawca mustry, uczył mnie, i wkrótce obzajmiałem się ze wszystkim, co należało do mojego nowego powołania.

Po różnych zmianach miejsca, nie doszedłszy do teatru wojny, przybyliśmy do Memla, gdzie doszła nas wiadomość o zawarciu pokoju. Widziałem tam królową Ludwikę, przechadzającą się z dziećmi po ulicy Nadbrzeżnej, i króla jeżdżącego samotnie po ulicach miasta. Ten widok przywiódł mi na myśl wiersze perskie, które wygłosił Mahomet II, gdy po zdobyciu Konstantynopola wchodził do pałacu ostatniego z cesarzów greckich:

„Dziś pajak snuje swą przędzę na progu pałacu cesarskiego, w którego opustoszałych salach nie słychać innej muzyki, prócz żalostnych jęków puchacza”.

Ale to wszystko, wyznaję, nie zmniejszało mego uwielbienia dla Napoleona: wydawał mi się on wyższym od wszystkich bohaterów Plutarcha.

Z gazet dowiedziałem się o utworzeniu W. Księstwa Warszawskiego. Ale nie mogłem sobie

17

zdać sprawy z nowego stanu rzeczy i dopiero objaśnił mnie list otrzymany z kraju. Położenie mieszkańców pochodzenia niemieckiego w znacznej części państwa stało się bardzo przykre; ludzie niezależni wyjeżdżali zagranicę. W niektórych miejscach zdarzyły się prześladowania. Mianowicie groźnie przedstawiało się prawo *jus evacuationis*, które prawdopodobnie miało być stosowane względem właścicieli mających dzieci lub rodzinę w Prusach. Skutkiem tych nieprzyjemnych okoliczności, otrzymałem

od ojca rozkaz podania się do dymisji i powrotu do domu. Uczyniłem to niechętnie, ale musiałem być posłusznym. Moje świadectwo uwolnienia z pruskiego wojska zawierało uwagę ażeby *nie usuwał się ze służby u nowych władców kraju*.

Otrzymałem marszrutę do Warszawy, gdzie zaiaz po przybyciu zostałem wezwany przez komendanta do marszałka-gubernatora Davousta, do którego wprowadzono mnie po dość długim oczekiwaniu. Davoust — będący podówczas w kwiecie wieku (38 lat) — był średniego wzrostu, silnej budowy, twarz jego miała wyraz energii i rozumu, a przedwczesna łysina nadawała jej cechę pewnej surowości.

— Przybywasz pan z Memla? — zapytał. — Widziałeś królowę?

— Widziałem, ekscelencyo, w sam dzień mojego wyjazdu.

— Czy była bardzo smutna, bardzo przygnębiona?

— Przechadzała się po ulicy Nadbrzeżnej z dwojgiem najstarszych dzieci.

— Odpowiedz na moje pytanie: czy była bardzo smutna?

— Tak się zdaje, ekscelencyo, i to nie bez powodu. Kiedy się straciło połowę swego państwa...

— A któż temu winien? Kto wciągnął biednego króla w tę całą straszną awanturę? Kto go

18

musił do wyzwania cesarza? Przecież królowa była w Jenie; przecież wygłaszała tam wojownicze przemowy? Gdyby nie jej intrygi, gdyby nie fanfaronady oficerów gwardyi, król pruski byłby pozostał naszym sprzymierzeńcem i państwo wielkiego Fryderyka nie byłoby runęło... Zresztą, to do ciebie nie należy. Wracaj do domu i bądź wiernym poddanym swoich nowych władców.

Temi słowami mnie pożegnał. Dowiedziałem się później, że w ten sam sposób przemawiał do wszystkich oficerów, którzy w podróży zawadzili o Warszawę.

Po kilkodziowym pobycie powróciłem w moje strony rodzinne. Zostałem tam duże zmiany. Dawnego rządu już nie było — nowego *jeszcze* nie było; dotychczasowy dobrobyt znikł, a ciężary wojny pod różnemi postaciami przygniatały straszliwie ludność.

W takich okolicznościach pobyt mój w domu rodzicielskim nie był przyjemny; zresztą, nabrałem już zamiłowania do służby wojskowej, więc ojciec pozwolił mi szukać szczęścia gdzieindziej. Znał on z dawnych czasów Blüchera i dał mi do niego list z prośbą o przyjęcie mnie napowrót do armii pruskiej. Po uciążliwej podróży zastałem generała w Treptowie i oddałem mu list. Odpowiedział mi, przeczytawszy go pobieżnie, że mają w kraju aż nadto ludzi szukających pomieszczenia — że każdy robi najlepiej, pozostając u siebie — i że nic dla mnie uczynić nie może. Tem mnie pożegnał. Znajomy oficer poradził mi zwrócić się do Schilla, który mnie przyjął uprzejmie, wysłuchał ze współczuciem, ale wynik był ten sam, że nie jest w stanie nic dla mnie zrobić. Lecz różnica w obejściu była wielka. Blücher był szorstki i grubiański, a Schill grzeczny i delikatny.

Po powrocie z podróży przybywszy do Sochaczewa, zastałem tam znajomego mego ojca, dawnego oficera pruskiego, pełniącego obowiązki komendanta.

19

Dywizya Francuska, stojąca w okolicy, sprawiała dużo udręczeń biednemu człowiekowi, który mało rozumiał po francusku.

Dwóch Francuzów, jeden pełniący czynność plac-majora, drugi sekretarza komendatury, oszukiwało biedaka wyraźnie i prócz tego obchodzili się z nim szorstko. Stosunek z nimi był dla niego w najwyższym stopniu nieprzyjemny, ale nie miał nikogo, kim mógłby się wyręczyć, i musiał to chcąc nie chcąc znosić. Uskarżał się przedemną na swoje przykrości, a widząc, że jestem obecnie

bez żadnego zajęcia, prosił mnie, żebym u niego pozostał, zajął się czynnościami, które ci dwaj Francuzi odrabiali, i w ten sposób wybawił go z kłopotu. Przystałem na jego propozycję, pomagałem mu i przeżyłem szczęśliwie jakiś czas z tym uczciwym i dobrym człowiekiem. Chciał mi on okazać swoją wdzięczność i wyrobił to, że zostałem zaliczony do jednego z pułków, jako nadliczbowy, odkomenderowany feldfebel, nie będąc obowiązany do pobytu w pułku. Upłynęło od tego czasu z jakie dwa miesiące, gdy przyjechał do Sochaczewa z Warszawy, zajęty tam przy poborze rekrutów dowódca batalionu byłej *Légion polacco — italienne*, czyli — jak ją później nazwano: *Légion de la Vistule*. Przepędził on w Sochaczewie kilka dni na tej samej czynności, a że nie miał adjutanta, któryby mu potrzebne spisy układał i prowadził korespondencje z urzędnikami, poprosił komendanta o pozwolenie wzięcia mnie do pomocy. Po ukończeniu roboty rozpytywał mnie po przyjacielsku o moje położenie i odjechał w kilka dni potem, dziękując mi z wielkiem uznaniem za moją — jak się wyraził — gorliwość.

Po 3 — 4 tygodniach przyjechał do komendatury *Brigadier de la gendarmerie impériale* ¹⁾ i dowiadywał

¹⁾ Po francusku w oryginale.

20

się o „*Mr. Brandt, ci-devant enseigne dans l'armée prussienne.*” Po sprawdzeniu mojej tożsamości doręczył mi list. Można sobie wystawić moje zadziwienie, gdy przeczytał, że marszałek, książę d'Auerstaedt (Davoust) mianował mnie na wakujące miejsce podporucznika w legionie Nadwiślańskim i że mam bez zwłoki udać się do *depôt général* w Sedanie. Było to d. 27 kwietnia r. 1808.

Z Warszawy, dokąd pojechałem się zameldować, skierowano mnie do Kistrzyna, a ztamtąd po kilku dniach wyprawiono do Francji razem z 500 rekrutami. Szliśmy przez Witenberg nad Elbą i przez Moguncję nad Renem, kwaterując zwykle po wsiach, gdzie z powodu, że nie byliśmy jeszcze umundurowani, przyjmowano nas nie bardzo uprzejmie. We Francji zaczęło być lepiej; słyszało się jeszcze niekiedy: *vilains Chinois, hideux et barbares*, ale na ogół było tam znośnie. W Sedanie zastaliśmy znaczną liczbę żołnierzy dobrze wyćwiczonych, doskonale umundurowanych i uzbrojonych, oczekujących rozkazu połączenia się ze swoimi pułkami, stojącymi w Hiszpanii. Z ogólną też radością został przyjęty rozkaz wymarszu, który nakoniec nadszedł.

Pierwsze nasze dniówki były w Châlons-sur-Marne i w Arcis-sur-Aube, gdzie dostałem kwaterę u przyjaciela, czy krewnego Dantona. Miał on dużo do opowiadania o nim, jak na krótki czas przed moim upadkiem bawił w tym domu z przyjaciółmi Fabre d'Eglantinem, Lacroix i innymi — jak gozdzien był kochania, jak miły i jak wkrótce potem został zamordowany *przez tego potwora Robespiera*.

W kilku miejscowościach przyjmowano nas, jak tryumfatorów, z uroczystością i przemowami. Pomimo, że żaden z nas, z wyjątkiem dowódcy batalionu i dwóch podoficerów — nie był nigdy w ogniu, patrzano na nas, jak na zwycięzców z pod Jeny i Friedlandu, więc byliśmy witani i goszczeni odpowiednio.

21

W Bordeaux, gdzie zatrzymaliśmy się kilka dni dla uzupełnienia naszego uzbrojenia, zwrócił moją uwagę stary dom z wieżyczką, niegdyś własność Montaigne'a. Znałem w oryginale dzieła znakomitego sceptyka, który napisał, że *nie ma na świecie przyjemnego zajęcia, z wyjątkiem stanu żołnierskiego*. Ten aforyzm jest dowodem, że Montaigne nie służył nigdy wojskowo.

Uprzejmy mój gospodarz dał mi za przewodnika swego syna, zapalonego wielbiciela znakomitości Bordeaux z czasów Wielkiej Rewolucji; Vergniauxów, Gensonów, Duclosów i t. d. Musiał on być bardzo uszczęśliwiony, gdy później się ukazała „*Historia Żyrodystów*” Lamartina.

Mieszkańcy Bordeaux są weseli, goniący za rozrywkami i z powodu trochę lekkich obyczajów, nie używają dobrej sławy. Strój kobiet odznacza się oryginalnością, obcisły stanik z kolorowymi rękawami (*brassière*), jasna chusteczka skrzyżowana na piersiach i okrągły muślinowy czepeczek, przytrzymujący piękne, bujne włosy, składają się na pełną powabną całość.

Nie przynosi to zaszczytu miejscowej policji, że na spotkanie wojska wyszły całe gromady chłopaków i dziewcząt, wymieniających nazwiska i adresy uprzejmych piękności, wysławiających wprawnym językiem wdzięki swoich pań i sprzedających najohydniejsze obrazki. Być może, że ciągle przemarsze wojsk spowodowały pewne rozluźnienie obyczajów, ale nigdy i nigdzie nie zdarzyło mi się spotkać nic podobnego.

Pochód przez tak zwane *Landes* nie był tak uciążliwy, jak nam zapowiadano. Żołnierzom ten kraj bagnisty, na przemian piaszczysty, z wonnymi lasami, przypominał strony rodzime. Powiększały jeszcze to podobieństwo brudne chaty i mieszkańcy pijący nad miarę.

Przez Roquefort i Dax nad Adurą, rodzinne

22

miasto świętego Wincentego à Paulo, założyciela zgromadzenia *frères de la mission, des soeurs de la charité* i domów podrzutek, poszliśmy do Bajonny. Bo tej pory spotykaliśmy mało wojskowych. 3,000 ludzi z korpusu Junota, stojących w Bordeaux, znikło w tem dużym mieście, ale za to w Bajonnie nie było widać nic, oprócz wojska.

Na przedmieściu Św. Ducha przystanęliśmy dla wzięcia biletów kwaterunkowych. Hotele, restauracje, szynkownie pełne były wojskowych; trudno było zdobyć kotlet, albo filiżankę kawy.

Nazajutrz odkomenderowano mnie po odbiór ostrych ładunków i zdziwiłem się bardzo, zastawszy 400 podrostków i kobiet pracujących w arsenale. Trudno sobie wystawić krzyk i hałas, jaki tam panował. Była to właśnie pora śniadania. Byłem rad, otrzymawszy po 60 ładunków na każdego żołnierza i tem spieszniej zabrałem się do odwrotu, że większa część tych młodych i ładnych dziewcząt bardzo mile spoglądała na moich *jeunes sauvages*.

W mieście pokazano mi gmach— w owej chwili mieściła się tam intendentura, w którym niedawno mieszkał książę Asturyi z infantami, gdy Napoleon w zamku rozstrzygał o losach dynastji Bourbońskiej. Jeden tylko infant Don Karlos okazał pewną siłę charakteru i odmówił podpisania wyroku swego upadku, mówiąc, że przekłada śmierć nad hańbę.

Część naszych ludzi została posłana do Biarritz, mnie naznaczono do oddania im zapasu ładunków i przy tej sposobności zwiedziłem słynne miejsce kąpielowe.

Cesarz brał tam w tym roku kąpiele morskie. Opowiadano mi, że przed każdą z nich oddział konnej gwardji wjeżdżał w morze, o ile można było jak najdalej, tworząc rodzaj łańcucha, dla bezpieczeństwa cesarza.

Po kilku dniach odpoczynku opuściliśmy Bajonnę i poszliśmy krajem Basków do Saint-Jean -

23

Piéd-de-Port, ostatniego miasta francuskiego. Byli tam zebrani chorzy i ranni z naszej dywizji, a to, co opowiadali, nie było zbyt zachęcające. Ale nie mieliśmy czasu dużo z nimi rozmawiać. Nazajutrz o świcie byliśmy już w pochodzie, przebywając postrzępione, skaliste góry, bez innej roślinności, oprócz nędznych kępek bukszpanu. Wkrótce przeszliśmy przez historyczny wąwóz Roncevalles. Wypytywałem miejscowych ludzi o sławnego rycerza: wiedzieli o nim mniej, niż ja dowiedziałem się w szkołach.

II.

Złowogi wygląd kraju. — Dniówka w Zubiri: rozmowa po łacinie z don Juanem de la Torre. — Przybycie do Pampeluny. — Cytadela i kule śniegowe. — Drugi pułk Nadwiślański. — Zwycięstwo marszałka Lannes pod Tudelą. — Upadek ducha w Saragossie. — Dwukrotnie odkładany atak do miasta. — Powody tego opóźnienia i jego nieszczęśliwe następstwa. — Szpital w Alagonie. — Powrót do działających zaczepnych. — Bitwa d. 21-go grudnia: le gouffre de la mort. — Pierwsze dni oblężenia.

Od chwili przejścia granicy posuwaliśmy się z największymi ostrożnościami przez kraj nieprzyjacielski, z przednią strażą, tylną strażą i patrolami. Z przeczytanych powieści, powziąłem był o Hiszpanii wyobrażenie zupełnie niezgodne z ponurą rzeczywistością 1808 r. Daremnie upatrywałem hidalga — rolnika, ze szpadą u boku, idącego z manierką wina za pługiem. W miastach nigdzie tajemniczych dźwięków gitary — głosy pięknych *senores* nie dochodziły do naszych uszu. Drzwi domów, wystawy sklepowe pozamykane wszędzie. Mieszkańcy trzymali się zdaleka, rzucając na nas spojrzenia wściekłości. „Nie rozumiem”, „nic nie wiem”, oto jedyne słowa, jakie można było z nich wyciągnąć. Zamiast pięknych *senoras*, tylko stare kobiety, przerażająco brzydkie, okazywały się na ulicach.

W Zubiri, pierwszym postoju na ziemi hiszpańskiej,

24

otrzymaliśmy z Pampeluny rozkaz zabrania z okolicznych wsi wozów i mułów pod przewóz amunicji. Ale chłopci dowiedzieli się o tym rozkazie jednocześnie z nami, skutkiem tego mnóstwo ludzi, pozabierawszy zwierzęta, uciekło w góry.

W Zubiri dano mi wraz z sześciu żołnierzami kwaterę w domu jednego z miejskich dostojników, don Juana de la Torre. Widzę jeszcze ten wielki, posępny dom z herbowymi tarczami na balkonie. Stukaliśmy kilkakrotnie bez skutku. Nareszcie otworzyło się okno; na zapytanie hiszpańskie „kto tam?” odpowiedziałem pokazaniem biletu kwaterunkowego. Okno zamknęło się; po upływie kilku minut zgrzytnęły zasuwki i u drzwi ukazał się wysoki i silny człowiek, w kostymie Figara: kurtka aksamitna, krótkie spodnie, *idem*, jedwabne pończochy i włosy w siatce. Dał znak, żeby iść za nim, wprowadził nas do ogromnego pokoju, w którym całe umeblowanie stanowił tylko stół i parę taburetków, mniej więcej uszkodzonych. Potem odszedł, mrużąc powitalny komplement tonem tak uprzejmym, jak gdyby nas posyłał do wszystkich dyabłów.

— Cały mój dom jest na rozkazy panów!

I pozostawił nas ze starą kobietą, odpychającą brzydką i brudną, która pomagała moim ludziom przy gotowaniu.

Człowiek ten był jednak usposobienia stosunkowo pojednawczego: przyszedł do nas wieczorem i usiłował nawiązać rozmowę. Ciężkie to było zadanie: nie umiał on ani słowa po francusku, ani po niemiecku, a ja nie miałem jeszcze czasu otworzyć gramatyki hiszpańskiej, w którą się zaopatrzyłem w Bajonnie. Na szczęście okazało się, że senior don Juan de la Torre, młodszy syn szlacheckiej rodziny, miał zrazu zamiar kierować się na księdza i pamiętał jeszcze trochę łaciny. Śmierć starszego brata powróciła młodego człowieka do życia świeckiego, bo nie można było pozwolić na wygaśnięcie

25

znakomitego rodu de la Torre. Ostatecznie odziedziczył on ten pałac ojcowski, pozostający w rękach rodziny od lat trzystu. Opowiedział mi te szczegóły po łacinie, a ja, dzięki świeżym jeszcze wspomnieniom studyów klasycznych, mogłem z nim podtrzymać rozmowę w tym języku, rozmowę napół teologiczną, napół polityczną, w której Napoleon nazywany był majestatycznie *Supremus dux Franco-Gallorum*. Hiszpan dowiedział się z głębokim zdumieniem, że u nas katolicy i protestanci żyją wszędzie na jednej ziemi, w tych samych domach i nawet żenią się z sobą.

Po czterodniowym uciążliwym pochodzie przez góry przybyliśmy około godziny 11-ej wieczorem do Pampeluny; żołnierze i oficerowie, którzy byli na służbie, zostali ulokowani w gmachu dawnego klasztoru: sztabowi oficerowie i reszta w domach prywatnych, ale trudniej tam było znaleźć kwaterę, niż zdobyć twierdzę.

Przybycie nasze do Pampeluny zeszło się jednocześnie z wielkimi działaniami przeciwko armii hiszpańskiej, nakazanymi przez Napoleona. Marszałek Lannes wyruszył z Burgos, żeby stoczyć bitwę z armiami Andaluzji i Aragonii, będącymi pod dowództwem Castanosa i don Josego Palafoxa a stojącymi nad rzeką Ebro.

Lannes miał na nie natrzeć z frontu, Ney odciąć im odwrót do Madrytu. Wojska marszałka Lannes, te same, z którymi później stoczył i wygrał sławną bitwę pod Tudelą (23 listopada), składały się z korpusu Monceya (3), z jednej dywizji 6-ej i kilku brygad jazdy. Przeznaczeni do trzeciego korpusu, zostaliśmy skierowani do Milagro, gdzie nastąpiło nasze wcielenie do pułku. Po kilku godzinach postoju pomaszerowaliśmy do Lodosa, gdzie był zgromadzony cały trzeci korpus. Mój pułk (2-gi Nadwiślański) stanowił część 1-ej brygady (Habert) 1-ej dywizji (Grandjean).

26

Pomiędzy Pampeluną a Tafallą było pole operacji wojennych obu armii i był tam wslawiony później las Tafalla, który w końcu Francuzi wycięli w pień, żeby odjąć Hiszpanom sposobność urządzania w nim zasadzek.

Marszałek Lannes 21-go listopada skierował swoje wojska z Lodosa do Calahorry i Alfaro, a marszałek Ney z 6-m korpusem miał odciąć nieprzyjacielowi odwrót do Madrytu. Lannes 23-go przed świtem wysłał na rekonesans polskich ułanów, których tak bardzo obawiali się Hiszpanie. Pomimo, że był cierpiący, pojechał sam na czele tego nieporównanego wojska. Zastał generała O'Neila stojącego z armią aragońską na wzgórzach nad Tudelą, a Castanosa z armią andaluzyjską o milę ztamtąd pod Tarazoną i Cascante. Marszałek zrozumiał odrazu, że może zniweczyć jedną i drugą armię, zanim zdążą sobie przybyć na pomoc. Rzucił się z dywizją Mathieu i z brygadą Haberta na armię Palafoxa, rozbił jej środek i puścił przez wyłom dywizję jazdy Lefébrea-Desnouettes,

która, uderzywszy na prawe skrzydło generała hiszpańskiego, zmusiła do szybkiej ucieczki bohaterskiego zwycięzcę z pod Saragossy, jak go nazywali Hiszpanie. Poczem marszałek zmienił front, żeby uderzyć na Castanosa. Ale ten, nie czekając na atak, cofnął się śpiesznie, za co później przez Juntę został oskarżony o zdradę. Jedna tylko dywizja hiszpańska, La Peny, która odznaczyła się pod Baylen, stawiła czoło Francuzom, ale ucierpiała mocno i została zupełnie rozbita.

Nieprzyjaciel miał 4,000 poległych i utopionych w Ebro, postradał 30 dział z należącą do nich amunicją, i dużo ludzi wziętych do niewoli.

Nasze straty wynosiły tylko 44 poległych i pół tysiąca rannych. Nasze wojska ścigały nieprzyjaciela aż do Alagonu, ale musiały powrócić dla braku żywności. Droga cała zasłana była trupami,

27

których wyziewy przez kilka tygodni zatrwały powietrze, a nikt nie pomyślał o ich pogrzebaniu. Po większej części były to ciała nieumundurowanych ochotników, którym ścigająca jazda nie dawała pardonu.

Bitwa trwała od rana do wieczora, ale żaden oddział z naszej strony nie brał w niej udziału dłużej, jak przez dwie godziny. Brygada Habert, przy której stał mój pułk, zajmowała razem z dywizją Mathieu wzgórze nad Tudelą i pomimo wielkiego oddalenia — kiedy kolumny stały jeszcze w porządku takim, jaki byłznaczony w pochodzie — miała kilku ranionych. Ale później, gdy woltażerów cofnięto i zastąpiono ich kolumnami, biorącymi udział w akcji, ostatnie szeregi, w których stał mój batalion, były tak daleko od linii bojowej, że tylko huk armat i przelatujące kiedy niekiedy kule przypominały nam, że jesteśmy na polu bitwy. Hiszpanie próbowali wprawdzie, korzystając ze sprzyjającego gruntu, sfornować się nanowo, a nawet w lesie oliwnym pod Tudelą przyszło do żywej utarczkiyalierskiej, ale ogólnie biorąc duch wojsk nieprzyjacielskich był tak słaby, że nasze strażeprednie wystarczały zupełnie do rozstrzygnięcia losu utarczek. 3-ci korpus (Moncey) ścigał uciekających na drodze do Saragossy, armia andaluzyjska została odrzucona na drogę do Borja i Calatayud, ale nie było tam Ney, ażeby ich przyjął, o czym później dużo mówiono w obozie. Głównym czynnikiem bitwy było to, że 28,000 Francuzów w ciągu kilku godzin pobiło i rozproszyło armię hiszpańską liczącą 40,000, dumną ze zwycięstw pod Saragossą i Baylen.

Zostałem zaliczony do kompanii dzielnego, zacnego kapitana Matkowskiego, który przyjął mnie po przyjacielsku. Przystawanie z tym człowiekiem dobrze wychowanym i wykształconym (odbył on studia uniwersyteckie w Krakowie) było dla mnie

28

wielką korzyścią, ale na nieszczęście, straciliśmy go w bitwie.

Skutkiem ciągłych marszów nabraliśmy już pewnej sprawności wojskowej i dlatego nie zawahano się poprzyłączać nas do rozmaitych pułkówjuż podczas pochodu na plac boju. Organizacja francuskich kadrów uzupełniających była tak dobra, że trudno było nowozacieżnych po ich wcieleniu do szeregów odróżnić od starych żołnierzy. Duch w pułkach legii Nadwiślańskiej był nawskroś wojenny, wzmocniony jeszcze silną karnością, którą pułkownik Chłopicki umiał utrzymać.

Pierwsi zbiegowie już w 10 godzin po bitwie przybyli do Saragossy, przebywszy 18 hiszpańskich *leguas* (mil) jak na skrzydłach. Prerażenie z powodu poniesionej klęski było tem większe, że się nikt tego nie spodziewał. Znaczna liczba mieszkańców wsi i miast okolicznych, obawiając się Francuzów, przybyła razem z rodzinami szukać schronienia w stolicy.

W pierwszych dniach po bitwie było w mieście przeszło sto tysięcy tych zbiegów, a wśród nich dużo kobiet i dzieci. Gdybyśmy byli poszli z Alagonu — który nasze przednie strażepozostały 27 listopada — bez zwłoki do Saragossy, byłoby to zmusiło do ucieczki najbardziej nawet zapalonych patriotów i miasto zostałoby wzięte bez jednego wystrzału.

Na nieszczęście, marszałek Lannes, chory, zmuszony był powierzyć dowództwo Monceyowi, który cofnął się pod pozorem braku żywności, a rzeczywiście z obawy zapędzenia się zbyt daleko z trzema dywizjami, któremu pozostały. W 24 godziny później Ney połączył się z nami. Zrozumiawszy — ale zapóźno — błąd, który popełnił, pozwalając wymknąć się Castanosowi, chciał go napaść, pomagając do obsaczenia Saragossy.

Nakoniec 30 listopada, gdy cesarz nakazał

29

marszałkom energiczne działanie, nasze wojska stanęły pod Saragossą, której ukazanie się powitały radosnymi okrzykami. Zwycięstwo pod Tudelą, zetknięcie się z weteranami z dywizji Lagrange, 6-go korpusu i z kawalerii, wzmocniło odwagę młodych

żołnierzy z 3-go korpusu. Nie wątpiliśmy, że będzie możliwym — a nawet łatwym — zdobyć miasto odrazu połączonymi siłami dwóch marszałków.

Wszyscy spodziewali się zwycięstwa. Ale kiedy zamiast uderzyć na nieprzyjaciela, dano rozkaz cofnięcia się znowu do Alagonu, całe wojsko wyraźnie okazało niezadowolenie. Ney zaraz po przybyciu pod Saragossę otrzymał na gościńcu madryckimrozkaz rozproszenia do reszty wojsk Castanosai skutkiem tego powrócił tam, z kąd przyszedł — do Calatayud. Moncey, który już był zajął Monte-Torrero, po odejściu Ney, mając niedostateczne siły do działania, cofnął się napowrót do Alagonu i wojska tam biwakowały. Mój batalion stanął w klasztorze w Mallen, z kąd wysyłano oddziałyna zluzowanie forpoczty i na inne wyprawy. Trudno sobie wyobrazić niedostatek, na jaki narażone tam było wojsko. Zimno było bardzo i przytem albo wiał ostry przenikliwy wiatr, który mroził ludzi i ziemię, albo deszcz padał strumieniami.

Cały kraj od Lodosy do Saragossy był, z wyjątkiem Tudeli, spustoszony doszczętnie. Okna, drzwi, domowe sprzęty poszły na ogień; pojedynczo stojące domy zostały zburzone, a gdzie wojsko stało dłużej, powyrąbywało oliwne gaje na opał. Mieszkańcy po większej części uciekli. W opustoszonych domach obozowaliśmy na gołej podłodze, albo na świeżo wyciętych, połamanych konopiach. O słomienie było nawet mowy. Kto zdołał zdobyć jaki stary materac wełniany, mógł się uważać za szczególnie uprzywilejowanego. Również złe było i pożywienie. Chleba było zamało i wydawano go w nierównych ilościach, od 1 do trzech funtów.

30

Mięso dostawaliśmy codziennie — jednego barana na 30-u mniej więcej ludzi, ale często wewnątrz i po wierzchu pokryty był zieloną pleśnią. Od czasu do czasu dawano nam białą fasolę i ryż. Z początku było aż nadto wina i oliwy, ale skutkiem złego zarządu zapasy wyczerpały się wkrótce i potem szczęśliwy był ten, kto mógł dostać za swoje pieniądze butelkę lichego wina. Służba była bardzo ciężka i wojska, które nie były gdzieindziej zajęte, często całą noc stały pod bronią, a zwykle o 3-ej lub 4-ej rano cała armia była na nogach. Nie wypuszczaliśmy z rąk broni, dopóki nie zostały wyprowadzone silne patrole. Czasu na przyrządzenie posiłku dawano nam mało. Nasi żołnierze znosili to niezle — w świeżych francuskich pułkach było dużo chorych.

Nakoniec nadeszła artyleria oblężnicza, a 5-y korpus marszałka Mortiera (*duc de Treviso*) otrzymał rozkaz ruszenia pod Saragossę. Składał się ze starych wojsk, z dywizji Gazan'a i Suchet'a i miał stanowić część wojsk oblegających. D. 16-go wyruszył

nasz pułk w stronę Saragossy i zajął dwa domy na drodze do Alagonu. D. 16-go, 17 i 18 były walne, męczące utarczki Staliśmy wciąż pod bronią i nieprzyjaciel ukazywał się co chwila, jak gdyby wyrastał z pod ziemi.

D. 19-go grudnia wyruszyła cała armia ku Saragossie, pozostawiając za sobą zaledwie kilka tysięcy ludzi na drodze do Tudeli, dla strzeżenia lazaretów i magazynów. D. 20 stanęliśmy pod miastem. Ale żołnierze tym razem nie powitali go okrzykami radości — odzywali się głośno, że pewnie jutro nakażą znowu odwrót. Dywizja Gazan'a z 5-go korpusu zajęła przedmieście na lewym brzegu Ebra, dywizja Suchet'a St. Lamberto, 3-ci korpus posunął się aż do Huerby, dywizja Grandjean przeszła przez rzekę, żeby okrążyć Monte-Torrero. Dywizja Morlot'a pozostała na lewym brzegu, a dywizja Moncey'a stała w rezerwie. Tej samej nocy

31

marszałek Moncey przygotował wszystko do uderzenia na Monte-Torrero. Rankiem 21, gdy nasze baterie ostrzeliwały już jakiś czas fort Buena Vista, dywizja Grandjean poszła do szturm. Pierwsza brygada (Habert), przy której był nasz pułk, doszła do sklepionego podziemia, nad którym przepływa kanał Tudeli. To przejście podziemne, silnie zabarykadowane przez Hiszpanów, usprawiedliwiło owego dnia swoją nazwę: *Baranco de la Muerte* (otchłań śmiertelna). Nasi wołyżerowie, zaczajeni z prawej i z lewej strony, utrzymywali ciągły ogień, strzelając na ukos w podziemi ci, co go bronili — mając dużo zabitych i rannych, skutkiem rykoszetujących kul, na które nie mogli odpowiadać, skończyli na odwrocie. Opanowawszy to przejście, Habert wydostał się nalewy brzeg Huerby, pomiędzy miastem a Monte-Torrero, z którego nieprzyjaciel, obawiając się zostać odciętym od swoich, ustąpił z pośpiechem.

Monte-Torrero, stanowiące port Saragossy, leży nad brzegiem kanału; widać ztamtąd całe miasto. Duży klasztor o dwóch pięknych dzwonicach i zabudowania komory, zamienione na koszary, stanowiły ozdobę tej miejscowości. Gdyśmy tu byli po raz pierwszy, zbrocza tego wzgórze, pokryte willami, sadami, winnicami, przedstawiały wesoły widok.

Teraz domy zostały zburzone, drzewa powycinane, pozostały tylko miejscami piękne aleje, wysadzone wiązami, łączące to przedmieście z miastem.

Wieczorem, na biwaku, opowiadano, że atak dywizji Gazan'a na lewy brzeg rzeki spełził na niczem, pomimo, że dywizja ta składała się z wojsk wyborowych. Chodziły wieści, że i żołnierze Sucheta, którzy mieli zająć wzgórze na prawym brzegu, nie dokonali tego w porę, skutkiem czego załoga Monte-Torrero zdołała się wyslizgnąć. Nazajutrz jednak miasto było z tej strony rzeki zupełnie osaczone, dywizja Grandjean stała na gościńcu do

32

Walency i jej przednie straż rozciągały się aż do rzeki Ebro. Główna kwatera marszałka była w klasztorze Kartuzów *La Concepcion*, o milę od miasta, na drodze do Walencji. D. 22-go i 23 grudnia musieliśmy wytrzymywać ogień tyralierów, zaczajonych w plantacjach oliwek, istnym lesie, rozciągającym się między nami a miastem. Ale w naszym pułku dużo było ludzi z błotnistych brzegów Narwi, okolicy, w której pełno wodnego ptactwa i gdzie wszyscy polują. Ponieważ wielu Hiszpanów, których

nasi pokładli trupem, miało przy sobie znaczne sumy pieniędzy, nasi żołnierze zasmakowali od razu w tem polowaniu na ludzi i prowadzili je z takim mistrzostwem, że uwolnili nas wkrótce od zaczepek nieprzyjaciela.

III.

Wyprawa do Alagonu. — Choroba. — Szpital, tyfus i grabarze hiszpańscy. — Wyzdrowienie i powrót do obozu. — Noc spędzona w przekopie. — Marszałek Lannes. — Ognisko markietanki.

Dnia 21-go wieczorem otrzymałem od pułkownika rozkaz udania się do Alagonu, żeby tam zgromadzić żołnierzy z legii Nadwiślańskiej, pozostałych w tyle, utworzyć z nich oddział i oddać go do rozporządzenia miejscowego komendanta, a przy pierwszym konwoju z żywnością przyprowadzić go tu z powrotem. Miałem tam doczekać się przybycia transportu mundurów z Pampeluny i przyjąć to co będzie dla nas przeznaczone.

Niebardzo mi się podobała ta misja, ale adjutant-major, któremu się z tem zwierzyłem, powiedział mi, że ten obowiązek spada na mnie, jako najmłodszego oficera w pułku.

Nazajutrz rano zebraliśmy się w Monte-Torrero po za głównym magazynem, jeszcze mocno ostrzeliwanym i o dziewiątej wyruszyliśmy w pochód,

33

gościńcem ciągnącym się nad cesarskim kanałem. Dowódcą oddziału był stary, brodaty porucznik, który zdobył szlify oficerskie pod Friedlandem i z żołnierzami obchodził się surowo. Co chwila słychać było jego wołania: *malheureux conscrit! serrez donc! maraud! sacré dieu!* i. t. p. Ale z tem wszystkim był to człowiek dobry, pełen prostoty, który pod mundurem oficerskim zachował wszystkie dawne nawyki podoficera.

Przybywszy do Alagonu, zameldowaliśmy się kapitanowi Bruno z 13 pułku dragonów, energicznemu i uczciwemu człowiekowi. Robił on co mógł, żeby zgromadzić rozproszonych żołnierzy i zaprowadzić jakikolwiek ład i porządek. Powiedział mi na wstępie:

— *Vous tombez ici dans une mer de désordre vous ve trouverez rien ici. Vous serez heureux si vous pouvez toucher vos rations.* ¹⁾

I puścił nas na poszukiwanie kwatery w pustych, zrujnowanych domach. Dzielny sierżant wypisany w przeddzień z lazaretu w St-Jean-Pied-de-Port zajął się urządzeniem kwatery, pozbierał wszystkich żołnierzy należących do pułku i pod wieczór byliśmy

juz umieszczeni znośnie. Było nas 21 ludzi; jedni naznosili konopi, drudzy drzewa, i na wieczrę mogliśmy już ugotować już baranię z fasolą.

Gdy kapitan Bruno, odbywając wieczorny ront w mieście, zastał przed naszym domem sztyldwacha powinszował mi, że tak porządnie wszystko zarządziłem.

Noc była niesłychanie zimna. Od pewnego już czasu czułem się niedobrze, ale tłómaczyłem to sobie naszym położeniem, w którym byliśmy wciąż

¹⁾ Zdanie drukowane kursywą, w oryginale są pisane po francusku.

34

narażeni na przeziębienie. W moim stanie zdrowia nastąpiło nagle pogorszenie: objawiła się gorączka i dysenterya, skutkiem czego kapitan Bruno kazał mnie przenieść do tak zwanego lazaretu, który podobniejszy był do zbójeckiej nory, niż do leczniczego zakładu. Na sam jego widok dreszcz mnie przebiegł. Był to wysoki, kilkopiętrowy, klasztorny budynek, stojący w mieście trochę na uboczu.

Codziennie wyrzucano z niego oknami obnażone trupy, ładowano je na wozy, wywożono o paręset kroków i grzebano w olbrzymich dołach, rzucając w nie ciała całymi stosami.

Hiszpanie, wezwani do tej roboty, spełniali ją z widocznym zadowoleniem. Gdym zapytał ilu już ludzi tam leży, pokazali mi liczne kopce na mogiłach i dodali z szatańską radością:

— Mamy nadzieję niemało jeszcze pogrzebać!

W lazarecie wkrótce postradałem przytomność; nie wiem, jak długo trwał ten stan. Jednej nocy oprzytomniło mnie uczucie niesłychanego zimna. Gdy dzień zaświtał, zobaczyłem, że leżę pośród konających i umarłych. Straszliwy odór zatruwał powietrze. Odchody nieszczęśliwych chorych, zbyt osłabionych, żeby mogli się podnieść, spływały na posadzkę, a stopy konopi, na których leżeli, były nawskroś przemoczone. Pomimo, że byłem tak chory, tak bezsilny — zerwałem się, ale upadłem napowrót na moje legowisko. W tej właśnie chwili otworzyły się drzwi i wszedł do sali doktor z kilku ludźmi. Był to lekarz z 3-go pułku naszej dywizji, wysłany dla sprawdzenia istotnego stanu rzeczy w Alagonie przez troskliwego Chłopickiego, który dowiedział się o okropnościach dziejących się w lazarecie. Doktor poznał mnie, kazał przenieść do innego pokoju, zajął się potem przeprowadzeniem mnie do swojej kwatery i tak starannie mną się zaopiekował, że dzięki jemu — mojej młodości i silnemu organizmowi — wyzdrowiałem niezadługo. Od

35

Doktora dowiedziałem się, w jaki sposób dostałem się do tej sali. W przystępie gorączki wyszedłem z sali oficerskiej — niewiele lepszej od żołnierskiej — i zabłądziłem tam, gdzie mnie doktor znalazł. Kapitan Bruno dopomagał mi o ile mógł. Szczególnie wielką oddał mi przysługę ofiarowaniem grubej, końskiej dery, mogę śmiało powiedzieć, że dzięki tej derze rozgrzałem się po raz pierwszy od bardzo dawnego czasu.

Lekarz ten miał w swoim pułku opinię brutalności i meuctwa. Żołnierze nazywali go „rzeźnikiem”, dlatego, że miał wielkie zamiłowanie do noża, a oficerowie mówili, że nawet konia nie powinno mu się powierzać do leczenia. Pomimo to uważam go za mojego zbawcę i zachowałem dla niego na zawsze wdzięczność. Jak się później dowiedziałem, zginął on w czasie odwrotu z pod Moskwy.

Przez czas mojej choroby upłynął miesiąc. Gdy przez lekarza doszła do pułku wiadomość co się ze mną stało, przysłano do Alagonu innego oficera na moje miejsce, a ja otrzymałem rozkaz powrotu do pułku. Przed wyjazdem poszedłem jeszcze spojrzeć na ten gmach, w którym widziałem śmierć z blizka. I zobaczyłem tam znowu trupy wyrzucane oknami. Ilekroć potem słyszałem upadający głucho ciężar — przypominały mi się ciała wyrzucane oknami, które robiły takie wrażenie, jak kiedy zrzucają worki napelnione zbożem — przebiegał mnie dreszcz i długi czas jeszcze prześladowało mnie to wspomnienie. Poszedłem też i na miejsce, gdzie chowano umarłych, a spotkawszy tam znajomego grabarza, zapytałem ilu pogrzebali. Grabarz podniósł dwa palce do góry i odpowiedział:

— Dwa tysiące i jedną setkę...

Nie zdaje sobie mi się, żeby ten człowiek przesadzał. Trzeba było widzieć tę otchłań cierpienia i nędzy, żeby uwierzyć, że w tych warunkach wyzdrowienie było prawie niemożliwe. Komendant był

36

człowiekiem uczciwym, dniem i nocą był na nogach; naczelny lekarz używał jak najlepszej opinii, ale że brak było lekarzy i dozorców, więc rzecz najgłówniejsza — dokładne wypełnianie poleceń — było w rękach niższej służby, posługaczy i ich pomocników. Przekonałem się w moim życiu nieraz o prawdzie przysłowia, że „podwładny jest właściwym panem”.

Pożegnałem się serdecznie z kapitanem Bruno. Ponieważ należał on do innego korpusu armii i został wkrótce odwołany, nigdy już o nim nie słyszałem.

Powróciłem do obozu d. 19 stycznia 1809 r. i zostałem powitany serdecznie. Koledzy przyjmowali mnie u siebie i częstowali swemi zapasami. Pod ogniem nieprzyjaciela urządzili się jak można było najlepiej. Wyżsi oficerowie mieszkali w ruinach domów i w winnicach. Żołnierze i niżsi oficerowie mieścili się w jamach wykopanych w ziemi. Jamy te były podłużnego kształtu, głębokie na cztery stopy i pokryte gałęziami. Podczas deszczu lgnęło się tam w błocie, jak w bagnie... Służba ciągle była bardzo uciążliwa z małemi zmianami, taka sama, jak poprzednio opisałem.

W nocy z 21-o na 22-o stycznia po raz pierwszy byłem na służbie w przykopie, z dwudziestu pięciu ludźmi z mojego batalionu. Po prawej stronie miałem posterunek z 14-go liniowego pułku, pod dowództwem starego sierżanta, który zaraz zawiązał rozmowę. Był to stary wyga: służył we Włoszech, w Austrii i w Polsce, i brał udział w kilku oblężeniach. Dał on moim ludziom i mnie pożyteczne wskazówki co do służby w przykopach. Pokazał nam, w jaki sposób trzeba przesuwać worki z ziemią, stosownie do okoliczności, i zostawiać sobie otwory do śledzenia nieprzyjaciela i do posyłania mu znienacka kuli, i jak ustrzedz się samemu od podobnej niespodzianki.

W dzień służba w przykopach była bardzo

zajmująca. Co chwila przybywali tam wyżsi generałowie: generał Dedon, dowódca artylerii — generał Lacoste z korpusu inżynierów — generał Habert i w. i.

W nocy posunęliśmy się na dół, ku Huerbie dla zdobycia przeprawy na drugą stronę. Ruch robotników wywoływał strzały nieprzyjaciela, ale na szczęście ciemność i wiatr przeszkadzały celności strażów. Gdy dzień nastał, byliśmy wystawieni na ogień lepiej celowany, od lewej z klasztoru Santa Engracia. Robotnicy padali ranni lub zabici; znaczną liczbę kosztów podziurawiły działowe pociski, a kule gwizdały nad naszymi głowami, ale żaden z moich ludzi nie został zraniony. Dzielnym sierżantem z 14-go pułku odwiedził mnie jeszcze przed naszym powrotem do obozu i wskazał parę miejsc niedostatecznie ubezpieczonych, które należało przebywać ostrożnie. Posłuchałem jego rady i dobrze uczyniłem, bo w kilka godzin potem jakiś oficer przechodzący tamtędy bez należytej ostrożności, padł ugodzony kulą.

D. 23-go zostałem przeznaczony do rezerwy. Batalion mój stał w pogotowiu przez 24 godzin. W obozie panował niepokój i obawa. Krążyły pogłoski, że znowu mamy odstąpić od oblężenia. Ale wieczorem nadeszła wiadomość, że marszałek Lannes przybywa i obejmuje dowództwo. Dodało to odwagi Francuzom, pewnym że teraz wszystko pójdzie inaczej.

Tego samego wieczora wszystkie nasze baterie rozpoczęły żywszy ogień, na cześć zwycięstwa odniesionego przez marszałka Victora pod Ucles. Do przykopów zeszło się mnóstwo oficerów po nowiny i dla zobaczenia, co robią Hiszpanie.

Zbliżywszy się do jednej grupy, zobaczyłem generała Lacosta rozmawiającego z nieznanym mi człowiekiem w zielonym sarducie ze złotymi guzikami bez szpady. Obaj mieli lunety, przez które przyglądali się miastu.

Z pełnej uszanowania postawy otaczających, domyśliłem się, że ten nieznamy to marszałek Lannes, którego przedtem widziałem raz tylko, w dzień bitwy pod Tudelą, przejeżdżającego galopem. Poważna twarz młodego jeszcze marszałka i harcapy, który nosił zwyczajem przyjętym w pułku „*chassours de la garde*” nadawały mu wybitną cechę.

Porozmawiawszy jakiś czas z generałem Lacoste, gdy ogień armatni i karabinowy stawał się coraz gwałtowniejszy, marszałek powiedział głośno:

— *On s'est aperçu de nous, allons-nous-en.*

Przez cały dzień 26-o nasze baterie ostrzeliwały gwałtownie miasto, które odpowiadało na ogień nie robiąc nam wielkiej szkody.

Wieczorem rozeszła się wiadomość, że odnieśliśmy znaczne korzyści na kilku punktach oblężenia, co będzie miało wpływ na dalszy jego przebieg. Obozowe nowiny udzielaliśmy sobie zwykle rankiem, u markietanki, dzielnej kobiety, u której jadaliśmy śniadania, składające się z zupy ze szkaradnej mąki, z gorszego jeszcze cukru i wina, a czasami wyjątkowo z filiżanki czekolady. Kobieta ta zbudowała sobie coś nakształt kominka kuchennego, z płaskich kamieni pożyczonych — jak się później okazało — z sąsiedniego cmentarza. Pewnego dnia gdyśmy byli tam zebrani, jak zwykle, przy ognisku z oliwnych drewek jeden z oficerów spostrzegł urywek napisu na jednym z kamieni i zdołał odcyfrować następujące słowa:

„*Percussus morbo decessit qui intus jacet.*”

Dziwna niekonsekwencja serca ludzkiego! Odkrycie to zniechęciło wielu oficerów: ludzie ci, którzy co chwila narażali się na śmierć, czuli wstręt nieprzewyciężony do jedzenia, gotowanego na płytach grobowych.

IV.

Szturm w d. 27 stycznia. — Casa Gonzalès. — Walka na ulicach. — Lacoste i Rogniat. — Klasztor świętej Moniki. — Szturm do Cosso.

— Kapitan Ball. — Dzień 18 lutego.

Dzień 27 stycznia zapisał się krwawo w dziejach oblężenia. Od rana artyleria podnosiła ogień. O 9-ej oddziały, przeznaczone do szturmowania, ruszyły naprzód, 400 wołyżerów z 14 francuskiego i 2 polskiego pułku pod dowództwem podpułkownika Stahla, zebrały się za fabryką oliwy, położoną niedaleko od miasta. Mieli oni zdobyć wyłom w ogrodowym murze klasztoru św. Moniki. Druga, słabsza kolumna przeznaczona była do opanowania wyłomu w pobliżu baterii Palafoxa naprzeciw klasztoru św. Józefa, trzecia kolumna skierowana została do Casa Gonzalès, odosobnionej budowli, nie połączonej fortyfikacjami z miastem. Do tej kolumny należał batalion 2 pułku legii Nadwiślańskiej, pod dowództwem podpułkownika Bayera. Prócz tego miano przypuścić szturm do stojącego pośrodku klasztoru St. Engracia. Z trzech ataków powiódł się tylko jeden ten w pobliżu baterii Palafoxa. Zdobyliśmy tam wyłom i kilka ulic w pobliżu. Wyłom w ogrodzie św. Moniki był za wysoko, żeby się można było wderać masą, a gdy się to wreszcie udało, nasi musieli się cofnąć skutkiem gwałtownego ognia działowego i karabinowego, pozostawiając tylko małą zatogę w samym wyłomie. Nasi wołyżerowie dokazywali cudów, pomimo trzech min, które wybuchnęły, wypełnili rozkaz, ale nie mogli dokonać rzeczy niemożliwych. Podpułkownik Stahl i kilku oficerów otrzymało ciężkie rany.

Atak na Casa Gonzalès, w którym brałem osobiście udział, nie powiódł się zupełnie. Doszliśmy do tego budynku i wtargnęli do środka, ale ogień miejskich murów był tak gwałtowny, że musieliśmy

się cofnąć. Podpułkownik Bayer otrzymał postrzał w policzek. Mój zacny kapitan, Matkowski, ciężko ranny, dostał się do niewoli. Kula karabinowa strzaskała mu nogę. Kilku żołnierzy rzuciło się na ratunek, ale padli ranni lub pozabijani, a my powróciliśmy — trzeba przyznać, że w zupełnym popłochu — do przykopu, po ochłonięciu dopiero spostrzegliśmy, że niema kapitana. Marszałek Lannes, patrząc z reduy na to, co się stało, powiedział: „*qu'on uvait trop dumaudé de ces gens.*” Szturm do St. Engracia powiódł się świetnie, po większej części dzięki znakomitemu dowództwu pułkownika Chłopickiego, za co został on mianowany przez dowódcę korpusu Junota komendantem tego klasztoru. I tu także padło bez potrzeby wielu oficerów i żołnierzy, ale nie zważało się na to, byleby tylko główny cel został osiągnięty. Hiszpanie też ponieśli znaczne straty; zabraliśmy im 15, czy 18 dział, mieli około 600 poległych, ale i u nas było 100 zabitych i rannych, a między nimi dużo oficerów.

W jaki sposób dostał się do niewoli mój nieszczęśliwy kapitan, nie dowiedziałem się nigdy. Po zdobyciu Saragossy znaleźliśmy go w szpitalu, Ale zmarł nazajutrz po naszym wejściu, nie poznawszy żadnego z oficerów, którzy go odwiedzali. Był już w ostatnim okresie tyfusu, który zabrał tam tysiące ofiar. Nasza prośba o pozwolenie wyprawienia mu uroczystego pogrzebu została odrzucona przez dowódcę, generała Lavała z uwagą że: „tylu męźnych oficerów zostało pogrzebanych bez żadnych uroczystości, to i tego oddać można ziemi bez szczególnych honorów”.

Tegoż samego wieczora opanowaliśmy — choć na krótko — Casa Gonzalès i zastaliśmy tam w rowie jedenaście ciał naszych żołnierzy, ohydnie poranionych. Jednym poodrąbywano ręce, drugim poprzeciągano przez łydki rozpalone stemple od karabinów, innych wreszcie bezwstydnie okaleczono.

41

Następnego dnia zaczęliśmy się umacniać na zdobytych pozycjach. Z rozpoczęciem walki na ulicach nastąpiła w naszej służbie zmiana: zamiast wieczorem, wychodziliśmy na wartę o 6-ej rano, żeby oficerowie i żołnierze mogli się łatwiej zorientować na stanowiskach. Pułk stojący na warcie musiał dawać do robót żołnierzy, którzy po zluźnieniu pozostawali w mieście jako rezerwa. Tym sposobem każdy oddział wojska stał zawsze na oznaczonym miejscu, co było tem potrzebniejsze, że Hiszpanie aż nadto dobry użytek umieli robić z wązkich i krętych uliczek miasta.

Dnia 28-go zawrzała na całej linii gwałtowna walka. Byłem tego dnia na posterunku w fabryce oliwy, z której ostrzeliwaliśmy z czterech moździerzy klasztor św. Augustyna i św. Moniki. A że z każdego z nich rzucono co kwadrans bomby, następnego dnia ogłuchłem zupełnie. 29-go nowy szturm do św. Moniki, ale i ten spełził na niczem, zrobiliśmy wyłom, podkładali minę za miną, lecz nie zdobyliśmy twierdzy. Dopiero 30-go udało się kompanii grenadierów z 14-go pułku, pod dowództwem kapitana Hardy, opanować górny ogród i kościół. Usiłowania Hiszpanów, żeby odzyskać utraconą pozycję, zostały odparte zwycięzko.

Te kilkakrotne niepomysłne szturmy do św. Moniki zajęły nam dużo czasu. Dziwna rzecz, iż żaden z naszych katolików nie wiedział nic o tej świętej, co nam tyle złego uczyniła, i dopiero kiedy wpadł w nasze ręce uniwersytet, z którego żołnierze wynosili książki naręczami i podpalali niemi ogień, jeden z oficerów znalazł wśród tych książek żywot św. Moniki. W wiele lat potem, widząc w Paryżu piękny obraz Ary Scheffera, przedstawiający św. Augustyna i jego matkę, przypomniałem sobie te dwa klasztory, zbudowane pod ich wezwaniem. Dnia 1-go lutego spadła na obóz jak piorun wiadomość o śmierci generała Lacoste, nie było nikogo,

42

ktoby bez współczucia i żalu dowiedział się o stracie tego oficera. Był to człowiek wielkiej dobroci i rozumu, wysokiego wykształcenia, nawskroś żołnierz pełen ludzkości, który umiał nakazać dla siebie posłuszeństwa i obudzić przywiązanie. Następcą jego został pułkownik Rogniat, ten, który wsławił się później napaścią na Napoleona. Oficer ten nie był tak lubiany przez żołnierzy, jak generał Lacoste. Fizyognomia jego nie była sympatyczna: uważano ogólnie, że jest wyniosły, a nawet pogardliwy względem swych podwładnych.

Im posuwaliśmy się dalej, tem zajadlejszy był opór. Wiadomo, że chcąc uniknąć śmierci, a przynajmniej wystawiać się na nią o ile można najmniej, trzeba nam było zdobywać jeden po drugim domy zamienione na reduty, gdzie śmierć czyhała na nas zewsząd: z otworów piwnicznych, z po za drzwi, z po za okiennic podziurawionych zawczasu. Wchodząc do domu, trzeba go było przeglądać starannie, od fundamentów do strychu. Nauczyło nas doświadczenie, że nagle zaniechanie oporu może być wybiegiem wojennym.

Często zdarzało się, że ci, co zajmowali jedno piętro, ginęli od strzałów, padających z wyższego piętra przez otwory, porobione zawczasu w podłogach. Wszystkie kąci i zakamarki, zwykle w starych domach, ułatwiały te mordercze zasadzki. Trzeba było nadewszystko czuwać nad dachami. Aragończycy w swoim konopnym obuwiu chodzili po nich z taką łatwością i tak cicho, jak koty, co im ułatwiało niespodziewane powroty po za linie hiszpańskie. Była to istna wojna partyzancka, prowadzona w powietrzu. Siedząc spokojnie w domu zajęтым od kilku dni, można było zginąć nagle od strzałów padających jak z nieba. Po zajęciu każdego domu trzeba było przedewszystkiem zasłaniać drzwi i okna worami piasku, zabezpieczać schody i komunikacye, jednym słowem oszańcowywać się, zanim można było

43

posuwać się dalej. W tych strasznych warunkach nasi saperzy i minierzy dokonywali cudów. Zjawiali się zawsze tam, gdzie groziło niebezpieczeństwo, a pomoc ich była bardzo potrzebna: na czele kolumny idącej do ataku, w piwnicach, gdzie nieprzyjaciel pozakładał petardy i miny; wszędzie, gdzie były jakieś drzwi do wysadzenia, jakieś przejście do otwarcia. Często, wchodząc do domu, wpadaliśmy niespodziewanie na mur wewnętrzny, najeżony karabinami. W teje samej chwili następował wybuch i ginąca śmiercią zaporą rozpadała się, zanim można było przypuścić, że saperzy zdążyli uporać się z przygotowaniami. Największą trudność stanowiło torowanie sobie drogi przez fundamenty klasztorów i kościołów; nieraz całemi godzinami musieli saperzy pracować, zanim mogli dostać się do właściwego punktu.

Hiszpanie ze swej strony nie szczydzili niczego, co mogło paraliżować nasze postępy. I tak, zmuszeni opuścić jakąś budowlę, zawieszali wiązki drzewa nasyczonego żywicą na oknach, drzwiach, balkonach i podpalali. Ogień nie mógł strawić domów budowanych z kamienia, ale opóźniał nasze wejście i dawał czas oblężonym do zabarykadowania się w sąsiednich domach.

Dzień 5 lutego był również krwawy, ale zdobyliśmy dużo pojedynczych, ważnych punktów. Główne straty poniósł 3-ci pułk Nadwiślański, który postradał dowódcę batalionu, podpułkownika Bilińskiego.

Cały ciężar uciążliwej walki dźwigały słabe liczebnie dywizye Grandjean i Musnier, 1-a i 2-a w początkach lutego mające zaledwie 10,000— 11,000 ludzi. Codziennie jedna trzecia część tych wojsk była zajęta przy straży i robotach oblężniczych — druga stała w rezerwie — trzecia na służbie zewnętrznej i obozowej, co się nazywało dniem odpoczynku. Dodawszy do tego ciągłe alarmy i wycieczki nieprzyjaciela,

44

które nas trzymały pod bronią, można sobie wyobrazić nasze trudy i położenie.

Czas już było położyć koniec cierpieniom żołnierzy; cztery tygodnie dłużej takiej walki, a niktby nie mógł zaręczyć, jaki będzie jej rezultat.

Dzień 7 lutego był dla mnie jednym z najokropniejszych dni oblężenia. Hiszpanie opuścili szpital urządzony w przytułku dla sierot, obawiając się, żeby ich nie wysadzili w powietrze nasi minierzy, których robotę mogli słyszeć. Weszliśmy tam zaraz po ich wyjściu — ale widok, jaki się nam ukazał — był straszny. Zastaliśmy na łózkach dwa, czy trzy ciała umarłych na tyfus, który tam silnie grasował, a podłogę całą zasłaną trupami. Zaledwie zajęliśmy budynek, gdy wybuchnęły w jednym jego skrzydle płomienie i w mgnieniu oka stanął w ogniu cały gmach, przygotowany do podpalenia. Trzeba było coprędzej opuścić to miejsce okropne. Długo jeszcze po spaleniu szpitala powietrze przepelnione było wstrętnym odorem spalenizny, tem przykrzejszym dla nas, że wiedzieliśmy, z czego pochodzi.

Mnie tego dnia trafiła się niezwykła przygoda. Byłem odkomenderowany z 20 ludźmi do osłaniania lewego skrzydła kolumny i, prowadzony przez sierżanta od saperów, miałem przejść z jednej sali, przez małe podwórko, do drugiego budynku. Ale sierżant czy nie zrozumiał rozkazu, czy zablądził — co prędzej przypuszczam — dość, że dostaliśmy się nagle w dym i otoczyły nas płomienie. Zmyliliśmy drogę, a dym był coraz gęstszy i coraz bardziej duszące straszliwe wyciewy stawały się nie do zniesienia. Wreszcie wszyscy rozproszyli się i zaczęli ratować się na własną rękę. Szczęśliwy pomysł powybijania szyb dał nam trochę światła i powietrza. Sierżant zorientował się nanowo i po kilku jeszcze zawrotach wydobyliśmy się żywi i cali z tego piekła.

Nazajutrz cała nasza dywizya wzięła udział w szturmie ulicy Cosso. Pośród ciągłego

45

grzechotania strzałów karabinowych odzywały się to donośne głosy dział, to huk wybuchającej miny. Byłem na *Cosso* z pięćdziesięcioma żołnierzami, zajęty budowaniem barykady. Grenadyerowie, porozstawiani w oknach sąsiednich domów, osłaniali naszą robotę, mającą na celu zabezpieczenie komunikacji z jednej strony ulicy na drugą. Nagle zobaczyliśmy dym i usłyszeliśmy huk i świst, jednocześnie obsypał nas grad kartaczy. Tak pokropili nas Hiszpanie z poza przeciwległego domu, strzelając z zaimprovizowanej baterii.

Wszyscy żołnierze uciekli. Został tylko na miejscu kapitan grenadyerów, Ball, rodem z Wołynia, człowiek bez wysokiego wykształcenia, ale najpiękniejszych form, znany jako najlepszy człowiek i oficer, a który w tej chwili rozmawiał ze mną.

Patrz-no! — zawołał. — Wszyscy uciekli i panowie grenadyerzy także!

I spokojnie, jak gdyby nic się nie stało, poszedł do miejsca, gdzie się zrobił wyłom na ulicę. Kiedyśmy już tam stanęli, zatrzymał się i powiedział:

To jest służba *de fatigue*, która się zaczyna od niższych stopni, więc pan musisz iść naprzód. Przepuścił mnie przed sobą i dopiero za mną przeszedł przez wyłom. Zebrał ludzi, wyrzucając im, że bez rozkazu zesłi ze stanowiska. Istnym cudem mieliśmy tylko trzech zabitych, a ani jednego ранnego, pomimo, że ulica, na której staliśmy, pełna była żołnierzy. Nie przywiązywałem wagi do tej przeprawy, uważając, że spełniłem tylko obowiązek; ale miała mi ona przynieść korzyść, bo kapitan Ball pochwalił moje zachowanie się przed pułkownikiem, u którego miał wielkie уваżanie. Podczas gdyśmy posuwali się naprzód, na innych ważnych punktach, tak na lewem, jak na prawem skrzydle, i na drugim brzegu rzeki nasi robili postępy. Z jednej baterii, ustawionej blisko ujścia Huerby, można było śledzić posuwanie się naszych wojsk; my, młodzi oficerowie,

46

chodziliśmy tam wieczorami pod koniec oblężenia i patrzyliśmy z radością na postępy naszych, uważając ich za bardzo szczęśliwych, że mogą walczyć na otwartym miejscu, kiedy nam przypadła w udziale ta okropna walka uliczna po domach i piwnicach.

W ciągu następnych dni odzyskaliśmy, nie bez trudu, kilka pozycyj na Cosso. D. 12-go lutego szturm do gmachu uniwersytetu, przypuszczony przez 3-ci pułk Nadwiślański, nie udał się z winy minierów, którzy nie doprowadzili dość daleko swoich podkopów. Skutkiem tego wybuch miny nie zrobił wyłomu i nasze kolumny, idące do ataku bez osłony, pod gwałtownym ogniem nieprzyjaciela, musiały się cofnąć, straciwszy czterdziestu ludzi, a pomiędzy nimi dwóch oficerów.

Dużo wtedy mówiono o pułkowniku Chłopiczku, który cieszył się wielkiem уваżaniem tak u Polaków, jak i u Francuzów. Niektórzy oficerowie z jego pułku byli nim zachwyceni, a inni nie mogli się dość naopowiadać o jego porywczowości i wymaganiu rzeczy niemożliwych. Widywaliśmy go często przy t. zw. *attaque de droite*, kiedy żołnierze witali go z mieszaniną radości i uszanowania, a oficerowie, zwłaszcza starsi — spoglądali na niego z niechęcią.

Jedną z ostatnich i najkrwawszych walk było zdobycie *Calle de las Arcadas* i posłużyliśmy się tym razem skutecznie działami. Widziałem wtedy przykład wytrwałości oblężonych. Jeden z domów, o które z nami walczyli, na rogu tej samej ulicy *de las Arcadas* i *Cosso*, był podziurawiony przez kule na wylot. Pomimo to, jego obrońcy, schroniwszy się na wyższe piętro strzelali tak gwałtownie, że niepodobna nam było posunąć się dalej.

Dzień 18-ty lutego rozstrzygnął o losach walki. Od godziny 8-jej rano francuskie baterie na całej linii rozpoczęły gwałtowny ogień, który trwał do południa. Podczas gdy dywizya Gazan walczyła na drugim brzegu rzeki, my również toczyliśmy

47

gwałtowną, i decydującą walkę. Po długich bezowocnych wysiłkach na Cosso i przyległych ulicach, około trzeciej wybuchnęły duże miny każda po 1600 f. prochu, założone pod uniwersytem.

Trzy kompanie mojego pułku i dwie 14-go rzuciły się w zrobiony wyłom i zdobyły ten gmach bez wielkiego oporu ze strony Hiszpanów. Jednocześnie dom na rogu ulicy *de Las Arcadas*, do którego przypuszczono szturm po raz szesnasty, został nakoniec zdobyty prawie bez wystrzału. Kapitan Ball dowodził tym atakiem. Mieliśmy i tu sposobność podziwiać jego zimną krew, spokój i pewność; miał on zwyczaj na bitwę ubierać się najstaranniej. Bitwy — mawiał zwykle — to nasze święta i trzeba się na nie ubierać odświętnie.

Pod koniec walki, w której wpadło nam w ręce ośm dział, zająłem z 40 grenadyerami stanowisko w domu na wprost *Puerta del Sol*. Ogień bardzo silny trwał do wieczora. Ale żołnierze, nauczeni doświadczeniem, umieli się uchronić od strzałów. Miałem jednego tylko poległego, starego sierżanta, który trochę podpiwszy, za dużo się przechadzał i pomimo moich ostrzeżeń, narażał się bez potrzeby. Zabił go ostatni wystrzał, padający o zmroku.

Rezultat tego dnia napełnił nas otuchą, ponieważ zrobiliśmy znaczny postęp.

Nazajutrz, po zluzowaniu nas ze stanowiska, poszliśmy do przykopów, wiedzeni ciekawością i chęcią zobaczenia, co się dzieje na innych punktach. Zastaliśmy w szańcach prawie wszystkich jenerałów. Marszałek Lannes rozmawiał z oficerem

inżynierzy, w tym samym domu, któryśmy tyle razy zdobywali. Jenerał Junot gawędził w gmachu uniwersytetu z oficerami 14-go pułku. Grandjean i Habert byli też niedaleko. Nasz kapitan Ball zajęty był poszukiwaniem ciała poległego sierżanta, którego chciał pogrzebać. Oddałem te zwłoki oficerowi, który mnie zluźował na stanowisku. Ball był — jak zawsze —

48

„tiré à quatre épingles”. — Mój stary Tomaszewski — odezwał się do mnie — miał wprawdzie tę wadę, że lubił czasem zaglądać do kieliszka, ale postradałem w nim najlepszego z moich sierżantów i najstarszego towarzysza broni.

Sam kapitan towarzyszył ciału i zajął się pochowaniem go tegoż wieczora w pobliżu obozu. Gałązka wawrzynu, którą złożył na jego mogile i wzruszająca przemowa, jaką miał do swoich grenadyerów po spuszczeniu ciała do grobu, dawały najlepsze świadectwo tak o kapitanie, jak i o poległym sierżancie. Znałem później wielu, wielu oficerów, ale kapitan Ball pozostał dla mnie na zawsze prototypem prawdziwego kapitana grenadyerów.

Walka następnych dni odbywała się ciągle w ten sam sposób. Wzięliśmy klasztorne *la Trinidad* i posunęli się do *Puerta del Sol*. Środek naszej armii dotarł do Cosso. Wieczorem rozeszła się wiadomość, że Hiszpanie wystąpili z propozycją poddania miasta. Pomimo to prowadziły się dalej oblężnicze roboty, a że marszałek Lannes sam ich doglądał i naglił o pośpiech, sądziliśmy, że wiadomość o kapitulacji była bajką, jakich tyle krążyło w obozie. Kompania 3-go pułku Nadwiślańskiego otrzymała od marszałka rozkaz zajęcia domu, połączonego z barykadą na moście na Ebro, a do którego można było dostać się tylko idąc pod ogniem nieprzyjacielskim ze dwieście kroków, kompania w tem przejściu straciła jedną trzecią część żołnierzy, ale spełniła zadanie. Dom i barykada bronione były przez niewielką liczbę Hiszpanów, lecz mimo to położenie naszego oddziału, otoczonego naokoło przez nieprzyjaciela, bez zabezpieczonej linii odwrotu — było bardzo niebezpieczne. Ale zawieszenie broni, zawarte wieczorem, uspokoiło nasze obawy o los kompanii. Pomimo, że strzały umilkły, podejrzewaliśmy jeszcze w tem podstęp Hiszpanów i mieliśmy się całą noc na baczności. Ale nazajutrz rano rozwiały

49

się nasze obawy. Byliśmy rzeczywiście panami miasta, pomimo, że jeszcze stały hiszpańskie stráže, mierząc z karabinów za naszym zbliżeniem i wołając groźnie: *Atras!* (nazad).

V.

Poddanie się miasta. — Rabunek. — Wycieczka na miasto. — Matka Boska del Pilar. — Calle de Toledo. — Refektarz w klasztorze św. Józefa.

Nareszcie w południe 21-go lutego poszliśmy w pełnej formie, pod bronią ku *Puerta del Portillo*, gdzie załoga miała składać broń. Każdy z nas wziął sobie za punkt honoru, żeby zatrzeć ślady przebytych cierpień. Płaszczki poosmalane prochem, podziurawione przez kule, pozwijaliśmy starannie na tornistrach, karabiny, wyczyszczone dokładnie, połyskiwały w słońcu. Pochód na plac parady był uciążliwy z powodu pieńków sterczących po wyciętych drzewkach oliwnych, złych mostów na Huerbie i rynien rozprawdzających wodę, o które trzeba było się potykać. Wnet po naszym przybyciu przyjechał marszałek Lannes ze sztabem. Przejechał z wolna przed frontem, nie powiedziawszy do nas nic, prócz upomnienia „*corrigez l'alignement!*”.

Po upływie godziny ukazała się przednia straż Hiszpanów; tłum młodzieniaszków od szesnastu do ośmnastu lat, nieumundurowanych, w szarych płaszczach i czerwonych kokardach u kapeluszków, paląc papierosy, ustawił się nawprost nas. Wkrótce nadsięgnęła główna siła armii, złożona z ludzi różnego wieku, wszelakich stanów, część w wojskowych mundurach, większość w stroju chłopskim. Było tam ciekawe zbiorowisko typów i strojów ludowych i niższych stron półwyspu: z Aragonii, Nawarry, Kastylii, Walencji, Katalonii, Andaluzji. Oficerowie na mułach

50

lub osłach, odróżniali się od żołnierzy tylko trójrożnemi kapeluszkami, długimi płaszczami i grubymi harcapami, spadającymi na plecy. Palili papierosy, rozmawiali i wydawali się zupełnie obojętni na grożące im blizkie wygnanie. Nie wszyscy jednak byli równie zrezygnowani, bo wkrótce zaczęli nadsięgać inni, których nasi żołnierze powyławiali z domów, gdzie usiłowali się ukryć; nasi poganiali ich przed sobą, bijąc kolbami.

Następnie jenerał Morlot, który z pułkami 116-ym i 117-ym przeznaczony był do odprowadzenia jeńców do Francji, dał rozkaz ruszenia w pochód, i cała załoga, wynosząca ośm do dziesięciu tysięcy ludzi, przedefilowała przed nami. Większa ich część wyglądała tak nie po żołniersku, że nasi ludzie oburzali się głośno, mówiąc, że nie należało robić sobie tyle kłopotu dla takich chłystków. Wielu ganiło układ zawarty z paczką oberwańców i utrzymywało, że lepiej było dla przykładu wyciąć ich w pień co do jednego — a tak pokaże się, że źle wyjdziemy na naszej łagodności.

Wstęp do Saragossy był jeszcze urzędownie wzbroniony pojedynczym wojskowym: u wszystkich bram postawiono stráže. Nasi żołnierze jednak znali zanadto dokładnie wszystkie dróżki i przejścia i od pierwszego dnia rozpoczęły się „*promenades en ville,*” z których nie powracało się z próżnemi rękoma. Wieczorem 21-go lutego było już w całym obozie podostatkiem wina, wspaniałe półcie słoniny gotowały się w kotłach, pełno było worków z ryżem, bobem i t. p.

22-go lutego zostałem posłany do miasta po odbiór naszych racyj wina. Taki był natłok i nieporządek, że nie mogłem ich dostać przez kilka godzin. Jeden z oficerów, zmuszony czekać tak samo, zaproponował mi wycieczkę na pobliskie ulice. Pierwsza nasza wyprawa była do słynnego kościoła *del Pilar*, stojącego w pobliżu. Trzeba było iść

51

przez kilka minut brzegiem rzeki, przedostać się przez barykady i dymiące jeszcze ruiny domów.

Plac przed kościołem przedstawiał widok, którego się nie zapomina. Zapelniony był modłąciami się kobietami i dziećmi, trumnami i trupami, dla których trumien zabrakło. Miejskami stało po dwadzieścia trumien jedna na drugiej. W jednej z nich otwartej spoczywały zwłoki starca, przybrane w bogaty mundur niebieski z czerwonym i suto haftowanymi wyłogami. Przy trumnie młoda jakaś osoba, bardzo piękna, z rozpuszczonemi włosami, modliła się gorąco. Od czasu do czasu podnosiła żywo głowę, patrząc z niepokojem w stronę kościoła, czy oczekiwany ksiądz nie nadchodzi. Złowroga masa trumien zapelniała przedsionek kościelny i boczne nawy; posadzki głównej nawy nie było widać pod czarnymi postaciami pochylonemi w modlitwie,

których łkanie mieszało się z monotonnymi modlitwami księży. Spostrzegłem tam, klęczących niedaleko wielkiego ołtarza, kilku żołnierzy francuskich. Dym kadzideł i niezliczonych świec podnosił się zwolna pod sklepienie, podziurawione naszymi kulami.

Calle de Toledo miała wygląd jeszcze bardziej złowrogi. Było to główne schronienie ludności z dzielnic zajętych przez nas i zbombardowanych. Pod arkadami leżały w nieopisanym nieładzie dzieci starcy umierający, umarli, różne meble i zwierzęta domowe, wycieńczone głodem. Na środku stos trupów, po większej części zupełnie obnażonych: gdzieś płonęły ogniska, przy których biedacy gotowali pożywienie.

Szczególniej dzieci, wychudzone, z oczyma płonącymi gorączką, robiły wrażenie bolesne. Ponure po stacie, poowijane w wielkie płaszcze, rozmawiały z ożywieniem, lecz milkły, gdyśmy się zbliżali, udając, że na nas nie patrzą. Byłem później świadkiem wielu krwawych bitew, sam leżałem wśród rannych i zabitych, ale nigdy od tej pory nie mogłem

52

opanować przykrego wrażenia, jakie na mnie czyni widok trupów leżących spokojnie w łóżku.

Powierzchność dzielnic już zdobytych była niemniej przerażająca. Od samego Świętego Józefa i Santa-Engracia aż do Cosso wszystkie ulice zavalone były barykadami i pogruchotanymi szczątkami mebli. Przejście możliwe było tylko przez wnętrza domów najmniej zrujnowanych, a zajętych przez naszych żołnierzy. Dla łatwiejszego orientowania się wśród tych ruin, powypisywano węglem, wielkimi literami numery pułków, batalionów i kompanij i porozstawiano przewodników. Przy tej sposobności żołnierze zabawiali się rysowaniem karykatur i napisów zanadto żartobliwych, które stanowiły dziwaczny kontrast z otoczeniem. I tak, w klasztorze Świętego Józefa, gdzie walczone tak długo, można było wyczytać, napisany wielkimi literami na ścianie refektarza następujący dwuwiersz:

„*L'amour et la m..... sont deux canailles*
„*L'une gâte les coeurs et l'autre les murailles*”.

Prawdę tych słów można było sprawdzić na miejscu, bo wszystko w pobliżu było tak zanieczyszczone, że przejść było trudno.

VI.

Sylwetki wojskowe: Lannes, Junot, Laval. Habert. — Msza wojskowa w kościele del Pilar. — Wyjazd Palafoxa. — Uwagi.

Podczas oblężenia przełożeni i podwładni stykają się z sobą codziennie. Pośród naszych przywódców zwracali najczęściej uwagę Lannes i Junot. Lannes odwiedzał często rozmaite posterunki, miał oko na wszystko, a żołnierze wiedzieli, że zawsze o coś zapyta. Francuzi przepadali za nim; Polacy nie byli wprawdzie niechętni, ale nie mieli dla niego takiej sympatii, jak dla pułkownika Chłopickiego;

53

gdy ten ukazał się pośród nas — co się często zdarzało, gdy naprzykład dowodził atakiem — promieniały twarze wszystkich żołnierzy. Wszyscy byli zachwyceni, gdy zapytał:

— Jak się macie, chłopcy!

Ale ten urok, jaki wywierał na żołnierzy, nie działał na oficerów. Względem nich Chłopicki był surowy, nieubłagany na punkcie karności, a często zbyt gwałtowny. Oстрыm, stanowczym tonem rozkazów, skąpymi pochwałami, trzymał wszystkich w pewnym oddaleniu. Zarzucano mu, że miał ulubieńców, dla których był słaby — ale przyznawali mu wszyscy, że dzielnych, odważnych ludzi umiał ocenić według zasług. Jego wyróżniająca się osobistość samą powierzchownością i obejściem budziła szacunek, jeżeli nie przywiązanie.

Junot wieczorami przychodził często na biwaki, siadał na bębnie lub kłodzie drzewa i gawędził z wyższymi oficerami. Całe jego obejście miało wybitną cechę żołnierską; szczery i otwarty w swoich zdaniach i poglądach, mówił bez ogródek o wszystkim, co mu na myśl przyszło, a wyrażenia takie, jak: *bête, bêtise, maraud, pequin* — z dodatkiem innych jeszcze dobitniejszych, nie dały długo na siebie czekać. Jeden oficer sztabowy z naszego pułku, odznaczający się więcej zdolnościami i nauką, niż wojskową dzielnością, utrzymywał, że Junot jest trochę waryat. Pamiętam, jak pewnego dnia — po odejściu generała, który długo siedział przy ogniu i rozprawiał, nasz major wyraził się o nim:

— Jak to być może, żeby taki człowiek, który jest kompletnym waryatem, miał dowództwo nad korpusem?

A tymczasem poczciwego majora, który wydał ten wyrok, mieli ludzie za takiego samego narwańca, za jakiego on uważał Junota. Wybitne miejsce wpośród generałów zajmował dowódca brygady, Habert, silnie zarosły, energiczny

54

i stanowczy, z postawą atlety i szorstkiem obejściem, bardzo lubiany przez żołnierzy. Przypominam sobie jedno zdarzenie, mające z nim związek.

Zdobyliśmy ulicę, wychodzącą na plac jeszcze zajęty przez naszych przeciwników. Zabarykadowaliśmy to wejście, żeby móżdż przechodzić bez niebezpieczeństwa z jednej strony na drugą. Przechodząc wzdłuż barykady, trzeba było pochylać się dla uniknięcia ognia Hiszpanów, a ludzie wysokiego wzrostu, jak Habert, musieli pochylać się jeszcze więcej. W chwili gdy generał wykonał ten manewr, jeden z żołnierzy będących w pobliżu powiedział głośno:

— Co? To i generałowie także się boją?

Habert, rozścieczony, odwrócił się, schwycił nieszczęśliwego za ramiona i podniósł go w górę na środku ulicy wyprostowując się w całej wysokości. Grad kul sypnął się na nich obu: żołnierz padł przeszyty pięcioma czy sześcioma kulami, a generał wyszedł cało, z lekką tylko kontuzją, otrzymaną w ramię. Poczem rzucił na ziemię skrwawione ciało, uderzył je nogą, dodając grubiańską obelgę i odszedł.

— Dobrze zrobił — mówili Francuzi — To nikczemność powiedzieć coś podobnego takiemu generałowi, jak on!

Generał Laval, mały, chorowicie wyglądający człowiek, nie miał w sobie nic zwracającego uwagę — był przytem przyjacielski i beż żadnej wyniosłości; nosił zawsze szary surdut i z tego powodu żołnierze nazywali go „młynarzem”.

Jenerał Grandjean nie przypominam już sobie wyraźnie — niewiele on miał styczności z wojskiem. Co mi się podobało, to częsty, osobisty udział jenerałów w utarczkach. Można było nieraz widzieć Junota, Haberta, Chłopickiego, samego nawet marszałka Lannes'a biorących karabin do ręki „*pour changer leurs coups de fusil avec l'ennemi*” — jak mówili

55

Francuzi. Marszałek Lannes raz o mało co nie przypłacił tego życiem. Po zdobyciu klasztoru Jezusa ukryty w ruinach Hiszpan strzelił do niego. Rozgniewany marszałek kazał sobie przynieść kilka karabinów na dach budynku i zaczął strzelać do nieprzyjaciela, który w odpowiedzi wycelował haubicę. Jeden granat zabił kapitana inżynierii, stojącego obok marszałka, który pomimo to nie ruszył się ze swego miejsca. Po długim strzelaniu, zszedł wreszcie ze stanowiska tak spokojny, jak gdyby nic się nie stało.

Nie wiem czy tego rodzaju postępowanie godzi się ze stanowiskiem dowódców, ale sądzę, że wtedy szczególnie, kiedy żołnierze zaczynają być znużeni i cierpliwość ich jest zanadto wystawiona na próbę, dobrze jest dać taki przykład energii i mężstwa.

24-go lutego odbył marszałek uroczysty wjazd do miasta. Oddziały rozmaitych pułków tworzyły szpaler od bramy do kościoła M. B. del Pilar. Lannes, jak wszyscy, miał na sobie galowy mundur, obok niego jechał marszałek Mortier, a wszyscy jenerałowie — z wyjątkiem Junota — jechali za nimi. Przybywszy do kościoła, zostali powitani przez duchowieństwo z biskupem na czele, który ich poprowadził do ołtarza, gdzie obaj marszałkowie usiedli w fotelach. Trzeci, przeznaczony dla Junota, pozostał pusty. Rozpoczęła się msza, która o ile mi się zdawało, różniła się dużo od naszej. Podczas Podniesienia, kiedy uderzono w bębny, jak to jest zwyczajem w wojsku francuskim — przestraszeni Hiszpanie zaczęli się skupiać, ale zobaczywszy, że obaj marszałkowie wraz z orszakiem pochylają się pobożnie, odzyskali odwagę. Po mszy wszyscy złożyli przysięgę na wierność królowi Józefowi, a biskup miał mowę o nieszczęściu, jakie spadło na Saragossę. Zrozumiałem z niej bardzo mało, tak samo, jak większa część obecnych. Na Hiszpanach

56

zrobiła ona głębokie wrażenie. Potem nastąpiło *Te Deum*, odśpiewane przez biskupa na uczczenie zwycięstwa Francuzów, a towarzyszyły mu strzały naszych armat.

Nazajutrz został wywieziony Palafox, który — gdy miasto się poddało — leżał chory w piwnicach *Casa de los gigantes*. Przeniesiono go na dywanie, okrytym białym prześcieradłem, do powozu zaprzęzonego w cztery dobre muły i wysłanego mate-racami. Gdy go wyniesiono na ulicę, dobosze uderzyli w bębny — trębacz oddziału dragonów przeznaczonych do eskorty jeńca zatrąbił — wojsko sprezentowało broń; adjutant marszałka, z kapeluszem w rękę szedł obok Palafoxa. Wydawał się on chory i cierpiący, nie zwracał na nikogo uwagi, a i Hiszpanie zachowywali się obojętnie względem tego człowieka, któremu nie udało się ocalić miasta.

Oblegaliśmy Saragossę 52 dni — 23 walczyliśmy na ulicach i w domach. Postradaliśmy około 3,000 ludzi, nie licząc tysięcy tych, którzy poumierali w szpitalach.

Straty Hiszpanów, rachując tych, których zabrał tyfus, wyniosły około 53,600 ludzi.

Rozgłos jaki miało to oblężenie, znalazł echo w całym świecie. Ale dziwnym jest to, że wysławiano tylko męstwo oblężonych, choć te pochwały właściwie należały się oblegającym.

13,000 ludzi — bo korpus oblężniczy nie liczył więcej — trzymało w oblężeniu duże, ufortyfikowane miasto, z trzydziestotysięczną załogą — w najtrudniejszych warunkach wdarło się do środka miasta i zmusiło je do kapitulacji.

Miasto skutkiem położenia i oszańcowania było dość mocne: ośmdziesiąt klasztorów miejskich stanowiło tyleż twierdz do zdobycia. Przesada, z jaką cały świat mówił o męstwie Hiszpanów, miała swoje źródło w ogólnej nienawiści do Francuzów. W przesadzaniu strat wojsk oblężniczych nieprzyjacielem

57

jętcieli nasi znajdowali pociechę i uspokojenie, a w oporze, stawianym przez Hiszpanów, godny naśladowania przykład.

Dziwna też była zawziętość i niechęć starszych oficerów francuskich do rodzaju tej walki i sposobu, w jaki ludzie ją prowadzili. Gdy raz stałem na straży w klasztorze Augustyanów, o ile sobie przypominam, przyniesiono tam śmiertelnie ранnego kapitana grenadierów, nazwiskiem Hardy, mającego bardzo dobrą opinię. Ponieważ byliśmy z sobą w przyjaznych stosunkach, przybliżyłem się do noszów i zacząłem go pocieszać, że jeszcze będzie mógł powrócić do służby.

— *Ah non, mon jeune ami!* — odpowiedział — *c'en est fait de moi — je sens déjà la mort dans mes entrailles — mais je suis au désespoir de me voir tué par ces gredins de brigands — pourquoi ne suis-je pas tombé à Eyleau ou Friedland, en combattant avec des gens dignes de nous?*

Odnieśli go klęczącego i wymyślającego na *ganaches* i *carajos*. Ręka, którą mi podał na pożegnanie, była zimna jak lód, a nazajutrz oddano już ziemi ciało dzielnego żołnierza.

Nasz pułk pozostał w obozie do 6-o marca. Mustry, parady, wyprawy — wypełniały nam całe dni. Ale pozostawało jeszcze dość czasu, ażeby zwiedzić te miejsca, w których ucierpieliśmy najwięcej. Wielu z nas przekonało się, że tu i tam dużo rzeczy można było inaczej zacząć i inaczej skończyć, ale tak wielka była u nas karność, że nie śmieliśmy głośno odzywać się ze swoim zdaniem. Gdy dziś wszystko to uważam, widzę, że tak w tym razie, jak i w innych — potężny duch Napoleona wszystko przenikał i ożywiał. Jego marszałkowie, jenerałowie, dowódcy dywizji, brygady i pułków, byli tak ośmieleni, że przekładali śmierć nad odwołanie lub dymisyę. Zapewne nęciły ich także wielkie nagrody i odznaczenia, więc porywali się na rzeczy

58

zuchwałe i odważali się na wszystko, co leżało w granicach możliwości.

Jak żywo oblężenie zajęło samego cesarza, dowodem tego jest rozkaz, przysłany z Paryża, d. 6-o marca, do jenerała inżynierii Lery, żeby zrobić szczegółowy rysunek oblężenia z profilami i planami, jako wzór do zdobywania miast otwartych, jak Saragossa, a których mieszkańcy chcieliby się bronić. Wypełnienie tego rozkazu odwlokło się w nieskończoność, skutkiem okoliczności, jakie potem nastąpiły.

VII

El Burgo i koty. — Gwadelupa. — Egzekucja. — Alcaniz. — Morison I jego zamek. — Tragiczny koniec alkalda-melomana. — Zaimprovizowana artyleria. — Gorąca utarczka i zimna kąpiel. — Raport kapitana Solnickiego.

Dnia 5-go marca zostałem wysłany z oddziałem o milę od Saragossy, do wioski zwanej El Burgo, na drodze do Fuentes. Zastałem tam wszystkie domy spustoszone, mieszkańcy puciekali; zostały tylko koty, które błękały się wystraszone i stara kobieta, napół niewidoma idyotka, którą, żywili nasi żołnierze. Opuściłem to przyjemne miejsce prędkiej, aniżelim się spodziewałem. W niecałe dwadzieścia cztery godziny po przybyciu, otrzymałem rozkaz połączenia się z brygadą, która szła do Alcaniz, zagrożonego przez nieprzyjaciela.

Dwie kompanie, z tych jedna moja, zostały przeznaczone do obsadzenia zamku, który góruje nad miasteczkiem tak zwanej cytadeli. Wszystkie wichry z całego świata hulały w komnatach. Zimno tam było przejmujące; drzewa mieliśmy zaledwie tyle, ile potrzeba było do gotowania, a ogień palić można było tylko w rogu podwórza. Marzliśmy jak na Syberii i wspominaliśmy z żalem nasz obóz pod Saragossą i jamy wykopane w ziemi.

59

Pewnego ra na zimno obudziło mnie wcześniej. Stojąc z kolegą pod murem usłyszeliśmy huk bębnow w dolinie, j ukazał się oddział 20 ludzi z oficerem, prowadzący Hiszpana ze związanymi z tyłu rękoma. Na znak, dany przez oficera, oddział zatrzymał się o jakie 100 kroków od góry, na której stoi zamek — Hiszpan ukląkł — a z szeregów wystąpiło 9 żołnierzy i na komendę oficera dało ognia, poczem oddział oddalił się przy odgłosie bębnow, pozostawiając ciało, które następnej nocy zostało zabrane niewiadomo przez kogo. Dowiedzieliśmy się potem, że tego nieszczęśliwego ujęto z bronią w rękę, a bez munduru, i że gdy mu zawiązano oczy, rzucił Francuzom przekleństwo z okrzykiem: „*Viva Fernando VII!*” Pomimo, że musiałem być świadkiem wielu podobnych egzekucji, byłem o tyle szczęśliwy, że nigdy nieznaczano mnie na komenderującego.

Przebywszy 14 dni w tem państwie Eola, otrzymaliśmy rozkaz pójścia z pułkiem jazdy do Morelli, ale Walencyanie za naszym zbliżeniem cofnęli się, a my zajęliśmy Monroyo i Val de Algorfa, zrabowawszy je przedtem. Potem mój batalion powrócił do Alcaniz i stanął kwaterą w ponurym, wilgotnym klasztorze, gdzie wielu żołnierzy zachorowało na febrę. I ja także miałem kilka paroksyzmów, ale nasz dzielny lekarz Gulicz — prawdziwy przyjaciel chorych — wkrótce mnie wyleczył. Na wiadomość, że w górach zbierają się silne oddziały nieprzyjaciół pod wodzą jen. Perena, wyruszyliśmy przeciw nim w drugiej połowie kwietnia, złączony się w Caspe z 3-m pułkiem naszej legii. Przebywszy Ebro, po starym drewnianym moście poszliśmy do Monzon nad rzeką Cinca z obronnym zamkiem, pozycji dosyć ważnej. Brygada odeszła nazajutrz do Barbastro, a w zamku pozostały tylko dwie kompanie, jako załoga, pod dowództwem kapitana Solnickiego. Zostałem mianowany plac-majorem i adjutantem kapitana.

60

Mój dowódca był to stary żołnierz, z kategorii zdanej *non-lettrés*, ale znał się dobrze na swem rzemiośle. Pospieszył się z zajęciem zamku, rozstawił silne stráže w miasteczku, i miał się bardzo na baczności, wyprawiając bezustannie patrole na przeszukiwanie oliwnego lasu pod miastem. Kazał też sobie dostawić żywność na dziesięć dni. Alkald miejscowy był zdecydowanym nieprzyjacielem Francuzów, ale skutkiem szczęśliwego zbiegu okoliczności udało mi się zawrzeć z nim bliższe stosunki. Pewnego dnia, poszedłszy do niego w interesach służbowych, zastałem go przy gitarze, śpiewającego piosenki hiszpańskie. W ciągu rozmowy zapytał mnie czy jestem muzykalny? Za czasów pobytu w uniwersytecie grywałem na gitarze, wziąłem więc instrument do ręki i zaśpiewałem *krakowiaka* i niemiecki *Lied*, z wielkiem zadowoleniem alkalda i dwóch jego córek. Dzięki temu Don Enrique — to jest ja — otrzymałem, zaproszenie odwiedzanie jak najczęstszego domu alkalda. Byłem tam zawsze mile widzianym gościem.

Z wyjątkiem tego, że trzeba było mieć się ciągle na baczności, pobyt w Manzonie był rajem w porównaniu z poprzednimi. Z alkaldem stosunki nasze były jak najlepsze, żywność obfita i w dobrym gatunku, tak dalece, że później nasi żołnierze, jeżeli im było gdzie dobrze, mieli zwyczaj powtarzać: „tu jest tak, jak w Monzonie”. Przebiegając wciąż okolicę, poznaliśmy ją dokładnie, co nam dało możność wybrania się nocą w odwiedziny do Tamarite, do hiszpańskiego przywódcy Perena, który zajmował ca łą okolicę, a mając stosunki w Monzonie, czekał tylko sposobności, żeby na nas napaść. Tymczasem sam został zaskoczony i musiał się cofnąć. Podczas gdy jedna kampania utrzymywała łączność z Monzonem, ja pozostałem z oddziałem w mieście. Korespondowaliśmy z sobą za pomocą umówionych znaków: listków oliwnych i kawałków papieru,

61

co nam pozwalało używać do tych posług miejscowych mieszkańców, nie rozumiejących tego, co nosili.

Po powrocie z wycieczki oddziały nieprzyjacielskie otaczały nas coraz więcej, a wiedzieliśmy, że w mieszkańcach miał Perena pomoc. Idąc za radą kapitana Wyganowskiego, dowodzącego jedną kompanią w forcie, postanowiliśmy zużytkować znalezione tam zapasy artylerii. Było dziewięć armat i dwa moździerze, od których łoża zostały zniszczone. Belki, deski, tarcice były w arsenale; zbudowaliśmy z nich łoża i ustawiliśmy działa. Pewnego dnia mieszkańcy ujrzeli wycelowane z fortu armaty. Proch, zatopiony przez Hiszpanów w studni, został wyłowiony z wody. Kule i granaty były w magazynie, co nam dawało możność strzelania, choćby tylko na postrach, a sposobność do tego nie dała długo na siebie czekać. Jednego dnia zobaczyliśmy gromadę ludzi na drodze do Tamarity, gdzie stał Perena. Wycelowaliśmy zaraz na nich 24-funtowe działo, zapaliliśmy lont, i można sobie wystawić naszą radość, gdyśmy ujrzeli padającą niedaleko od nich kulę. Zabieraliśmy się z należytą ostrożnością do roboty. Żołnierze umieli cofać się, zanim nastąpił wystrzał, a sam kapitan Wyganowski przykładał lont, umocowany na długim drążku. Wprawdzie proch zapalał się z trudnością, sycząc mocno, ale pociski dochodziły do celu. Łoża armat przewracały się naturalnie przy wystrzale, ale dobry skutek, jaki odniosło nasze wystąpienie, zachęcił nas do ustawiania w dalszym ciągu naszej artylerii. Artylerzyści, którzy w Saragossie nauczyli się dobrze swej sztuki, oddali nam wielką przysługę. Zabraliśmy się wszyscy do roboty, a nawet sam komendant, który z początku uważał to za dzieciństwo, patrzył z radością, gdyśmy wszystkie działa

ustawili *en batterie*. Pobiliśmy z nich użytek przy każdej sposobności i dowiedzieliśmy się następnie, że dzięki te mu Hiszpanie pozostawili nas w spokoju.

62

Z alkaldem nasze stosunki były jak najlepsze. Wiedzieliśmy o jego porozumiewaniach się z wojskiem hiszpańskim, lecz nie troszczyliśmy się o to. Życie w cytadeli upływało nam przyjemnie. Ale nasze szczęście nie miało trwać długo. Hiszpanie codziennie podsuwali się bliżej, ukazywały się co chwila ich placówki i patrole. Jednego ranka — gdy, jak zwykle, odbywałem ront w mieście, luzując warty nocne — zobaczyłem niezwykle zbiegowisko przed domem alkalda. Zbliżywszy się, zastałem drzwi otwarte, a alkald leżał zamordowany postrzałem w piersi. Obie córki rozpaczały głośno nad ciałem ojca. W tłumie opowiadano, że ktoś zawołał go po imieniu, a w chwili, gdy otwierał okno, żeby odpowiedzieć na wołanie, padł ugodzony śmiertelnie kulą wystrzeloną z blizka. Nikt nie wiedział, kto strzelił, ani z jakiego powodu. Jedni posądzali przemytnika, który miał dawny zatarg z alkaldem, inni szepnęli mi, że to jest kara wymierzona jednemu z *afrancesadosów*. Myśleliśmy z początku, że to tylko osobista zemsta, ale następnego dnia nie dostarczono nam żywności. Przypisaliśmy to śmierci alkalda i dowódca dał mi rozkaz po rozumieniu się z syndykami i pisarzem — dwoma pozostałymi członkami miejscowej Junty. Ale gdy nam doniesiono, że obaj wyjechali — wiedzieliśmy już, co o tem sądzić.

Tego samego dnia znikli wszyscy zamożniejsi mieszkańcy. Był to dzień targowy i ani jeden wieśniak nie pokazał się w mieście, a na ulicach nie było widać nikogo, oprócz kobiet z ludu i dzieci.

Otrzymaliśmy tegoż dnia, 6-go kwietnia, rozkaz opuszczenia nazajutrz Monzonu, cytadeli i miasta, przejścia przez rzekę Cinca, i po połączeniu się z kompanią stojącą u przewozu, wyruszenia do Barbastro. Mogliśmy już wtedy liczyć napewno na spotkanie z nieprzyjacielem. 7-go rankiem nasze patrole przeszukały starannie miasto i okolicę, po czem wyprawiliśmy chorych i bagaże pod strażą

63

oficera i 25 ludzi. Zaledwie minęli oni ostatnie domy miasteczka, napadł na nich silny oddział nieprzyjacielski, zastrzelił kilka zwierząt z jukami, zabrał część bagażów — między niemi i moje — i zmusił eskortę konwoju do cofnięcia się ku rzece Cinca, i przeprowienia się z pośpiechem na stojącym tam promie. My zaś, wystrzeliliwszy poraż ostatni z naszych dział we wszystkich kierunkach, wyszliśmy z zamku, kierując się przez miasto ku rzece. Ale już przy pierwszych domach przyjęły nas strzały, które nam towarzyszyły przez całe miasto, lecz dziwnym sposobem bardzo mało nam zrobiły szkody. W lesie oliwnym utarczka była gorętsza, odepchnęliśmy jednak nieprzyjaciela i mogliśmy posuwać się dalej. Mnie powierzono dowództwo nad tylną strażą i osłanianie odwrotu. Nieprzyjacieli napierała na nas tak silnie, że w końcu zostaliśmy przeparci do samego brzegu rzeki. Ale stawiliśmy opór i odepchnęliśmy go ze stratą, zdołałem nareszcie wprowadzić moich ludzi na prom spokojnie i bez pośpiechu. Ale że chciałem wsiąść ostatni, odepchnąłem prom, skoczyłem, i chybiwszy skoku, wpadłem w wodę, z której wyciągnęli mnie moi ludzie. Z przeciwnego brzegu patrzyli wszyscy na tę przygodę i obsypywali mnie pochwałami za opór stawiany nieprzyjacielowi. A gdy mnie kapitan zapytał, dlaczego nie wszedłem na prom razem z żołnierzami, odpowiedziałem mu trochę wyniośle, że chciałem postąpić tak, jak Juliusz Cezar.

Na te słowa wszyscy koledzy wybuchnęli głośnym śmiechem.

— Juliuszu Cezarze! — zawołał jeden z nich — namarzniesz się dobrze tej nocy, bo nasze bagaże przepadły! Będziesz miał zasłużoną pokutę za swoje zbyteczne bohaterstwo!

I miał słuszność. Noc była wilgotna i zimna, musieliśmy często przystawać w pochodzie, czekając na wiadomości od wysyłanych na boki patrolów,

64

tak, że napół zmarznięty przybyłem do Barbastro, gdzie zastaliśmy załogę pod bronią, a generała zaniepokojonego o nasz los. Stanęliśmy kwaterą w jednym z klasztorów, których w tem mieście było siedm, oprócz kawalerów Maltańskich.

Po południu kapitan Solnicki, ex-komendant Monzonu, wezwał mnie do siebie.

— Dostałem rozkaz złożenia raportu o wczorajszej bitwie — powiedział do mnie. — Zechciej mi przygotować wzór. Masz tu pióro, atrament i papier.

Usiadłem i napisałem krótkie sprawozdanie z tego, co zaszło, załączając listę poległych i ranionych, wynoszącą razem 14 — 16 ludzi. Potem musiałem przeczytać raport kapitanowi.

— Bardzo dobrze, kochany panie Brandt — powiedział mi kapitan — ale pominąłeś kilka ważnych punktów.

I zaczął mi sam dyktować opis wyprawy, bardzo kwieciste, ale nie osobliwym stylem; dodawał to i owo, a pochód nasz przedstawił jako czyn bohaterski.

— Widzisz — dodał w końcu z wielkim zadowoleniem — w taki to sposób trzeba pisać raporty.

Dla siebie nie szczędził też pocziwiec kadzidła; o innych, którzy istotnie zasługiwali na uznanie, były zaledwie lekkie napomknienia.

— No! — powiedział na zakończenie — ułóż teraz raport według tego i przepisz go na czysto.

Gdym mu przeczytał jego utwór, uśmiechnął się zadowolony, podpisał z pewnym trudem i poczęstował mnie filiżanką kawy z mlekiem, której nie piłem od czasu bytności w Pampelunie. Nazajutrz generał Habert, zebrawszy na paradzie oficerów załogi Monzonu, obsypał pochwałami komendanta fortu za mężne czyny i powińszował nam, że mamy takiego dowódcę.

65

VIII.

Barbastro. — Placówki. — Pochód przez dolinę rzeki Cinca. — Mądre, lecz bezskuteczne rady przewoźnika. — Nieszczęśliwa przeprawa przez rzekę. — Rozpacz Haberta. — Porażka przedniej straży.

Barbastro — stolica prowincji, siedziba biskupa, uniknęło szczęśliwie zrabowania przez 57 korpus (?-najwyraźniej błąd), który zresztą prawie żadnego miasta nie oszczędził. Staliśmy tam aż do 12-go, a przez ten czas cierpliwość generała Haberta była po wielokroć wystawiona na próbę. Bliskość generała Perena stojącego w górach, pogłoski o naciągnięciu silnej armii nieprzyjacielskiej, której siły przesadzono, ośmiały przywódców ludowych. Nasze straże obozowe często ginęły z ręki napastników, a kilka razy opuściły swe stanowiska, porzucając broń i tornistry. Na szczęście, przytrafiło się to tylko Francuzom, ale może to jeszcze więcej gniewało generała. Miewał on piorunujące przemowy, oddawał zbiegów pod sąd, ale mimo to wypadki powtarzały się co noc na kilku punktach jednocześnie. Straże zapewniały że napadano na nie ze wszystkich stron jednocześnie. Jednego dnia schwytano podczas takiej utarczki mieszkańca Barbastro. Człowiek ten upewniał, że pracował tylko w swoim ogrodzie, ale żołnierze utrzymywali, że walczył w szeregach nieprzyjacielskich, został więc skazany na śmierć i rozstrzelany w obecności biskupa, *corregidora*, członków Junty i znakomych mieszkańców.

Barbastro leży wśród ogrodów oliwnych; miasto otaczają ze wszystkich stron plantacje, które przerzyna w różnych kierunkach gościniec, wśród istnego labiryntu wązkich drózek, irygacyjnych kanałów, murów, domków i winnic, zasłaniających widok i utrudniających rozszerzenie okolicy. Generał, po bardzo pobieżnym zrekognoskowaniu miejscowości,

66

sam naznaczał rozstawianie straży, nakazując mnóstwo szczegółów, które sprowadzały więcej utrudnień niż zabezpieczenia. Służba była w najwyższym stopniu męcząca, i po upływie dni 14-tu, główne siły brygady weszły do miasta 20-go kwietnia, a wojsko popadło w stan apatii, nie wróżącej nic dobrego. Szorstkie, hałaśliwe postępowanie generała pogarszało jeszcze położenie; to jego niespokojne usposobienie zdawało się potwierdzać złe wieści, jakie krążyły wśród mieszkańców o położeniu naszej armii w Hiszpanii i przedostawały się do żołnierzy. Trochę więcej spokoju i panowania nad sobą dowódcy byłoby niezawodnie wpłynęło uspokajająco na nas i zrobiło wrażenie na nieprzyjacielu.

Wyszliśmy z Barbastro 12-go rano, przez Lastonosę do Sarineny, gdzie 12-go biwakowaliśmy jak zwykle. Hiszpanie szli za nami ciągle, ale trzymali się w odległości. Zastaliśmy w Sarinenie batalion przysłany z Saragossy, który miał być wcielony do armii. Ludzie, choć świeżo umundurowani i dobrze uzbrojeni, nie robili dobrego wrażenia. Gdyby Mina spadł był na nich, rozproszyłby ich niezawodnie. 14-go poszliśmy do Sixeny. W drodze spotkało nas oberwanie się chmury. Małe strumyki zamieniły się w rwące potoki i tylko na najwysokojszych punktach można było znaleźć schronienie; w całej brygadzie zapanował chaos. Na szczęście, szalona burza nie trwała długo, choć deszcz padał mocno jeszcze przez kilka godzin. Długi czas upłynął, zanim wszystko powróciło do porządku. Artyleria górską stała się niezdolną do użytku; tłusty, gliniasty grunt tak rozmiękł, że z trudnością można było posuwać się naprzód. Raz tylko zdarzyło mi się widzieć podobne rozprężenie w wojsku, a to podczas kampanii rosyjskiej, choć z innych powodów wynikłe.

Po szczęśliwie przebyłym pochodzie zebrała się prawie cała brygada w obszernym klasztorze

67

w Sixenie, otrzymawszy tam dobry prowiant. Tylko wina brakowało, pomimo, że zakonnicy opactwa słynęli dawniej w całej okolicy z zasobnych piwnic.

Nazajutrz ruszyliśmy wczesnym rankiem ku Alcolei. Chcieliśmy przepłynąć się przez rzekę, ale że nieprzyjaciel ukazał się w znacznej sile na przeciwnym brzegu z zamiarem bronięcia nam przeprawy, więc cofnęliśmy się po bezskutecznej strzelaninie i stanęli biwakiem prawie nawprost nieprzyjaciela.

D. 16-go maja wyruszyliśmy wcześniej niż zwykle, dążąc do Pomar nad rzeką Cinca, gdzie były dwa niewielkie promy, na których można było zmieścić po pół kompanii na każdym. Ustawiono je pod osłoną artylerii i zaczęliśmy wprowadzać żołnierzy z pułków francuzkich 74-go i 116-go, z 2-go nadwiślańskiego i grenadyerów, razem 8 kompanii i 50 kirasyerów.

Wszystko szło zrazu dobrze, kompania muszkietierów z naszego pułku posunęła się z kolei na rzece, pół kompanii 1-go batalionu weszło już na prom, gdy zobaczyliśmy, że jeden z przewoźników przybiegł do generała z jakąś wiadomością, na którą Habert odpowiedział mu wymysłami i kopaniem. Nikt nie wiedział, co to znaczy, i dopiero później dowiedzieliśmy się, że doświadczony przewoźnik ostrzegał, żeby nie przewozić już więcej wojska, gdyż skutkiem oberwania się chmury w górach, nastąpi zaraz gwałtowny przybór wody. Wiadomość ta sprawdziła się aż zanadto prędko. Woda przybrała nagle i wpłynęła z taką gwałtownością w łożysko rzeki, że trzeba było się spieszyć, żeby wysadzić na ląd muszkietierów, siedzących już na promie. Fale rzeki toczyły wielkie głazy, odłamy skał i wyrwane drzewa, liny od promu woda potargała jak szpagat i zalała oba brzegi z taką gwałtownością, że musieliśmy dla bezpieczeństwa schronić się na sąsiednie wzgórze. Generał, błędząc nad

68

brzegiem, daremnie próbował porozumieć się z żołnierzami, przepławionymi na drugi brzeg; lecz głos jego, choć potężny, zagłuszała bucząca woda. Przyszło mu na myśl papier z rozkazem włożyć w granat i wystrzelić na drugą stronę rzeki, ale i to się nie udało. Wezwał na ochotnika najlepszych pływaków, żeby zanieśli na drugi brzeg ustne jego rozkazy, lecz żaden nie dopłynął dalej, jak do środka rzeki, jeden tylko przebił się przez burzliwe wody aż do rozpadliny w skale; i tam uczeplił się, napróżno usiłując porozumieć się na mię, potem widocznie opuścił go siły i wpadł w fale rzeki.

Przepławione na drugi brzeg wojsko znikło nam z oczu, a my, przemoknięci nawskroś, przeszliśmy wśród ulewnego deszczu, stroskani i smutni, biwakować na wzgórzu, i nazajutrz rano wyruszyliśmy w stronę Monzonu. Przyszedłszy tam, zastaliśmy przeciwny brzeg zajęty przez nieprzyjaciela, który przyjął nas strzałami. Straciwszy cały dzień na bezowocnej strzelaninie, powróciliśmy 18-go do Barbastro. 20-go, stojąc na posterunku, zobaczyłem w stronie, z której mógł nadejść nieprzyjaciel, jeźdźców, posuwających się z wielką ostrożnością; byli to nasi kirasyerzy, zabłąkani od 16-go, którzy zdołali powrócić do swoich. Od nich dowiedzieliśmy się o smutnym losie ośmiu kompanii piechoty. Dowódca ich powziął nieszczęśliwy pomysł zapuszczenia się w góry, przez które miał nadzieję przedrzeć się do granicy francuskiej. Otoczony przez powstańców i wojska generała Pereny, po wyczerpaniu amunicji, bez żywności, dzielni ci ludzie — tysiąc wyborowych żołnierzy — musieli zdać się na łaskę i niełaskę nieprzyjaciela, odcierpieli kilka lat na galerach Cabrery, a potem wysłano ich na pontony angielskie i odzyskali wolność dopiero w 1814 roku.

Było w tej klęsce dużo nieszczęśliwego trafu, ale dużo także nieostrożności. Pierwszym błędem było wyprowadzenie nas z Monzonu, kiedy przeciwnie

należało nas tam wzmocnić posiłkami. Prócz tego Habert nie byłby postradał swoich ludzi, gdy — zamiast tracić drogi czas na szukanie omackiem przeprawy w kilku punktach — przeprawił się był bez zwłoki w Monzonie, i zajął ze swoją brygadą tę ważną pozycję, gdzie byłby mógł nawet po wezbraniu rzeki oprzeć się atakom Hiszpanów.

Ogólne przygnębienie opanowało wszystkich po tej klęsce. Szczególnie cierpiał nad tem generał Habert.

Gdyśmy stanęli pod Monzonem, widziałem go sam, pod arkadą starego mostu, w najgwałtowniejszej rozpaczycy załamującego ręce i wołającego ze łzami:

— *Oh! mes pauvres grenadiers! mes braves voltigeurs!* Ale nie przyszło mu nawet i wtedy na myśl, co można było uczynić dla ich uratowania.

Pochód z Barbastro przez Sierra de Alcubierre do Villa-Franca nad Ebro był bardzo uciążliwy. Tam, o ile sobie przypominam — dowiedzieliśmy się o mianowaniu generała Sucheta dowódcą 3-go korpusu. Dowodził on przedtem jedną dywizją 5-go korpusu i młodzi oficerowie nie znali go zupełnie. Wiadomość ta przeszła bez wrażenia; pamiętam dobrze obojętność, z jaką słuchaliśmy zawiadomienia o tej nominacji. Kapitanowie i dowódcy batalionów naszej legii i niektórzy oficerowie utrzymywali wprawdzie, że generał jest człowiekiem energicznym i odważnym, ale, że „zawsze to Francuz”, przez co chcieli powiedzieć, że więcej serca będzie miał dla Francuzów, niż dla nas.

IX.

Gallego. — Perdiguera. — Odwiedziny nowego dowódcy korpusu. — Obiad u kanonika. — Kazanie pod kościołem. — M. B. de Piar.

— Porucznik Ratkowski. — Bitwy pod Maria i Belchite.

Dnia 24-go wyszliśmy z Villa-Franca do Tina na rzeką Ebro. W drodze otrzymaliśmy przeciwny

70

rozkaz i zwróciliśmy się do Puebla de Alfinden, leżącego nad tą samą rzeką, ale w przeciwnym kierunku. Pośpiech, z jakim nakazano pochód, nasunął podejrzenie, że Saragossa jest zagrożona. Posunięcie się nazajutrz do Villamayor, położonego niedaleko

Saragossy, potwierdziło nasze przypuszczenia. Zachowywaliśmy wielkie ostrożności. Biwakowaliśmy, nie wypuszczając broni z rąk. 25-go poszliśmy do Gallego, gdzie zajęliśmy most i rozłożyli się przy nim obozem, a brygada Haberta nad wieczorem pomaszerowała do Monte-Torrero. Dwie kompanie pod dowództwem kapitana Solnickiego pozostały na straży mostu. We dnie rozciągaliśmy nadzór nad drogami, a w nocy wszyscy byli na nogach. Widywaliśmy w pobliżu — na wzgórzach Perdiguery — ognie biwaków nieprzyjacielskich, do których nasze patrole strzelały bezustannie. Ale zresztą było spokojnie. Przez most przechodzili codziennie wieśniacy, idący z owocami i warzywem do Saragossy. Karność w wojsku była surowa. Podoficer, który sobie pozwolił zabrać na gościńcu wieśniakowi parę jaj, został oddany pod sąd. Żywność, dostawiana dla nas, była w dobrym gatunku, a za pieniądze można było dostać nawet rzeczy zbytkowych.

Suchet, widząc, że Hiszpanie podsuwają się za blisko, czego sobie nie życzył ze względu na sąsiedztwo Saragossy, uderzył na nich w nocy 7-go czerwca. Sześć batalionów z artylerią górską i kilkoma szwadronami jazdy zebrało się cichaczem nocą nad Gallego, okrążyło je i rankiem ukazaliśmy się pod miasteczkiem Perdiguera. Na całej drodze nie spotkaliśmy ani patrolów, ani placówek. Hiszpanie, zaskoczeni zniemacka, pozajmowali sąsiednie wzgórze; rozpoczęła się żywa, tyralierska utarczka, a ze sposobu jej prowadzenia przekonaliśmy się, że mamy do czynienia z powstańcami bandami raczej, niż z wojskiem regularnym.

Hiszpanie cofnęli się, a my ścigaliśmy ich aż

71

do Licinena. Zabraliśmy piękne łupy. Na mój dział przypadł wspaniały *burro* (osioł), którego oddałem do noszenia bagażów kompanii, moich własnych nie miałby co dźwigać, bo postradałem wszystko pod Monzonem i tylko koledzy przyszl mi w pomoc, zaopatrując mnie w bieliznę.

Jednego dnia, podczas musztry, przyjechał generał Suchet ze wspaniałym sztabem. Zsiadł z konia, oglądał dokładnie broń, kazał pozdejmować tornistry, kilku żołnierzy musiało rozpiąć mundury i pokazać bieliznę, obejrzał naboje, obuwie, rozpytywał szczegółowo o żywność, jednym słowem zachował się tak, jak dobry kapitan względem swojej kompanii. Znalazłszy wszystko w porządku, pochwalił żołnierzy i oficerów i uściśnął rękę kapitanowi Solnickiemu, jako „*koledze, zasługującemu na wysoki szacunek*”. Wszystko to zrobiło bardzo dobre wrażenie. Ani Moncey, ani Lannes, ani Junot, pod którymi służyliśmy — nie zajmowali się nami tak gruntownie i życzliwie. Junot wprawdzie przychodził niekiedy do naszych biwaków, ale nie chciało mu się zabiegać o łaski żołnierzy i oficerów.

D. 10 czerwca powróciliśmy do Saragossy. Dostaliśmy kwaterę w pobliżu kościoła *del Pilar*. Cały dzień pod bronią, a nawet w nocy mieliśmy ją pod ręką. Jednego rana oficerowie zadziwili się niemało, gdy jakaś stara kobieta przyniosła im czekoladę. Dowiedziawszy się, że zawdzięczamy to wyróżnienie kanonikowi tam mieszkającemu, koledzy wydelegowali mnie z podziękowaniem do księdza, wynagrodziwszy przedtem starą *Criada* (służącą). Poczciwy człowiek przyjął mnie przyjaźnie, zapewniał, że bardzo lubi generała głównodowodzącego i żałuje mocno, że ma on opuścić Saragossę. Ponieważ nie wiedzieliśmy, jakie jest rzeczywiście nasze położenie, nie mogłem osądzić czy wiadomość ta jest prawdziwa. Ale w każdym razie dowodziło to, że nasze położenie jest złe; koledzy, którym to powtórzyłem, byli tem równie jak ja przerażeni.

72

Rozkaz, jaki nam wydano — gotowania jedzenia na placu, utwierdził nas w przekonaniu, że przygotowuje się coś niezwykajnego i zapuszczaliśmy się w rozmaite domysły, które przerwane zostały zaproszeniem nas na *comida* (obiad) do księdza kanonika.

Nic podobnego nie zdarzyło się dotąd w Izraelu. Ponieważ nie mogliśmy oddalić się wszyscy, dowódca pozwolił trzem oficerom iść na obiad do księdza kanonika, a sam pozostał z jednym. Po raz to pierwszy zasiedliśmy przy stole Hiszpana. Stół był nakryty niebardzo cienkim lnianym obrusem, nakrycie z pospolitej, pstrej glinki, łyżki, widelce i noże mosiężne, szklanki z prostego szkła. Trzcinowe krzesła, zsuwany stół i stary, wiszący zegar uzupełniały umeblowanie¹⁾. Urządzeniu domu odpowiadał obiad.

Na początek podano *Puchero* — zupę z masą zieleniny i ze słoniną, potem nastąpił półmisek z nieuniknionym bobem i wędzone mięso, doskonałe, ale na oliwie pieczone kurczęta i *Picatostes* — grzanki z chleba, smażone na oliwie — kasztany, winogrona i pomidory octem zaprawione, zakończyły ucztę. Rozmowa, o ile pozwalała na to nasza znajomość języka hiszpańskiego, była bardzo ożywiona, a miłe uczucie pobytu pod dachem i dobre wino rozwiązało nam języki. Pocziwy *canonigo* w swojej szczerości upewniał o współczuciu, jakie ma dla nas, przewidując, że zostaniemy osaczeni przez generała Blake z liczną armią i zabrani do niewoli. Odpowiedzieliśmy mu na to, że dopiero bitwa może rozstrzygnąć o przyszłości, czemu kanonik nie wierzył, wiedząc, że generał Suchet ma tylko 10,000 ludzi i sądząc, że nie zdołałby stawić czoła generałowi Blake.

¹⁾ Równie nędzne umeblowanie widziałem wszędzie u księży hiszpańskich, którzy byli w ogóle ubodzy, z wyjątkiem zakonników lepiej uposażonych klasztorów. Przeciętna płaca księży wynosiła 8 talarów miesięcznie.

73

Po obiedzie wyszliśmy na balkon, z którego widok był na plac i zobaczyliśmy kilku naszych żołnierzy, zebranych pod portykiem kościoła, wokół kolegi, czytającego im z wielkiej księgi. Był to Just, żołnierz z naszej kompanii, protestant, rodem z okolicy Boryzyna, który w czasie oblężenia Saragossy zabrał z biblioteki uniwersyteckiej niemiecko-łacińską biblię i czytywał ją przy sposobności swoim współwyznawcom. Niemcy i Polacy słuchali chętnie czytania, chociaż Polacy żartowali sobie czasami.

— Just odprawia niemieckie nabożeństwo — mówili — to już pewnie słońca niedługo potrwa.

Ale to nie przeszkadzało, że Just miał pewne znaczenie w całej kompanii. Było to ciekawe zjawisko, ten młody protestant, pod portykiem katolickiego kościoła, czytający biblię towarzyszący — protestantom i katolikom. Kanonik zapytał, co to za księga i wyraził życzenie obejrzenia jej. Just sam ją przyniósł, a ksiądz po godłach bibliotecznych poznał jej pochodzenie, ale oddał ją żołnierzowi bez żadnych uwag. Zapytał potem, czy dużo mamy protestantów, a na naszą potwierdzającą odpowiedź, gdy jeszcze dodał, że sam jestem protestantem, okazał wielkie zadziwienie. Być może, że było mu przykro, iż jadł przy jednym stole z heretykiem. Po chwilowym milczeniu zapytał:

— Ale w co właściwie wierzą protestanci?

Zawiązała się rozmowa, podobna do tej, jaką miałem poprzednio z don Juanem de la Torre. Pocziwy kanonik stał na tym samym stopniu teologicznego wykształcenia i poglądów — a zakończył dysputę następującą uwagą:

— Bóg jeden wie czyja wiara jest prawdziwą, ale zdaje mi się, że my tylko posiadamy *vera fe!*

Pożegnaliśmy się z naszym przyjacielskim gospodarzem, ale widoczne było, że wiadomość o moim wyznaniu wzruszyła go nieprzyjemnie.

Następnego rana wyszliśmy do Monte-Torrero,

74

gdzie musieliśmy oszańcować się mocno. Doszła nas tu potwierdzenie tego, co mówił kanonik, że prawdopodobnie bitwa rozstrzygnie o losach Saragossy. Po południu przyjechał z miasta adjutant-major 1-go batalionu, Rechowicz, z wiadomością, że generał głównodowodzący zgodził się na reorganizację kompanii wołyżerów, z których większa część ludzi dostała się do niewoli pod Monzonem, ale że tymczasem liczba ich będzie wynosić tylko 60 ludzi. Pułkownik przeznaczył mnie na dowódcę takiego oddziału, co było w każdym razie zaszczytnym wyróżnieniem, ponieważ byłem jednym z najmłodszych oficerów w pułku. Wiedziałem, że zawdzięczam to gorącym poleceniom kapitanów: Balla, Solnickiego i Rechowicza, pod których rozkazami służyłem

i którzy interesowali się mną żywo. Mogłem tylko wielką gorliwością w służbie okazać moją wdzięczność dla tych zacnych ludzi, z których nieszczęściem dwóch pierwszych znalazło śmierć w Hiszpanii, w moich prawie oczach.

Z Monte-Torrero poszliśmy 13-go rankiem do Sa. Fé, gościńcem prowadzącym do Daroci. Idąc tam trzeba było przejść przez całą Saragossę. Ulice były puste, zaś drzwi i okna pozamykane, tylko gdzieś tam wyjrzała ciekawa *donna*, zwabiona odgłosem naszej muzyki i bębnow.

Odpoczywaliśmy w pośród drzew oliwnych, pod klasztorem Santa-Fé, słynnym z pięknej dzwonnicy. Nieprzyjaciel stał nawprost nas i w ciągu nocy byliśmy niepokojeni parę razy.

Nazajutrz 14-go przez cały dzień trwała żywa utarczka tyralierów. Hiszpanie sprawiali się mężnie i posunęli się nawet trochę. Walka rozpoczęła się nanowo 15-go rankiem i trwała bez rezultatu przez kilka godzin. Stojąc z mymi wołyżerami na wyniosłości, za ogrodzeniem z kamieni, miałem sposobność odeprzeć w oczach naczelnego wodza trzy szarże żółtych dragonów z Numancyi.

75

Suchet przysłał mi przez swego adjutanta, kapitana Desaix, pochwałę „*sur ma résistance héroïque*”.

Koło południa amunicja nasza była już prawie wyczerpana. Słońce piekło nam głowy, upadaliśmy z gorąca i pragnienia. Pamiętam, że w chwili gdy jeden z kolegów, porucznik Ratkowski, podawał mi swą manierkę, uderzyła w nią kula i wytrąciła nam ją z rąk. Podniósł ją i podał mi mówiąc spokojnie:

— Pospiesz się, bo szlachetny napój ucieknie!

Ten biedny Ratkowski nie miał szczęścia. Był to jeden z najmężniejszych oficerów naszych i ranny pod Saragossą, gdzie dał dowody męstwa. Pewnego dnia, gdy dowodził strażą przy konwoju, został zaskoczony przez przeważające siły nieprzyjacielskie i postradał część wozów. Generał dowodzący w rozkazie dziennym udzielił nagany Ratkowskiemu, który od tej pory postradał wesoły humor. Śmiertelnie raniony podczas przejścia przez Berezynę, w ostatnich jeszcze chwilach przed śmiercią, wspominał upokorzenie doznane w Hiszpanii.

— Szkoda — mówił — że ten, który mnie znieważył, nie był dziś świadkiem naszego ataku!

Był to jeden z moich najlepszych przyjaciół i jego wspomnienie powstrzymało mnie nieraz od dawania lekkomyślnie podwładnym publicznych nagan, które są bolesne dla ludzi uczciwych.

W południe zobaczyliśmy z naszego wzgórza, że Hiszpanie zostali silnie zaatakowani przez kolumnę, złożoną ze 115 liniowego pułku i 1-go Nadwiślańskiego. My (2-gi pułk) staliśmy w rezerwie, ale wkrótce musieliśmy podążyć na plac boju, ażeby podtrzymać 159 pułk, mocno przerzedzony w bitwie. Deszcz lał strumieniami, kiedy cała armia francuska ruszyła do ataku. Świetna szarża jazdy generała Vattiera i natarcie kolumny piechoty, prowadzonej przez generała Haberta, wydarły plac boju Hiszpanom, którzy pozostawili na nim około 10,000

76

poległych, 25 dział i mnóstwo rannych. Cofnęli się w zupełnym porządku. Obozowali całą noc naprzeciwko nas, a następnego rana stali jeszcze na wzgórzu Botorritta w pobliżu placu boju i opuścili je dopiero, gdy 17-go rankiem nasze wojsko ruszyło naprzód.

Po długim i uciążliwym marszu przez drogi naprzemian kamieniste i błotniste, dostaliśmy się wieczorem do Puebla de Alborton, położonej wśród gór. Miejscowość ta, najzupełniej spustoszona, nie mogła dostarczyć żadnych zapasów. Chyba nigdy zwycięzcy nie byli równie głodni i zziębnięci na biwaku. Gdyby nie osioł zdobyty w Perdiguera, który niósł na sobie szczątki zapasów z lepszych dni, byłibyśmy o głodzie przepędzili noc. Deszcz padał i było zimno. Nie przypominam sobie nigdy — nawet później w Rosyi, gorszego biwaku w czerwcu. Wszyscy ucieszyli się, gdy rankiem dano rozkaz wymarszu. Przybyliśmy wcześniej pod Belchite. Miejsцина ta była silnie obsadzona, a reszta armii nieprzyjacielskiej stała za nią na okolicznych wyżynach. Wojsko francuskie rozstawiło się w formie wachlarza, chcąc opasać miasto. Mój pułk stał na prawym skrzydle; eskortowałem z moimi wołyżerami dwa działa francuskiej artylerii konnej, jadące wyciągniętym truchtem, za którymi zdążaliśmy z trudem. Przybywszy na odpowiednią pozycję, zaczęły one obsypywać nieprzyjaciela granatami. Na szczęście, jeden z naszych pocisków padł na nieprzyjacielską skrzynkę z amunicją, która wyleciała w powietrze, zapalając inne z kolei. Wypadek ten wywołał panikę. Hiszpanie

sądzieli, że zostali zaskoczeni z tyłu: wszyscy wołali: *jesteśmy zdradzeni*. Całe bataliony rzucały broń i uciekały. Gdyby bramy miasta nie były pozamykane i nie otwierały się z taką trudnością, cała armia hiszpańska byłaby dostała się do niewoli. Jeden batalion, który bronił się na rynku, został rozbity przez polskich ułanów, ale to wszystko dało

77

czas Hiszpanom do ucieczki, którą wykonali ze zwykłą chyżością. Zdobyliśmy dziewięć armat, dwadzieścia wózków z amunicją i ogromną ilość żywności.

Ścigaliśmy szczątki armii hiszpańskiej aż do Alcaniz, gdzie przybyliśmy 19 podczas okropnej niepogody. Nazajutrz mój batalion został napowrót wysłany do Belchite, dla strzeżenia magazynów i eskortowania do Saragossy prowiantu zdobytego na nieprzyjacielu. Ale uprzedzili już nas urzędnicy francuskiej intendencji, pod pozorem zajęcia się zdobytymi zapasami. Nasz pułkownik Kąsinowski, człowiek uczciwy i rozumny, zabrał zaważas znaczną część zapasu dla swoich ludzi i urządził magazyn, z którego żołnierze dostawali dodatek do zwykłych racyi żywności.

Ale główna część zdobyczy wpadła w ręce magazynierów francuskich, którzy rzucili się na nią, jak kruki, i mała zaledwie cząstka dostała się do głównego magazynu w Saragossie. Sądzę, że nie więcej, jak kilkaset sztuk jucznych zwierząt zostało nią obładowanych i tam wyprawionych, gdy zapasów było na kilka tysięcy juków. Większą część odebrali miejscowi mieszkańcy, opłaciwszy się hojnie urzędnikom francuskim, a generał Suchet nie dowiedział się nigdy, jakie łupy zdobyliśmy w Belchite i jak zostały one zmarnowane.

X.

Pobył w Belchite. — Gospodarz i gospodyni odrębnego usposobienia. — Zdobycie klasztoru Matki Boskiej w Aquila. — Podziemie w Daroca. — Podminowany zamek: cudowne uniknięcie mimowolnego wniebowzięcia. — Zajęcie Almunii i Calatayud. — Awanturница przejażdżka.

Przepędziliśmy 8 dni w Belchite, w warunkach bardzo przyjemnych. Żołnierze nasi byli rozkwaterowani w trzech miejscowych klasztorach; ja stałem

79

kwaterą tuż obok, wraz z trzema kolegami, u niejakiego don José Bernardo. Był to człowiek niemłody, zgrzybliwego usposobienia, który zrobił to głupstwo, że ożenił się z młodą i ładną kobietą. O ile on był zdecydowanym nieprzyjacielem Francuzów, o tyle jego żona była jawną *afrancesadą*, młodzi, weseli, jasnowłosi oficerowie podobali się jej więcej od ponurego męża, więc kwatera u don Josego Bernardo była wielce poszukiwana. Po bitwie pod Belchite, w Aragonii, zaczęło wrzeć nanowo.

Pojawiały się coraz nowe oddziały gerylasów, na których nieustannie trzeba było polować. Było to ciągle *chassé-croisé* pomiędzy nimi a nami, byli oni wszędzie, gdzie nas nie było, znikali za naszym ukazaniem się, zjawiali się za naszymi piętami. Ponieważ większa część mieszkańców trzymała ich stronę, mieli oni zawsze wyższość nad nami w tych ewolucjach. Trzeba było mieć się ciągle na baczności, żeby uniknąć niespodzianek, w których można było postradać nie tylko życie, ale i honor. Często nieszczęśliwy oficer skazany był na przepędzanie tygodni, a nawet miesięcy, z oddziałem 30 — 50 ludzi, w odosobnionym domu, zamienionym na redutę; odcięty od reszty świata, nie mógł liczyć na nikogo oprócz siebie. Trzeba było dostarczać eskorty kuryerom,

robić bezustannie niebezpieczne wycieczki dla zdobycia żywności, a nawet wody możliwej do picia, w kraju, gdzie każdy człowiek, którego się spotykało, lub który nas widział, nie będąc widzianym, był wrogiem, albo szpiegiem; gdzie trzeba było rozciągać nadzór nad każdym zakrętem drogi, nad każdym pagórkiem, nad każdym rozdołem, nad kaplicami i nad pustelniami, tak licznymi w hiszpańskich górach, nad miejscami przeznaczonymi dawniej na modlitwę, dziś na zasadzki, gdzie dym karabinowych strzałów zastępował dymy kadzielnic. Położenie tych komendantów placówek, porostawianych w górach, podobne było do położenia człowieka siedzącego

na baryłce prochu, jak na minie, od której lont był w rękę nieprzyjaciela.

Jeżeli nie wyleciał w powietrze, nie poczytywano mu tego za zasługę, jeżeli wyleciał — przypisywano mu zawsze winę.

Musieliśmy wkrótce opuścić Belchite, gdzie nam było tak dobrze pod każdym względem i stanąć obozem na płaskowzgórzu, które od czasu ostatniej bitwy zajmowała większa część armii hiszpańskiej. Mój pułk miał polecone czuwać nad komunikacjami między Saragossą a Alcaniz.

Dnia 21-go lipca należeliśmy do wyprawy, którą dowodził osobiście generał głównodowodzący przeciwko klasztorowi Matki Boskiej d'Aguiła, stojącemu na szczycie stromej góry, panującej nad całą okolicą. Było to wówczas główne centrum działań partyzantów aragońskich. Jeden z adjutantów Sucheta, porucznik Rigny (ten sam, który zostawszy później generałem, zdobył w Afryce tak smutną sławę w odwrocie z Konstantyny), przybył do naszego pułkownika, żądając *une compagnie des bons marcheurs*

dla okrążenia nieprzyjaciela. Oddano mu do dyspozycji mnie z moimi wołyżerami; ale pomimo największego pośpiechu, przyszliliśmy za późno. Hiszpanie opuścili pośpiesznie swoje stanowisko, pozostawiając za sobą zapasy. Wpadło nam w ręce trochę spóźnionych żołnierzy i bagaże po utarczce, która mogła nas wprowadzić w wielki kłopot, gdyby był chciał nieprzyjaciel. Klasztor został zajęty bez oporu. Po zrabowaniu podpaliliśmy go, a pożar, widziany z bardzo znacznej odległości, oznajmił mieszkańcom całej okolicy, że don Ramon Gayan, który tu dowodził, musiał opuścić świątynię, uważaną dotąd za niezdobytą.

Suchet powrócił tego samego dnia do Saragossy, pozostawiając nam rozproszenie band, które nigdzie nie zatrzymywały się długo. Pogoń zawiadła nas najpierw do Panizy, a potem do Daroci, jednego

z najznacniejszych miast, w tych stronach. Przybyliśmy tam już nocą. Nikt z nas nie znał okolicy. Spuszczając się do miasta, którego niewyraźne zarysy majaczyły w mroku, cały pułk na zakręcie drogi wpadł do jakiegoś podziemia, w którym wśród egipskich ciemności potykaliśmy się co krok o ruchome kamienie. Najodważniejsi z nas nie czuli się bezpieczni; nie wiedzieliśmy, gdzie jesteśmy, ani dokąd idziemy. Najmniejsza zasadzka tyralierów w podobnym miejscu wystarczyłaby do wywołania paniki. Nakoniec wydobyliśmy się znowu na powietrze, na brzeg rzeki Jiloca, nad której brzegiem leży Daroca. Tajemnicza otchłań była po prostu podziemnym ujściem, zbudowanym przed dwoma wiekami, dla odprowadzania wód wezbranych potoków, służącym za przejście dla tych, którzy nie chcieli iść przez miasto.

Rano 28-go otrzymałem rozkaz zajęcia zamku, stojącego na wierzchołku góry, a zamienionego na koszary, ale zanim wyruszyłem na wskazane miejsce, przybył adjutant, przynosząc mi rozkaz zrobienia rekonesansu na drodze do Moliny, na przestrzeni dobrej mili. Po otrzymaniu rozkazu, zaledwie oddaliliśmy się kilkaset kroków od obozu, rozległ się za nami huk wybuchu i zamek, który moja kompania miała zająć, wyleciał w powietrze. Czy to było przygotowane przez ustępującego wroga, czy też nagromadzone zapasy prochu i amunicji wybuchnęły przypadkiem, nie dowiedzieliśmy się nigdy. Gdyby nie otrzymany rozkaz zrobienia rekonesansu, byłbym zajął natychmiast zamek i prawdopodobnie zostałbym mimowoli wniebowzięty razem z mymi wołyżerami.

Dnia 30-go lipca poszliśmy do Panizy, gdzie don Ramon Gayan, jeden z najmężniejszych i najruchliwszych wodzów powstańców, miał swoje posiadłości. Podpułkownik Bayer, dzielny oficer, który, pomimo niemieckiego nazwiska, nie rozumiał ani

słowa po niemiecku, otrzymał rozkaz zajęcia i oczyszczenia tej okolicy, stanowiącej środkowy punkt ruchu powstańczego. Do 3-go sierpnia nieprzyjaciel pozostawił nas w spokoju. Miasteczko miało wprawdzie dosyć miejsca na pomieszczenie pułku; ale czy można było rozkwaterowywać się pod bokiem ruchliwego nieprzyjaciela? A jednak trzeba było zabezpieczać się jako tako od zimna, które przyprawiało o choroby wielu naszych żołnierzy. Obozowaliśmy więc to tu, to tam i służba była niesłychanie uciążliwa, a pomimo to udało się Hiszpanom zaskoczyć nas 3-go sierpnia w nocy i stoczyć z nami żwawą potyczkę. Dzielny podpułkownik Bayer, który odznaczył się męstwem pod Saragossą, w tym wypadku nie trafnie się urządził. Zamiast wystąpić zaczepnie w stronie, z której musiał nadejść nieprzyjaciel, Bayer co noc umieszczał nas gdzieindziej. Przepędzaliśmy nocę na pustych wzgórzach bez ognia i z brzaskiem dnia powracaliśmy w okolice miasteczka. Gotowaliśmy tam i jedli w pałacu don Ramona, gdzie oficerowie urządzili sobie jadalnię.

Z prawdziwą przyjemnością opuściliśmy Panizę, udając się do Almunii, małej mieściny o 4,000, czy 5,000 mieszkańców, pięknie położonej w dolinie Jalonu, na drodze z Saragossy do Madrytu. Otaczają ją lasy oliwne, piękne ogrody i rozległe winnice. Stanęliśmy kwaterą w klasztorze, gdzie nas doskonale żywiono, i żołnierze myśleli, że będzie nam tam jak w niebie. Ale, że w Calatayud, leżącym przy drodze do Madrytu, stały silne nieprzyjacielskie oddziały, przychodziło do częstych utarczek.

Od 9-go do 14-go sierpnia stoczyliśmy kilka potyczek, z których najgłośniejsza odbyła się w pobliżu El Frasno. Zaskoczeni przez przeważające siły, zmuszeni byliśmy opuścić Almunię i cofnąć się przez most na rzece Grio, niedaleko od miejsca,

gdzie wpada ona do Jalonu. Ale tego samego dnia nadszły nam z Saragossy na pomoc trzy bataliony piechoty, oddział kirasyerów i działa. Pułkownik Henriod z 14-go pułku, który przyprowadził te posiłki, wystąpił zaraz zaczepnie i 15-go sierpnia zrobiliśmy wyprawę na Calatayud i zmusiliśmy nieprzyjaciela do odwrotu, a dowódca batalionu 14-go pułku wszedł do miasta na czele wołyżerów i grenadyerów. Zaledwie rozłożyliśmy się obozem o pół mili od miasta, zostałem wezwany do pułkownika Henriod. Zastałem tam przy biwakowym ogniu sześciu kirasyerów na koniach i jednego konia luzem. Pułkownik polecił mi pojechać do Almunii z listem i wręczyć go tam tejszemu komendantowi. W powrocie miałem się zatrzymać w *vencie* w El-Frasno, dostać tam świeżego konia i nową eskortę i powrócić z nią do obozu.

Przyznaję, że to polecenie nie było mi przyjemne. Od wyjazdu z kraju nie siedziałem na koniu i odzwyczaiłem się od jazdy wierzchem. Mimo to, pierwsza połowa wyprawy na wielkiej szkapie kirasyerskiej powiodła się dobrze, a zimno przy zapadającym zmroku zagnało do pośpiechu. Było już późno wieczorem, kiedy przybyłem do wskazanej *verity*. Komendant posterunku poczęstował mnie podczas zmiany konia i eskorty kawałkiem chleba i winem, co mnie trochę pokrzepiło, ale jednak czułem każdą kostkę w ciele, roztrzęsionem przez konia. Ruszyliśmy z powrotem. Minęliśmy kilku podejrzanie wyglądających

ludzi i jadąc szybko, myślałem, że już przybywam do końca podróży, gdy spostrzegłem z przerażeniem, żeśmy zmylili drogę i pojechali w stronę Ricla. Miejsce to uchodziło za niebezpieczne, skutkiem złego usposobienia ludności, więc chociaż byłem zupełnie wyczerpany, trzeba było zawracać co żywo i dobić się do właściwej drogi. Po dobrej godzinie jazdy usłyszałem wołanie:

83

— *Halte-là! Qui vive?*

Głos naszych szyldwachów wydał mi się muzyką niebiańską. Byłem tak rozbity po przebyciu siedmiu mil na ciężko niosącym koniu, że musieli mnie zsadzić i prowadzić do komendanta, którego zastałem śpiącego na materacu pośród żołnierzy obutego i przy ostrogach. Rozkaz, który wiozłem odnosił się do przygotowania na następny dzień 6,000 racyi żywności, co przy dużych zapasach miejscowych nie było wcale nagłem i choćby nawet ten rozkaz doszedł w kilka godzin później, byłoby zawsze dość czasu do wypełnienia go. Ja zaś musiałem posłać po doktora i leczyć się przez kilka dni, bo byłem zupełnie niezdolny do pełnienia służby w kompanii.

XI.

Pobyt w Calatayud. — Dekoracje. — Zaskoczenie posterunku francuskiego. — La puerta San Martin. — Powrót do Calatayud.
— Posyłka adjutanta.

W Calatayud dostałem kwaterę w pobliżu klasztoru, gdzie stał nasz batalion. Gospodarz mój był jednym z dostojników miasta i wielkim nieprzyjacielem Francuzów. Nie miałem z nim żadnych osobistych stosunków. Od pierwszej chwili kazał powiedzieć, że jest chory i przysłał mi jedzenie do mojego pokoju. Co wieczór schodziła się do niego istna procesya ludzi — przeważnie księży — w płaszczach i nasuniętych na oczy kapeluszach; nasi żołnierze nazywali ich powstańcami, a oni mijali nas wzgardliwie, nie patrząc na nas.

Dnia 19 sierpnia otrzymaliśmy urzędowe zawiadomienie o orderach, rozdanych pułkowi za oblężenie Saragossy. Było ich tylko siedem: dwóch wyróżnionych umarło już do tej pory z ran — dwóch drugich leżało jeszcze w szpitalu — a tylko trzy

84

dekoracje zostały doręczone szczęśliwym wybrańcom: pułkownikowi, porucznikowi Gibystorff¹⁾ i staremu sierżantowi.

Dnia 24-go otrzymaliśmy wiadomość, że jedna kompania 14-go pułku i 15-tu kirasyerów z 13-go pułku, stojących w El Frasno, zaskoczył nieprzyjaciel i wziął do niewoli. Prócz tego, oddział naszych, wyprawiony do Curineny dla zabezpieczenia komunikacji, został napadnięty przed samem Puerta de St. Martin. Posłano mnie na pomoc i przybyłem w porę, żeby zrobić trochę miejsca mojemu koledze, Krąkowskiemu, którego nieprzyjaciel naciskał ze wszystkich stron. Puerta de St. Martin słynęło zawsze jako miejscowość, gdzie popełniano niezliczone rozboje.

Po powrocie ztamtąd polecono mi zająć posterunek w El Frasno, na którym już kilkakrotnie spotykały nas porażki. Co tam przeżyłem — opowiem dalej, w innym miejscu.

Ponieważ gerylasowie stawali się coraz zuchwalsi, Chłopicki, mianowany świeżo jenerałem postanowił wystąpić przeciw nim zaczepnie. Poszedł 29-go do Daroca, a ztamtąd 30-go do Calatayud, obsadziwszy częścią swej kolumny wąż Retascon. Wycieczki, jakie jen. Villa Campa robił z Calatayud, dały się nam mocno we znaki i skutkiem tego tamtejsi mieszkańcy obawiali się naszej zemsty. Cała okolica była jak wymarła. Nigdzie żywego ducha, nawet na łąkach nie było widać ani jednej sztuki bydła. Po wsiach jedne domy były szczelnie pozamykane, inne zaś stały pustkami. Zostaliśmy przyjęci u bram Calatayud przez deputację złożoną z kilku duchownych i z alcalda-mayora, odznaczającego się laseczką ze srebrnymi ozdobami. Urzędnik ten był tak przestraszony, że zwrócił

¹⁾ Chyba Giejszor?

85

się do mnie, tytułując innie „ekscelencyą”, bo wziął mnie za głównego dowódcę.

Nazajutrz po wejściu do Calatayud zostałem wyprawiony do Almunii z mymi woltyżerami i 19-tu jeźdźcami. Zaledwie przybyłem na miejsce, otrzymuję nowy rozkaz pójścia natychmiast do Carineny, przepędzenia tam nocy i powrócenia do Daroci w dniu 4 września pod rozkazy francuskiego dowódcy, którego tam zastanę. Wszystko szło dobrze podczas pierwszej połowy pochodu, pomimo przebywania miejsc bardzo niebezpiecznych, szczególnie Puerta de St. Martin, ale miałem się ciągle na baczności.

Zbliżaliśmy się do Retasconu, który musieliśmy przebyć, chąc się spuścić z powrotem do Daroca, kiedy mi woltyżerowie z przedniej straży przyprowadzili pieszego wędrowca, którego fizyognomia wydała mi się podejrzaną. Spytałem go, co słychać w Daroca, a on odpowiedział mi na to:

— Nasi (*los nuentros*) tam są.

W tejże samej chwili przednia straż dała mi znać, że przy wejściu do wąwozu widać pikiety hiszpańskie. Przekonałem się wkrótce, że stoi tam siła równająca się mojej, zapewne przednia straż większego oddziału, zajmującego miasto, gdzie spodziewaliśmy się zastać naszych, prawdziwych naszych.

Na szczęście, znałem dobrze tę okolicę: bez wahania rzuciłem się na nieprzyjaciela, po krótkiej, ale żwawej utarczce wepchnąłem go do wąwozu, który prowadzi do Daroca, i przy wejściu do niego od tej strony zająłem kaplicę, stanowiącą bardzo dobrą pozycję. Domki, porozrzucane pośród skał, kazałem przetrząsnąć patrolem. Sam z kawalerią posunąłem się w stronę Daroca, porozstawiałem tam pikiety, zabezpieczyłem je, pozostawiając mały oddziałek, którego dowództwo powierzyłem dzielnemu sierżantowi i powróciłem do swojej kaplicy. Kazałem

86

wewzwać alcalda, księdza i *cserivana*, stanowiących *Juntę*. Powiedziałem tym panom, że potrzebuję dwóch pewnych posłańców do Calatayud, którzyby tam zaniesli moje listy, i że do ich powrotu Junta zostanie u mnie w charakterze zakładników. Niebardzo im

się to podobało, ale mimo to dostawili mi dwóch ludzi, którzy wprawdzie miny mieli podejrzane, ale za których chwilową wierność zaręczyła mi władza. Dałem im kartkę, na której napisałem po francusku: „Przyszedłem tu i czekam na dalsze rozkazy; nieprzyjaciel dotąd stoi w Daroca”. Retascon, dzień i godzina.

Drugiemu dałem taką samą kartkę, napisaną po polsku, bo musiałem liczyć na to, że może listy dostaną się w ręce Francuzów albo Polaków. Posłańcom poleciłem iść jaknajspieszniej do Calatayud i oddać tam moje listy dowódcy.

Zrobiwszy to, kazałem żołnierzom gotować jedzenie i zastrzegłem, żeby się nie oddalali od naszego posterunku dalej, niż na 50 kroków. Kazałem sobie przywieźć kilka wielkich beczek wody do kaplicy i żywność na kilka dni. Z drugim oficerem kompanii, Krąkowskim, i z podoficerami naradziłem się co do obrony w razie napadu Hiszpanów i wydałem im rozkazy. Ponieważ kaplica miała grube mury, a nasze stanowisko było bardzo dobre, przeto mogliśmy bronić się przez kilka dni. Czas przepędziłem kolejno na forpocztach i w kaplicy, śledząc ruchy Hiszpanów. Wieczorem obsadziłem piechotą wejście do wąwozu od stony Daroca, a kirasyerom kazałem patrolować na drodze do Carinony i N. S. del Aguila. Pomiędzy 7 — 8 powrócili posłańcy. W ciągu sześciu godzin przebyli dwanaście *leguas* i przynieśli mi kartkę, na której napisane było: „Otrzymałem list — *Mühlberg*”, *Calatayud*.

Mogliśmy już od tej pory być spokojni. Około północy ukazało się czoło kolumny idącej z Calatayud. Jenerał rozgniewany kazał mi pokazać rozkaz.

87

Pzekonawszy się, że działałem ściśle według rozkazu, pochwalił moje zarządzenia. Dowiedziałem się później, że była to pomyłka adjutanta, który zamiast 5 — napisał 4. Pochód mój miał byćznaczony na 5-go i zejść się jednocześnie z oddziałem wyprawionym dla wyrzucenia tegoż samego dnia partyzantów, którzy zajęli nanowo Daroca. Gdyby się ułożyły warunki tak nie przyjaźnie dla obrony, byłoby mi przyszło z trudnością unieść całą skórę z tej wyprawy.

XII.

La Monjita Miguela. — Osobliwsza egzekucya. — Przygoda dwóch lekarzy.

Staliśmy w Daroco aż do 15-go września i pomimo doskonałej żywności, byliśmy bardzo zmęczeni ciągłym patrolowaniem. Pojedyncze oddziały hiszpańskie, które przebiegały kraj w różnych kierunkach, przeszkadzały nam w rekwizycjach i wywierały względem mieszkańców terroryzm, graniczący z okrucieństwem. Żywność, materiał wojenny wszelkiego rodzaju, a nawet ludzi, dostarczano pod groźą rozstrzelania przez gerylasów.

Wielokrotnie miałem w ręku rozkazy następującej treści:

„Młodzi ludzie, mieszkańcy tej a tej wsi, którzy nie stawią się od tego do tego dnia, zostaną rozstrzelani”.

Codziennie bywały potyczki z powstańcami, przyczem traciliśmy dużo ludzi.

Wpływało to na rozgoryczenie żołnierzy i walka zaczynała nabierać pewnej srogości, która obu stronom walczącym nie przynosiła zaszczytu.

W Daroca batalion nasz dostał kwaterę w klasztorze: oficerowie wołtyżerów i grenadyerów mieli

88

siedlisko i jadali w domu starego *consejero real* — radcy przy trybunale. W domu rządził gwardian z rozwiązanego klasztoru, blizki krewny pana i młoda siostrzenica, także mniszka uwolniona z klasztoru, która zajmowała się gospodarstwem. Oboje nosili habity: gwardyan miał około 30 lat, mniszka dwadzieścia. Gwardyan robił wrażenie rozumnego człowieka. Zapatrywania jego na wszystko były trafne; mniszka była prawdziwą Hiszpanką, z ognistem i oczyma i śniadawą cerą, a na to, co ją otaczało, patrzyła z zacieka-wieniem. Weseli, żywego usposobienia oficerowie podobałi się jej bardzo i cały ten ożywiony tryb życia przypadał jej do gustu.

W jednego rana, gdy powrócił z bardzo utrudniającego nocnego patrolowania, poprosił mnie gwardyan do swego gabinetu.

— Dowiedziałem się — don Enrique — zaczął, że pan dobrze piszesz po francusku, więc chciałem prosić o napisanie mi listu do jenerała Sucheta, z prośbą w imieniu mego klasztoru.

Że nie było w tem nic przeciwnego moim obowiązkom, uczyniłem zadość jego żądaniu i napisałem mu list, który bardzo pochwalił. Po skończeniu interesu zaczęliśmy rozmawiać o różnych rzeczach, o „*grand Napoléon*”, jak gwardyan z trochę przesady nazywał cesarza, o zwyczajach i obyczajach kraju, o wpływie, jaki wtargnięcie najeźdźców wywarło — szczególnie na kobiety, a nawet na *religiosas* (zakonnice) — poczem gwardyan dodał:

— Jak np. i Miguela, która na pana spogląda bardzo mile...

Dawała ona rzeczywiście dowody swojej lekkomyślności, wdając się w liczne miłostki z oficerami, zmieniającymi się ciągle w domu.

Kiedy raz w Saragossie luzowałem warty w zamku Aljaferia, dumnym gmachu Inkwizycyi, posłyszałem, że mnie ktoś woła po imieniu z gęsto okratowanego okienka w piwnicy. Poszedłem za głosem

89

i zastałem Miguelę, uwięzioną z rozkazu arcybiskupa. Biedne dziecko miało na sobie szatę pokutnicy i wydawało się bardzo nieszczęśliwe. Dowiedziałem się, że tę karę ściągnął na nią zbyt swobodny sposób życia. Nie mogłem nic dla niej uczynić, zrobiłem jej tylko uwagę, że i miłości bliźniego nie należy posuwać za daleko i dałem trochę pieniędzy na lepsze pożywienie.

Dnia 15-go września (1809) zrobiliśmy dużą wyprawę, pod wodzą jenerała Chłopickiego, w góry najwynioślejsze i najbardziej strome w całej Aragonii, w stronę Moliny i Gallocante. Gorylasowie mieli w Molinie fabrykę broni, która została zburzona. Mieszkańcy puciekali w góry, tylko alkald miał do jenerała piękną mowę, w której usprawiedliwiał nieobecnych, mówiąc, że pewni ludzie, mający złe zamiary, wtargnęli przemocą do tych okolic i zrobili im złą opinię. Biedni mieszkańcy puciekali ze strachu, ale ci, co pozostali, gotowi są uczynić wszystko dla wojsk wielkiego Napoleona i t. d.

Po przetrząśnięciu całej okolicy, odeszliśmy, podczas naszej nieobecności kirasyerzy, pozostawieni tam wraz z oddziałem piechoty, zrabowali znaczną część domów. Po powrocie ich do pułku dowódca zarządził śledztwo przeciwko głównemu winowajcy, który został osądzony doraźnie i skazany na śmierć przez rozstrzelanie. Odczytano mu wyrok, zawiązano oczy — ukląkł i żołnierze dali ognia, karabiny były nabite tylko prochem: pomimo to padł trupem. Pułkownik, dowiedziawszy się o tem, powiedział spokojnie:

— Co? Ten łotr nie żyje? Tem lepiej! Zhańbił pułk rabunkiem, a teraz jeszcze więcej zhańbił go swoją śmiercią ze strachu: nieprawdaż, kirasyerzy?

Wszyscy odpowiedzieli jednogłośnie:

— Prawda, pułkowniku!

Dnia 19-go września część brygady poszła

90

w góry do Calamocho w dolinie Jiloca, po okropnych drogach, przez sławne góry. Przez niniejszą część drogi piechota musiała ciągnąć armaty, a jeźdźcy prowadzić konie za cugle.

29-go przybywszy do Calatayud, dostaliśmy rozkaz natychmiastowego powrotu do Daroca. Wyjazd był tak nagły, że zostawiliśmy tam naczelnego pułkownika i lekarza mojego batalionu; obaj spali tak twardo, że nie słyszeli sygnałów. Byliśmy już daleko, gdy spostrzeżono ich nieobecność, a trzebaby było stoczyć bitwę, żeby ich odzyskać, bo nieprzyjaciel siedł tuż za nami, swoim zwyczajem.

Po kilku dniach powitaliśmy serdecznie obu panów, powróconych nam zdrowo i cało razem z bagażami, ale mniej przyjaźnie powitał ich generał, który ich skazał na kilkodniowy areszt i zapowiedział surowo, żeby nic podobnego nie powtórzyło się w przyszłości.

Podczas pobytu w Calamocho widziałem ogromne stada bydła, zebranego z wielkim trudem, a przeznaczonego do Saragossy. Dostały się one do miejsca przeznaczenia więcej niż zdziesiątkowane. Urzędnicy, doglądający transportu, handlowali sztukami bydła; żołnierze, uważając, że mają także do niego prawo za ponoszone trudy, gotowali i piekli tyle mięsa, ile go mogli zjeść, a nawet sprzedawali je markietankom. Dużo też sztuk padło w drodze skutkiem niedbałego karmienia i pojenia. Olbrzymia rubryka: *crécé en route* wyrównała złodziejstwa i niedbalstwo, a tymczasem wiele rodzin, którym wydarto bydło, postradało skutkiem tego dobrobyt.

24-go stanęliśmy w oznaczonym dniu w Daroca, a ztamtąd poszliśmy znowu do Calamocho. Codzień potykaliśmy się z nieprzyjacielem, który opanował Teruel i wysyłał przeciwko nam silne oddziały. Przednią strażą, złożoną z wołyżerów, dowodził pułkownik Bayer.

91

29-go wyruszyliśmy z powrotem do Daroca. Nieustanne marsze i ucierania się z nieprzyjacielem, ciągłe alarmy — choć męczące — zahartowały wojsko i wyćwiczyły je w tej podjazdowej wojnie, w której Hiszpanie celowali. Ścisła karność, której strześliśmy, i sprawiedliwe rządy, zaprowadzone przez głównodowodzącego generała, obudziły w mieszkańcach zaufanie do nas.

XIII.

Monjita z Calatayud.

Calatayud było jednym z głównych naszych punktów oparcia wśród tych działań. Kompanie wołyżerów mogły trochę wypocząć, stojąc kwaterą w klasztorze i zająć się przyprowadzeniem do porządku swoich rzeczy, a szczególnie obuwia, które ciągle pochody w górach wystawiały na ciężkie próby. Rozumie się, że w każdej chwili musieliśmy być gotowi do wymarszu. Mnie dostało się mieszkanie — tylko na dzień. Noce obowiązani byliśmy spędzać razem z żołnierzami — niedaleko od cukierni (*confeteria*). Chcąc sobie wyobrazić, jakiego rodzaju był w 1809 r. w hiszpańskim drugorzędnym mieście taki zakład, należy pamiętać, że we Francji i w Niemczech w owej porze kawiarnie nie były też podobne do dzisiejszych, i o tem także, że Hiszpania pozostała za nami w tyle przynajmniej o pięćdziesiąt lat pod względem wszystkiego, co dotyczy komfortu. W tych archaicznych *confeterias* można było dostać tylko czekolady, limonady, *bolados* (różnych cukierków), wody z lodem i pospolitych ciastek, upieczonych przed tygodniem. Prócz tego można tam było dostać wódki — niekiedy i wina.

Manuel — *cukiernik*, człowiek wysokiego

92

wzrostu, opryskliwy był i ponury. Pomimo, że stałymi jego gośćmi była większa część oficerów miejscowej załogi, uchodził on za wroga Francuzów. Pobił częste i tajemnicze wycieczki, pozostawiając pannę sklepową (*botiguera*) poważnego wieku — na straży swego zakładu.

Byłem stałym gościem tej *confeterii*. Pewnego dnia, przybywszy wcześniej niż zwykle, zastałem tam młodą dziewczynę, cudownie piękną, w habicie nowicyuszki. Była to siostrzenica dzikiego cukiernika, *monjita exclaustrada*, córka dość zamożnych ludzi, która z Madrytu schroniła się tu przed Francuzami.

Wuj z niechęcią zgodził się przyjąć ją do siebie i żyła u niego w takim ukryciu, jak w klasztorze, nie wychodząc nigdzie, nawet do kościoła. Owego dnia jakimś nadzwyczajnym wypadkiem, korzystając z nieobecności wuja-strażnika, zrobiła wycieczkę do sklepu, jeszcze pustego. Pomimo, że znikła w mgnieniu oka, zdawało mi się, że widzę na jej twarzy więcej zdziwienia i pomieszania, niż niechęci.

Dowiedziałem się na tem samem posiedzeniu o wszystkich tych szczegółach od *botiguery*. Nautyskiwawszy się dowoli z powodu tego spotkania — nabłagawszy się Matki Bożej i różnych Świętych, ażeby z niego nie wynikło nieszczęście — ułagodziła się znacznie na widok kilku *duros*. Dowiedziałem się też od niej, że Monjita była urodzona w Madrycie i że jej na imię Ineza.

Kupiłem zaraz trochę słodczy, wyglądających najponętniej, i prosiłem duenny, żeby je oddała swojej pani w moim imieniu. Jak łatwo się domyśleć, nie zapomniałem i o pośredniczkę. Botiguera zdecydowała się spełnić polecenie, przypominając mi znane hiszpańskie przysłowie:

„*Senor, dadiva branta prena, y entra sin barrena.*“

93

(Do otwarczenia drzwi, najlepszym narzędziem jest pieniądz).

Nazajutrz dowiedziałem się, że mój upominek nie został wzgardzony. Powtórzyłem go z pośpiechem, prosząc duennę o powiedzenie, że uważałbym się za najszczęśliwszego w świecie człowieka, gdyby mi wolno było oddać go osobiście.

Wyprawa do Ateca przerwała ten stosunek na parę dni. Podczas mej nieobecności wuj powrócił i znowu wyjechał. Duenna zwierzyła mi się, że mój powrót oczekiwany był z niecierpliwością i że „monjita” wyglądała na mnie przez zakratowane okienko, wychodzące na plac, na którym zbierała się załoga. Nakoniec po nowych układach i nowych podarkach duenna przyrzekła zaprowadzić mnie wieczorem do Inezy, która zgodziła się przyjąć *atencion del senor caballero*.

Przez cały ten dzień minuty wydawały mi się wiekami; do ostatniej chwili drżałem, żeby nie zaszła jak a nieprzewidziana przeszkoda. Nareszcie o umówionej porze zaprosiłem kolegę Krąkowskiego, żeby mnie zastąpił na parę godzin w koszarach i zaopatrzwszy się na wszelki wypadek w parę pistoletów i w pugnał, poszedłem, czając się, do *Confeterii*.

Drzwi były uchylone. Gdym wszedł, nasza powiernica zamknęła je cicho na klucz i poprowadziła mnie długą sienią, na końcu której błyszczało słabe światelko: była to lampa duenny.

— Jesteśmy już u celu, senor — przemówiła, otwierając drzwi małej, wilgotnej izdebki.

U nas chyba najbiedniejsi wyrobnicy tak mieszkają. Całe umeblowanie składało się z dwóch krzeseł, stołu, ubogiego łóżka, kropielnicy z Matką Boską Bolesną i dzbanka z wodą.

— *Senor don Enrique* — zameldowała uprzejma duenna i pozostawiła nas samych.

94

Przygotowałem sobie, z pomocą słownika, powitalny komplement.

— *Senorita!* uważam się za bardzo szczęśliwego, że mogę nakoniec zadość uczynić najgorętszym pragnieniom mego serca, wręczając osobiście ten dowód mojego uwielbienia.

Moja śliczne *monjita* wzięła drżącą ręką pakiecik, który jej podałem, położyła go na stole i stała ze spuszczoneymi oczyma, bawiąc się sznurem od habitu.

— *Por el amor de Dios!* — wyrzekła po chwili półgłosem. — Gdyby się dowiedział kto o tem!

— Czy to taka wielka zbrodnia — zapytałem — zgodzić się na przyjęcie drobnego dowodu szacunku?

— Ale sposób, w jaki to się stało, nie zdaje mi się właściwy — odpowiedziała *monjita*.

Wzięłem rękę ślicznej nowicyuszki i przycisnąłem ją do serca — poczem zawiązała się rozmowa, przerywana często, z powodu nieznamoścności języka, a zakończona przyzwoleniem senory na moje odwiedziny następnego dnia. Podczas rozmowy pokazałem jej moją broń.

— Jezus! — wykrzyknęła. — Kto bronią wojuje, od broni ginie!

Pomimo to widziałem, że zrobiło na niej dobre wrażenie, iż się wystawiam na niebezpieczeństwo dla widzenia jej. Rozmawialiśmy tak może z godzinkę, kiedy stara Katalina weszła i ziewając oznajmiła, że już północ i że wielki czas pożegnać się. Katalina wyprowadziła mnie tą samą drogą, i powróciłem bez wypadku do mojej kompanii, przesuając się w cieniu domów.

Naturalnie nie spałem przez resztę nocy, marząc o nowem spotkaniu, a rankiem przyszedłem najpierwszy do *Confeterii*, gdzie Katalina powiedziała mi, że Inez jeszcze śpi. Miałem na nieszczęście tego dnia przegląd, i patrolowanie w dolinie Jiloca, co mi zajęło czas do dziewiątej wieczorem.

95

O jedenastej byłem już u Inezy. Przyniosłem jej z mojej wyprawy trochę polnych kwiatów, które ją bardzo ucieszyły. Tym razem rozmowa była więcej ożywiona i byliśmy już mniej onieśmieleni.

— Coby to było, senora Inez — powiedziałem, śmiejąc się — gdyby tak ukazała się tu nagle senora przeorysza i wielbny ojciec gwardyan!

— Jezus! — zawołało biedne dziecho, kładąc mi dłoń na ustach — jak można przypuszczać taką rzecz?

A po chwili dodała:

— Gorzej byłoby gdyby nas zeszedł *Tio* (wuj Manuel) to nie dobry człowiek, gwałtowny i wielki nieprzyjaciel Francuzów.

Nie potrzebowała mi tego mówić, bo poznałem się sam od razu na tym człowieku.

Rozstaliśmy się późno i ułożyli spotkanie na wieczór następny. Stawiłem się punktualnie. Ineza wydała mi się jeszcze piękniejsza i przyjęła mnie serdecznie uradowana. Jedno nas tylko smuciło, że za 5—6 dni miał powrócić *Tio*, a wtedy już będzie koniec naszemu szczęściu.

— Bóg mi przebaczy, don Enrique — mówiła Ineza — ale *Tio* nie przebaczyłby mi nigdy. Strzeż się go, bo to zły człowiek!

Wśród tych ostrzeżeń i rozmowy poufalszej nadeszła chwila rozstania, postanowiliśmy naturalnie zobaczyć się znowu nazajutrz, ale człowiek układa plany, a Bóg rozstrzyga. O dziesiątej wieczorem przybył do koszar adjutant major Rechowicz, przynosząc dwom kompaniom wołyżerów rozkaz wyruszenia natychmiast do doliny Clares, gdzie się zjawił oddział gierylasów. Miałem przez chwilę pokusę udania, że jestem chory, jak to nieraz robili moi koledzy w podobnych okolicznościach, ale poczucie obowiązku wzięło górę nad miłością. Przeszedłem z ciężkim sercem przed mieszkaniem mojej ukochanej, myśląc sobie na pociechę:

— Spotkanie z nią będzie zato jeszcze słodsze.

96

XIV.

Monjita z Calatayud (dokończenie).

Wyprawa ta, która miała trwać dwadzieścia cztery godziny, ciągnęła się trzy dni. Staczaliśmy dość gorące utarczki, a wieść o wymarszu wołyżerów w nocy i dochodzące odgłosy strzałów wywołały w Calatayud wielki zaniepokojenie. Mówiono o tem wszędzie, i w cukierni, a Katalina donosiła o wszystkim Inezie. Mogło to wytłumaczyć moją nieobecność pierwszego wieczora, ale żem nie pojawił się i nazajutrz, pomimo powrotu reszty wojsk, obie zaniepokoiły się bardzo. Wołyżerom, jak zwykle, przypadł obowiązek pozostania na wyprawie dwadzieścia cztery godziny dłużej dla przeszukiwania całej okolicy, więc powróciliśmy trzeciego dnia wieczorem. Pierwsza moja wycieczka była do cukierni i zobaczyłem od razu, jak bardzo ucieszyła się na mój widok stara Katalina. Nie mogłem wprawdzie do niej się zbliżyć, bo pełno było ludzi, ale widziałem, że wyszła na chwilę zapewne, aby uwiadomić Inezę o moim powrocie. Przy płaceniu szepnąłem jej:

— O jedenastej! — i wyczytałem w jej oczach, że mnie zrozumiała.

Ineza przyjęła mnie ze szczera, wielką radością, pozwoliła, żebym ją wziął w objęcia i czułem, że przez czas nieobecności stałem się jej jeszcze droższym.

Zapytałem o groźnego *Tio*.

— Ach! — odpowiedziała — nie mów mi o tym człowieku. Krew we mnie krzepnie, gdy o nim myślę. Jest on w porozumieniu z twoimi wrogami; chciałby was wszystkich pozabijać!

I przytulała się do mnie, jakby mnie chciała bronić.

— Mój Boże! — mówiła po chwili — jestem teraz taka szczęśliwa. W Ale co będzie gdy, on powróci?

97

Usiłowałem uspokoić biedne dziecko; powiedziałem jej, że jutro przedstawię jej plan, co dalej mamy czynić. Pozostałem u niej do drugiej w nocy. Powracając na kwatery, zastanawiałem się nad położeniem biednego dziewczęcia i mojem.

Myślałem o wykradzeniu. Była to rzecz łatwa, koledzy byliby mi chętnie dopomogli. Ale potem — co potem zrobić z tem dzieckiem? Ona nie mogłaby pozostać w Hiszpanii, ja zaś nie byłem w stanie wysłać jej do Francji. Ona miała lat siedemnaście, ja zaledwie dwadzieścia, ona była katoliczką — zakonnica — ja protestantem. Ale nie myślałem o tem wszystkim, tak dalece namiętność czyniła mnie ślepym na nieubłaganą rzeczywistość.

Nazajutrz zacząłem mówić z Inezą o tym pięknym projekcie wykradzenia, ale po pierwszych słowach przerwała mi:

— Nie! nie! mam inny plan, lepszy i opowiem ci o nim innym razem.

Owego wieczora zdawało się, że nie lęka się już wuja, ani niepokoju o przyszłość. Śmiała się wesoło z naszego położenia, z naszych kłopotów i nuciła strofę ludowej piosenki:

*Si madre lo sabe
Habra cosas buenas
Clavara ventanas,
Gerrara las puertas!*

„Gdyby matka wiedziała, miałyby słuszny powód pozabijać gwoździami okiennice i pozasuwać rygle u drzwi.”

— A wtedy — zapytała żartobliwie — jakżeby Don Enrique dostał się do swojej Inezy?

Wśród pocałunków, żartów i wesołej rozmowy godziny mijały jak minuty, a Katalina, zjednana mojemu *duros*, czy też przejęta współczuciem, pozwoliła mi zostać do późnej nocy.

98

Przyszedłszy nazajutrz wieczorem na czekoladę do *Confeterii*, zastałem wuja Manuela, który przyjechał dwa dni wcześniej, niż się go spodziewano. Człowiek ten wydał mi się bardziej ponury i jeszcze nieprzyjemny niż kiedykolwiek. A jednak dotąd nic nie wiedział, ani nie posądzał.

— Zdaje mi się, że już dawno pana nie widziałem — powiedziałem, przybierając jak najswobodniejszą minę.

— Rzeczywiście, nie było mnie przez kilka dni.

— A jakież nowiny pan przynosisz?

— Kraj, z którego przybywam, zamieniony w pustynię; senores Franceses popełniali tam niezliczone okropności. Brak w naszym języku słów na ich określenie.

Przerwałem rozmowę, ale w duchu nie mogłem zaprzeczyć temu, co mówił. Bywałem w *Confeterii* w wolnych chwilach, pod pozorem najnaturalniejszym czytania jedyne go dziennika, który nam przynosił wieści z Europy, gazety hiszpańsko-francuskiej, wychodzącej w Saragossie. Manuel rozmawiał swobodnie z oficerami i opowiadał o okrucieństwach i mniemanych porażkach Francuzów, ogłaszanych w hiszpańskich buletynach, krążących swobodnie nawet po miastach przez nas zajętych. Nasi generałowie znajdowali w nich czasem wiadomości pozytywne o zdarzeniach, o których wzmianki we francuskich gazetach pojawiały się dopiero po kilku tygodniach.

Aragonia tymczasem chwilowo zaczynała się uspokajać. Mieszkańcy również zabrali się napowrót do pracy w polu; dowód tego mieliśmy w naszych wycieczkach, czując wstrętny wyziew wydobywający się z basenów, w których moczono konopie. Drogi pomiędzy Calatayud a Daroca były tak bezpieczne, jak przed wojną, a może nawet bezpieczniejsze. Zostałem wysłany z poleceniami do Daroca: widziałem się tam z moimi gospodarzami

99

i z Miguelą, która jeszcze wtedy nie odsiadywała kary i była to chwila, kiedy właśnie pracowała na nią. Była dla mnie niezmiernie uprzejma, ale odparłem zwycięzko jej usiłowania zbliżenia się do mnie, bo całe moje serce zajmowała Ineza. Zdawało mi się, że nawet przyjacielska rozmowa z Miguelą jest zdrada względem niewinnej, kochającej Inezy.

Na szczęście, miałem zaraz powracać do Calatayud, dokąd ciągnęło mnie gwałtownie serce. Radość moja nie miała granic, gdy po powrocie zastałem Katalinę na miejscu *Tio*, który wyjechał. Wieczór naturalnie spędziłem z Inezą. Trudno opisać radość, z jaką mnie przyjęła, ale mimo to poznałem, że dręczyły ją jakieś smutne myśli. Nie potrzeba było dużo słów, żeby dowiedzieć się

od niewinnego dziewczęcia, że przez cały ten czas *Tio* snuł swoje zbrodnicze plany i że znowu pojechał do Walencji, do głównej kwatery dowódców hiszpańskich.

— No! — pomyślałem sobie — robi on to samo, co wielu innych, tylko ostrożniej.

Usiłowałem uspokoić Inezę. Ale przejęta była taką nieufnością i podejrzliwością, że moje słowa, które dotąd budziły w niej nieograniczoną wiarę, teraz pozostały bez wpływu.

— Spójrz, mój ukochany — mówiła ta słodka dotąd istota, pokazując mały sztylecik, który ofiarowałem jej w pierwszych dniach naszej znajomości. — Patrz — *Enrique mio!* tę broń dał mi Bóg z twojej ręki, żebym mogła pójść za tobą, gdyby *Tio* cię zamordował.

Napróżno usiłowałem wyjąć sztylet z jej małej rączki; rozgniewała się prawie i dodała:

— Zobaczysz, że *Tio* połączy się z powstańcami i napadnie na was tak, jak w El Frasno i w Paniza.

Nigdy dotąd Ineza nie rozmawiała ze mną o wojnie i naszym położeniu w Hiszpanii; teraz mówiła z takim wzburzeniem, że zacząłem na nią

100

nalegać, ażeby mi powiedziała wszystko, co wie o planach *Tio* i jego przyjaciół. Ale upewniła z największą powagą — „duszą swej duszy” — że nic nie zataiła i że tylko z postępowania wuja i licznych posłów, którzy do niego przybywają, domyśla się, że przygotowuje się coś nadzwyczajnego. I nie myliło się biedne dziecko — tylko, że cała sprawa przerwana została przez naszą wyprawę przeciwko Hiszpanom, którzy odłożyli na później wykonanie zamiaru.

Pozostałem u niej tym razem dłużej niż zwykle; było nam tak, jak gdybyśmy przeczuwali, że to nasze ostatnie spotkanie. Ineza dała mi wstążkę, na której wyszyła złotymi literami, nadzwyczaj delikatnie, nasze cyfry połączone i napis:

Madre puriasima, guarda mi amigo!

Katalina dwa razy przychodziła przypominać mi, że czas odejść, ale nie miała serca nas rozłączyć. Musieliśmy jednak pożegnać się w końcu. Ineza odprowadziła mnie do samych drzwi sieni, czego nigdy nie czyniła.

— Ach! serce moje płacze (hiszpańskie wyrażenie), boli i trwoży się, nie wiem sama czego. Przyjdź jutro — przyjdź! — zdala od ciebie zdaje mi się, że umieram...

Było około trzeciej rano, gdy wróciłem do koszar. Żołnierze, zbudzeni zinnem, już powstawali, nawet mój kolega podniósł się już ze stosu konopi, na których spaliśmy.

— Czy wiesz — zapytał mnie — że mamy wyruszyć dziś rano na wyprawę?

— Nic o tem nie wiem, nie otrzymaliśmy rozkazu.

— Kirasyerzy, u których wczoraj byłem, dostali wiadomość, że mamy się połączyć z wojskami idącymi z Saragossy na wielką wyprawę.

— Byłbym z tego bardzo nie rad! — odrzekłem z udaną obojętnością. — Nie mógłbym iść z wami. Mam silną gorączkę i ledwie się trzymam na nogach.

101

W tejże chwili usłyszeliśmy głos podpułkownika Bayera, zwołującego dowódców kompanii.

— Ruszamy za godzinę — oznajmił nam — i wątpię, żebyśmy tu powrócili; mamy rozkaz zabrać z sobą wszystko.

— A... chorzy? — zapytałem.

— Chorych przewiezie się do Daroca.

W godzinę potem — z rozdartem sercem — maszerowałem z kolegami przez puste ulice miasta, wśród gęstej mgły. Na gościńcu do Daroca przystanęliśmy na chwilę, poczem ruszyliśmy wśród trujących wyziewów moczonych po okolicznych wsiach konopi. Doszliśmy na czas oznaczony do Daroca i zajęliśmy ten sam klasztor, w którym gościliśmy już tyle razy. *Consejero* był jak zawsze milczący i w sobie zamknięty, ale gwardyan i Miguela przyjęli nas serdecznie, jak przyjaciół. Oboje zauważyli, że coś mi dolega, że chyba jestem chory. Na uwagę, zrobioną przez mego kolegę Krąkowskiego, że mam febrę, zostałem zasypywany radami i przepisami lekarstw. Ale uniknąłem dalszych uwag, mówiąc, że najlepiej czuję się na świeżem powietrzu i wyszedłem. Po dłuższej

przechadzce doszedłem do tej części zamku, którą zrujnował wybuch, opisany przezemnie poprzednio. Stał tam posterunek wołtyżerów. Wydobyłem wstążkę, podarowaną mi przez Inezę i umocowałem na niej zegarek. W ten sposób nie była bardzo na widoku, zegarka nie zdejmowałem prawie nigdy, a takie ciemne wstążki, choć bez złotego haftu, sprzedawano po sklepach, więc mogłem uniknąć ciekawości kolegów i zbyć ich zapytanie byle czem. Potem wszedłem na sam szczyt góry — popatrzyłem na drogę do Calatayud i powróciłem smutny do kolegów.

Od gwardyana dowiedziałem się, że znaczne siły hiszpańskie, stojące pod Teruelem i Albarracinem, ciągną do Daroca, i że wojska generała Sucheta mają iść przeciwko nim. Mądry ksiądz wiedział pewnie

102

coś więcej, oprócz tego, co nam powiedział. leczorem zaprosił nas na *Tertulie* (zebranie). Senora Miguela brała żywy udział w rozmowie i dopytywała się o seniority z Calatayud.

Jeden z oficerów, młody i piękny, ale o którym mówili koledzy, że od chwili przybycia do Hiszpanii nie widział nawet żadnej kobiety lepszego towarzystwa, nie przestawał chwalić się swemi znajomościami, dając do zrozumienia, że nie zbywa mu na powodzeniach. Gdy już jakiś czas nagadał się o swoich zwyczajach — jak się wyraził gwardyan — zapytała go Miguela, czy poznał też seniorę Inezę — tak nieprzystępną i dumną i czy nie zrobiły na nim wrażenia jej czarujące oczy?

— Któż ona jest? — zapytał mój kolega.

A gdy Miguela objaśniła go, że Ineza, jak ona, jest nowicyuszką — odparł, że spotkał ją w kościele, że jest wprawdzie ładna, ale to, co o niej gloszą, nie jest prawdą.

— Ależ kochany kolego! — zawołałem niebacznie senora Ineza nie przestąpiła progę domu, odkąd jesteśmy w Calatayud.

— Jak to, senior Enrique! znasz ją pan? — zapytał gwardyan, usłyszawszy moje niebaczne słowa.

— Bynajmniej — odpowiedziałem mu na to. — Ale mieszkalem w sąsiedztwie i słyszałem, że wuj nie pozwala jej wychodzić, odkąd jesteśmy w mieście, ten wuj to nasz największy nieprzyjaciel.

— Tak! tak! — potwierdził gwardyan — a seniora Ineza tak samo słynie z piękności, jak *limonadiero*, jej wuj, z patryotyzmu. I powiedziawszy to, układny gwardyan zaczął mówić o czym innym.

Nazajutrz wczesnym rankiem wyruszyliśmy do Calamochoy. Pochód przez piękną okolicę, pogoda i dobre pożywienie, wprawiły wszystkich w doskonały humor. Ja tylko nie podzielałem wesołości kolegów, co nie uszło ich uwagi. Biwak w Jiloca

103

nie bardzo mógł mnie rozweselić, bo noc z 23-go na 24 listopada była niesłychanie zimna, a drzewa dla nas przeznaczonego nie otrzymaliśmy i radzi byliśmy wychodząc rankiem do Ojos-Negres, gdzie się połączyły z nami wojska wysłane z Saragossy — 147 liniowy pułk, 136 kirasyerów, oddział polskich ułanów, cztery działa i kompania hiszpańskich *Cazadores*. Nami dowodził generał Chłopicki, Francuzami pułkownik Henriod.

XV.

Bitwa pod Ojos-Negros. — Kirasyer. — Zdobycie klasztoru w Tremedal. — Koniec Idylli.

Zastaliśmy nieprzyjaciela niezbyt licznego, ale zajmującego mocną pozycję przed Ojos-Negros. Silne natarcie naszych wołyżerów zmusiło Hiszpanów do odwrotu i schronienia się w góry. Nasza jazda ściagała uciekających i zdobyła dość bogate łupy, głównie na mieszkańcach zamożnych, dzięki znajdującym się w okolicy kopalniom.

Zdarzył się tam wówczas wypadek, który można uważać za dziwny objaw psychologiczny. W ręce kirasyerów wpadł powóz, w którym siedziała młoda i ładna osoba; służba jej uciekła. Jeden z kirasyerów otrzymał rozkaz odprowadzenia kobiety do obozu. Ale zamiast tego, zawiódł ją do stojącej na uboczu szopy i popełniwszy tam podwójną zbrodnię, gwałtu i morderstwa, powrócił spokojnie do pułku. Tam przyznał się do winy i prosił o ukaranie. Sądzone zrazu, że jest pijany, ale śledztwo potwierdziło prawdę jego zeznań. Odstawiono go do Saragossy i oddano pod sąd. Był to piękny, młody człowiek, miał kilka lat nieposzlakowanej wojskowej służby, ale był zawsze ponury, w sobie zamknięty i trzymał się zdaleka od kolegów.

104

Nazajutrz po utarczce w Ojos-Negros klasztor Tremedal, gdzie Villacampa miał główną kwaterę, został zdobyty po bitwie mniej zaciętej niż potem mówiono. Klasztor ten jest zbudowany na stromej wyniosłości, wznoszącej się na tysiąc przeszło stóp nad doliną Moliny, przez którą szliśmy. Była to pozycja bardzo silna i zdobycie jej byłoby nas drogo kosztowało, gdyby Hiszpanie okazali więcej wytrwałości. Obie kompanie wołyżerów zajęły Origuelę, gdzie pozostało dla powitania nas kilka psów na ulicach i kilka kotów na dachach.

Pierwsza kompania wołyżerów stanęła w niewielkiej kotlinie w stronie południowej, ja zająłem miasteczko i patrolowałem od północnej. Bitwa na lewo od nas szła żwawo, choć z przerwami. Około 3-ej przyjechał pułkownik Henriod w towarzystwie van Halena, który później stał się tak głośnym, a przed niedawnym czasem przeszedł do naszych szeregów. Rozmawiali z sobą po łacinie, a dziwaczna ich wymowa rozśmieszyła nas mocno. Gdy nas mijali, usłyszeliśmy jak pułkownik Henriod mówił:

— *Utique domine...*

Od tej pory nie nazywaliśmy go inaczej, tylko „*Utique domine*”. Pochwalił on moje zarządzenia.

Ale dotąd nie padł ani jeden strzał i nie widzieliśmy przed sobą nic, oprócz stromej, lasem porosłej góry, wysokiej na 1000 stóp, i dachów kościoła, stojącego na jej wierzchołku, silnie obwarowanego, jak mówiono. Pomiedzy nami a górą była około 1,200 stóp rozległa płaszczyna. W godzinę po bytności pułkownika Henrioda przyjechał sam van Halen z rozkazem cofnięcia się z miasteczka

i ustawienia na równinie pod górą. Z młodzieńczych figłów powiedziałem mu, że nie rozumiem po francusku, tylko po łacinie i musiał mi ten rozkaz przetłumaczyć na łacinę.

— *Facies rem exrectatam usitata via* — odpowiedział

105

na moją prośbę o szczegółową instrukcję.

Ku wielkiej zabawie kolegów odpowiedziałem z powagą z francuskim akcentem:

— *Utique domine!*

Wtedy już pan van Halen nie podobał mi się wcale i przepowiedziałem, że przy pierwszej sposobności zrobi nam jakiegoś łotrowskiego figła. Żołnierze byli tego samego zdania i mówili:

— Zobaczcie, że ten łajd ak *carajo* (nie podejmuje się przetłumaczyć tego słowa) nas zdradzi.

Przyszłość potwierdziła słuszność naszego przewidywania. Ruszyłem naprzód, żeby zająć wskazaną pozycję, lecz zaledwie uszliśmy 100 kroków, las przed nami ożył i przyjął nas gęstymi strzałami. Pomimo znacznej odległości, kule dochodziły do naszych szeregów i moi ludzie zaczęli wołać:

— Panie poruczniku! lepiej iść na tych *carajos*, niż tutaj służyć im za cel!

Uznałem słuszność tej uwagi, puściłem moich tyralierów podwójnym krokiem, sam pędząc z nimi jak najprędzej — i z bardzo małą stratą dopadłem do zarośli, z których Hiszpanie cofnęli się w głąb lasu. Zaledwie zająłem tam stanowisko, ukazał się adiutant-major 14-go pułku z zapytaniem, kto dowodził, żeby mu powtórzyć powinszowanie pułkownika za tak świetny atak.

Jeszcze czas jakiś trwała strzelanina, ale wreszcie Hiszpanie cofnęli się, a ja posuwałem się dalej. U podnóża góry kazałem przystanąć, bo wieczór nadchodził; w ciemnościach, oddalony od głównych sił, mogłem popaść w niebezpieczeństwo.

W tem ukazał się adiutant z rozkazem, żebym przygotował broń i za trzecim wystrzałem, danym z haubicy, o zmroku ruszył biegiem naprzód. Po jakimś czasie odezwał się strzał, potem drugi i trzeci. Moi ludzie rzucili się rażno naprzód i nie

106

napotkawszy prawie żadnego oporu, wdarli się aż pod same mury klasztoru, gdzie spotkali się z francuskimi wołyżerami i grenadierami 14-go pułku, nadbiegającymi od lewej strony. Puściliśmy się w pogoń za uciekającym wrogiem na drogę do Molmy i powróciliśmy potem do klasztoru.

Przez ten czas Francuzi powysadzali wszystkie drzwi i wdarli się do samego kościoła. — Z żołnierzy przemienili się w bandę rabusiów: rabowali i wlekli za sobą wszystko, co tylko nie było poprzybijane i przemocowane.

W dużym budynku obok klasztoru było niewiadomo ile tysięcy nabożów w skrzyniach. Gdy dano rozkaz podpalenia budynku, czy też Hiszpanie to zrobili, dość, że nagle zapaliły się belki pułapu i rabusie w mgnieniu oka opuścili klasztor, kościół i podwórze klasztorne. Zebraliśmy się w pewnym oddaleniu od klasztoru, a o 8-jej wieczorem byliśmy już na dole u podnóża góry, gdzie rozłożyły się obozem artylerya, jazda i reszta piechoty.

Z mojego opowiadania łatwo poznać, że zwycięstwo przyszło nam łatwo. Suchet w pamiętnikach swoich przesadził trochę ważność tej bitwy. Naboję nie były, jak pisze, złożone w kościele, ale w sąsiednim budynku i nie było jednego, strasznego wybuchu, tylko częściowe eksplozje, trwające przez całą noc. I to też nie jest dokładne, że: „pożar ogarnął lasy otaczające klasztor, a nawet Origuelę, gdzie go ugasili nasi żołnierze”. Przed odejściem naszych wojsk posłano mnie na rekonesans w okolice klasztoru i nie spotkałem tam nigdzie śladu pożaru. Co się tyczy wsi, była ona zupełnie zabezpieczona od tego rodzaju wypadku, położona będąc w znacznej odległości od klasztoru i lasów. Marszałek, który nie był obecny przy tej bitwie, został wprowadzony w błąd przez rozmyślną przesadę raportów, pisanych tak, jak raport Solnickiego o utarczce pod Monzonem.

107

Nasza wyprawa w okolicach Daroca była bardzo ożywiona. Robiliśmy wycieczki w góry, to w dolinę Panerudo, były to jednak więcej wojskowe przechadzki niż wojenne działania. Rzadko kiedy spotykaliśmy nieprzyjaciela; najczęściej obserwował nas z oddalenia i tylko czasami, korzystając ze sposobności, napadał patrole nasze.

W początkach grudnia nasze działania przybrały wyraźniejsze formy. Brygada skoncentrowała się znowu w Calamocho; zajmując Monreal, Villafranca, Torremocha i Villarquemados, staliśmy się panami całej doliny. Zrobiliśmy małą wycieczkę do Teruelu, przepędziliśmy Juntę i zatrzymaliśmy się tam kilka dni.

Codziennie te utarczki przyprawiły nas o niewielkie, ale ciągłe straty, więc cofnęliśmy się, opuszczając tymczasowo niebezpieczne stanowiska i zaczęliśmy się koncentrować bliżej Saragossy. Zajęliśmy pozycje pod El Frasnó i Almunia, a nasze rekonesanse podchodziły pod samo Calatayud.

Nie potrzebuję mówić, jak bardzo pragnąłem tam się dostać, ale nasze ruchy były tak nieobliczone, że nie wiedzieliśmy nigdy gdzie pójdziemy za parę godzin. Mieliśmy nieprzyjaciela za sobą, przed sobą, obok siebie, nie mogliśmy go ująć, ale zawróciwszy w tył, mogliśmy być pewni, że go zawsze zastaniemy na naszych tyłach.

Biwakowaliśmy często na grzbietach nagich gór, wystawieni na wszystkie zmiany powietrza i cały dzień na nogach. Mimo to nie chorowaliśmy, zapewne dzięki obfitemu i dobremu pożywieniu.

Nakoniec otrzymaliśmy rozkaz połączenia się z 44-ym pułkiem i powrotu do Calatayud. Wołyżerowie stanowili straż przednią. Posuwaliśmy się bez utarczek z nieprzyjacielem, a spotykani na gościńcu i w górach ludzie cofali się przed nami. Przeszliśmy przez miasto mimo domu Inezy i stanęliśmy biwakiem w klasztorze Nuestra Señora de

108

la Pena. Wygląd miasta odmienił się zupełnie. W okolicy cała ludność była w polu przy robocie. Junta wyszła na nasze spotkanie do bram miasta, ale ulice były puste, a domy pozamykane. Zajęliśmy miasto wraz z 44-ym pułkiem i staliśmy, nie wypuszczając z rąk broni. Deszcz i wiatr dokuczały nam niesłychanie. Było zimno, a drzewa dostarczono nam mało i lichego.

Łatwo się domyśleć, że pierwsze moje wyjście było do don Manuela. Powiedziano mi już przedtem niepocieszającą wiadomość, że go niema w mieście i przekonałem się, że mi powiedziano prawdę.

Nieznamy człowiek stał za bufetem w cukierni, a na wszystkie zapytania, jakie mu zadawałem, odpowiadał zwyczajem Hiszpanów:

— *No saber, seuor* (nic nie wiem).

Obowiązki służbowe dały mi wreszcie sposobność zdobycia dokładniejszych wiadomości. Zdarzyło się w tym czasie kilka dezercyj, co dotąd nigdy się nie trafiało. Może być, że wpłynęły na to proklamacje hiszpańskie, obiecujące złote góry — i zawiązanie przez żołnierzy bliższych stosunków z mieszkańcami. Z mojej kompanii tak że znikło dwóch ludzi. Poszedłem do plac-komendanta z prośbą, ażeby mi pozwolił zrobić rewizję w domach, gdzie moi ludzie bywali. Otrzymałszy potrzebne rozkazy, poszedłem nasamprzód do domu Manuela, który z wyjątkiem cukierni, był pozamykany tak ściśle, jak twierdza podczas oblężenia.

Czekałem długo — ludzie alkaldy biegali na wszystkie strony i nakoniec ukazała się stara kobieta, u której były klucze. Weszliśmy dobrze mi znanym korytarzem na małe podwórko, przeszukaliśmy każdy kącik; wyrzłem przez zakratowane okno, wychodzące na plac targowy — zabrakło mi odwagi, żeby wejść do pokoju Inezy. Nareszcie, przed samem wyjściem, udałem, że teraz dopiero zobaczyłem te drzwi i zapytałem obojętnie mej przewodniczki, czy tam kto mieszka?

109

— Naturalnie — odrzekła. To był pokój *monjity* Inezy, siostrzenicy Manuela, najpiękniejszej i najnotliwszej istoty w całej okolicy.

— A gdzież ona jest obecnie? — zagadnąłem z biciem serca.

— Wyjechała z wujem i z Kataliną; wyjechała, płacząc rzewnie i nikt nie wie dokąd.

Ostatni raz wszedłem do naszego pokoiku: był zupełnie pusty. Nie pozostało nic z ubogich sprzętów; kropielnica, obraz Matki Bolesnej zniknęły; ani śladu moich kwiatów, ani nawet gwoźdźcia, na którym nad łóżkiem wisiał obraz Matki Boskiej.

— A dlaczego — zapytałem niepewnym głosem — ta nowicyuszka, wyjeżdżając tak bardzo płakała?

— *No saber, senior*, ale była w rozpacz. Wuj i Katalina zanieśli ją zemdloną do powozu...

Wyszedłem z tego domu — i nigdy już nie przestąpiłem jego progę. — Nie wiem jak byłbym zdołał przy żywej mojej wyobraźni i głębokiem uczuciu przeżyć ten cios, gdyby nie to, że natychmiastowy wymarsz, trudy i nieustanne wzruszenia

wojskowego życia, osłabiły z czasem moją rozpacz. Później uspokoiwszy się trochę — zastanawiałem się nieraz, do czego byłby mnie doprowadził ten stosunek. Byłem już na drodze do poświęcenia obowiązku dla tego uczucia i stosunku, który usprawiedliwić mogła tylko nasza młodość dwudziestoletniego protestanta i siedmnastoletniej zakonnicy, należących do dwóch narodowości, zmuszonych do krwawej walki nieubłaganą, żelazną wolą Napoleona.

Nigdy już nie zdarzyło mi się spotkać podobnej piękności i takiego serca, jak u tego dziewczęcia. Tylko ci, przez których życie przesunęło się podobnie cudne zjawisko, mogą osądzić prawdę i głębokość słów Guizota: „Żyjąca istota, dzieło Boskie, gdy się ukazuje w niebiańskiej postaci, jest piękniejsza od wszystkich tworów ludzkiej wyobraźni — a ze wszystkich poetów — Bóg jest największym”.

110

Nie widziałem nigdy w życiu piękniejszej istoty. Ale jeszcze większa od piękności była jej miłość i troska o mnie. Każda Hiszpanka, która zawiązywała stosunki z naszymi, zaczynała od namawiania ich do zdrady i dopiero z czasem, stopniowo można było wpłynąć na zmianę jej pojęć; ale Ineza nie wymówiła nigdy ani jednego słowa w tym rodzaju. Niepokoił ją tylko *Tio* i jego zamiary. O ile potem miałem sposobność poznania i porównania serc kobiecych, żadne nie było godne stanąć obok Inezy — *et tacitum vivit sub pectore vulnus*.

Dziś jeszcze — po upływie lat pięćdziesięciu — jej obraz stoi żywo przed memi oczyma, ale pomimo to uważam za łaskę Bożą, że się w ten sposób wszystko ułożyło, i dziś — tak jak wtedy — zadaję sobie pytanie: na czym byłby się skończył nasz stosunek?

Miejsce, gdzie byłem tak szczęśliwy, gdzie doznałem tylu radości i bólu — stało mi się pamiętne i przez to jeszcze, co tam wycierpiałem z powodu służby.

20-go grudnia otrzymaliśmy rozkaz wyruszenia do Calamochy i Teruelu, gdzie stanęliśmy 23-go, zrobiwszy w ciągu trzech dni dwadzieścia mil hiszpańskich po bardzo uciążliwych drogach. Nie wiem dlaczego wymagano takiego pośpiechu; nie spotykaliśmy po drodze nieprzyjaciela i nie strzelaliśmy ani razu.

W Teruelu był *général en chef*, który robił przeglądy wojska, wydawał rozmaite rozporządzenia, a dla oficerów wyprawiał prośzone obiady. Na jeden z nich zostałem zaproszony dzięki mojemu pułkownikowi, który podczas przeglądu pułku przedstawił mnie naczelnemu dowódcy jako jednego ze swych „najwaleczniejszych i najinteligentniejszych oficerów”.

Dnia 24-go grudnia batalion połączonych (francuskich i polskich) wołyżerów ruszył do *Santa-Maria de Albarracin*. Zostałem ztamtąd wysłany z oddziałem w góry, z których wypływa Tag i Gwadalaviar. Miałem rozkaz rozproszenia bandy gerylasów,

111

którzy zajmowali — jak mówiono — Frio i Fuente-Garcia i zabrania dużych zapasów sukna, które miały się znajdować w tych miejscowościach. Ale pomimo pośpiechu, nie zastałem ani gerylasów, ani sukna i powróciłem do Albarracinu nic nie wskórawszy, po trzydziestu sześciu godzinach nieobecności i po przepędzeniu na biwaku najzimniejszej nocy, jaką pamiętam, nad brzegiem małego jeziora, które mój przewodnik nazwał *Poza de San Juan*. W Albarracinie, biskup, władze i najznacniejsi mieszkańcy uciekli, nie mając czasu nic ze sobą zabrać. Zdobyliśmy tam dużo sukna, a przy tej sposobności żołnierze pochwytili wszystko, co im wpadło w ręce. Zastałem mojego dowódcę batalionu jedzącego z oficerami obiad w jednym z najpiękniejszych domów w mieście, blisko kościoła. Naturalnie zostaliśmy tak że zaproszeni do tej uczty. Rozstawieni na placu przed kościołem żołnierze biwakowali — gotując, piekąc i pijąc.

Bóg wie gdzie to wszystko połapali, ale dość, że nie brakowało im niczego. Według zwyczaju, Francuzi wybierali najlepsze kawałki, nasi ludzie największe. Albarracin został ukarany rabunkiem za swoją Juntę i wyprawianie wysłańców, wzywających do mordowania i trucia Francuzów.

Przy jednym z ognisk biwakowych zobaczyłem siedzącego człowieka z długą, siwą brodą i najeżonymi włosami, odzianego w długą, ciemną odzież. Miał on minę warjata. Żołnierze wszedłszy do podziemi opuszczonego klasztoru, po wysadzeniu drzwi, piwnicy, znaleźli drugie drzwi prowadzące do lochu, gdzie ten człowiek przykuty był do słupa i napół umarły z głodu. Wynieśli go na światło dzienne, ale nie mogli nic dowiedzieć się od niego. Ludzie miejscowi mówili, że poznają w nim kowala, mieszkającego niegdyś przy klasztorze, a który z zadróżki o żonę zabił uderzeniem młota jednego z zakonników. Schroniwszy się w góry, został tam schwytyany

112

i oddany sędziom duchownym. Skazali go oni na dożywotnie więzienie, które odsiadywał od lat dwudziestu pięciu. Nie wiadomo, ile było prawdy w tych pogłoskach; jedno tylko nie podlegało wątpliwości, że nieszczęśliwy został znaleziony w podziemiach klasztoru.

Zaproponowałem dowódcy batalionu, żeby zaprowadzić do Teruelu tego człowieka, spisać jego zeznanie — jeżeli uda się skłonić go do mówienia — i wydrukować je w dzienniku Saragoskim, dlatego, że ogłaszanie tak ich okropności powinno było zaszkodzić opinii zakonników, naszych nieprzejednanych wrogów. Ale mój szef batalionu był innego zdania. Historia kowala wydawała mu się bajką. Nie miał ochoty robić sobie tyle kłopotu z powodu waryata i uważał całą sprawę za prostą *querelle de famille* między zakonnikami, do której nie należało nam się mieszać.

Było niezawodnie dużo przesady w zarzutach okrucieństwa i niemoralności, które sprowadziły później srogie prześladowania na zakonników hiszpańskich. Niewszystkie jednak oskarżenia były potwarzą. Przypominam sobie dobrze, że podczas oblężenia Saragossy wybuch miny odkrył podziemne przejście, nieznanie nikomu, łączące dwa klasztory — żeński i męski — stojące w znacznej od siebie odległości. Pozostawiono umyślnie otworem dość długo to przejście i łatwo było się przekonać, że ten widok robił duże wrażenie na ludności miejscowej.

XVI

Muły hiszpańskie. — Pobyt w dolinie Xilosa. — Tragi. — Przygoda zakochanego doktora. — Pojedynek na żarty i pojedynek na seryo. — Spacer sankami w Hiszpanii.

Powrót nasz z Albarracinu do Teruelu odbył się bez przypadku. Posłano nam po drodze na pożegnanie

113

trochę kul, ale zraniły one tylko kilka mułów, które trzeba było podobijać, bo nie można już było ich uspokoić i robiły zamieszanie wśród marszu kolumny. Nieraz podczas tej wojny mogłem się przekonać o prawdziwości przysłowia: „uparty jak muł”. Ileż to razy te przeklęte zwierzęta zatrzymywały się nagle — bez najmniejszego powodu — i stały nieruchome jak kołek, obojętne na wszystkie środki łagodności i surowości, dopóki nie przyszła im ochota ruszyć znowu naprzód. W górach, w ciasnych wąwozach dość było oporu jednego muła, żeby zatrzymać cały pochód w miejscu niebezpiecznym pod wielu względami.

Podczas oblężenia Tarragony, gdyśmy eskortowali konwój 600— 800 mułów niosących żywność, byliśmy niejednokrotnie zmuszeni strzelać w łeb upartym zwierzętom i zabite usuwać z drogi, zrzucając je w przepaść.

W Teruelu zastaliśmy wielkie ożywienie. *Général en chef* powrócił już do Saragossy, ale pozostali jenerałowie Laval i Chłopicki. Było bardzo zimno; my, zmuszeni patrolować gorliwie, w całej okolicy, żalowaliśmy, że nie przychodziło do utarczek z nieprzyjacielem. Zdziwiliśmy się bardzo, gdy nagle 27-go grudnia kazano nam opuścić Teruel i powrócić do Daroca. W drodze w Burbaguena wieszowaliśmy Nowego Roku 1810 naszemu pułkownikowi Kąsinowskiemu. Wieczorem przybyliśmy do Daroca, a po kilku dniach pobytu posłano nas do Calatayud. Miejsce to z powodu nieszczęścia, jakie mnie tam spotkało, stało mi się nienawistne.

Po przybyciu do Calatayud poszedłem zaraz szukać wiadomości o don Manuelu, ale usłyszawszy tylko potwierdzenie tego, co już wiedziałem, szczęśliwy byłem, gdy 8-go stycznia otrzymaliśmy rozkaz pójścia do Camin Real, gdzie cała dywizja stanęła na zimowe leże w dolinie Jiloca.

114

Wołyżerowie pozostali w Camin Real, a główna kwatera umieściła się w Monrealu. Reszta pułku rozstawiona była między Calamocho, El Poya i Fuentes Claras. W Camin Real połączył się z nami *regiment de marche* pod wodzą kapitana Pawlewskiego. Skutkiem tego wołyżerowie doszli do przepisanej liczby żołnierzy i pozostali pod moim dowództwem, bo kapitan został odkomenderowany do Saragossy. Spokój, wypłata zaległego żołdu i pewność komunikacji między oddziałami wprawiły wszystkim w doskonały humor. W jednym miejscu postoju naszych była *Estanca*, gdzie oprócz wina, można było dostać i jedzenia. Było tam parę ładnych dziewcząt, a do jednej z nich zalecał się z powodzeniem lekarz *Chirurgien aide-major* Gulicz, który później zakończył życie w Modlinie, jako doktor sztabowy. Gniewało to oficerów, którzy stali tam kwaterą, a że doktor przychodził codzień, postanowili wypłatać mu figla. Jednego dnia, kiedy zasiedział się dłużej niż zwykle nad szklanką wina, kilku oficerów przebrało się za hiszpańskich wieśniaków i po wyjściu doktora, pogonili za nim, wzięwszy pistolety, naturalnie prochem tylko nabite. W połowie drogi między El Poya a Calamocho, jeden z figlarzy stanął przed koniem Eskulapa, wołając groźnym głosem:

— *Demonio carajo!*

Gulicz chciał zawrócić, ale za nim rozległo się to samo wołanie, a jednocześnie napastnicy dali do niego ognia. Przerażony doktor zaczął biec ku rzece. Napastnicy w obawie, żeby nie skoczył do wody, pogonili za nim, wołając go po imieniu, ale uciekający rzucił się do rzeki — głębokiej w tym miejscu na trzy do pięciu stóp — przepłynął na drugą stronę i pobiegł do Calamocho, gdzie zaalarmował wszystkich swoim opowiadaniem. Ale już i placówki usłyszały odgłos strzałów i wyprawiono patrole na przeszukanie obu brzegów rzeki, a oddziały jazdy

115

zaczęły przebiegać w różnych kierunkach całą okolicę. Zapewnienia doktora, że powstańcy wołali na niego po imieniu, uważano za przywidzenie.

Tymczasem przebrani oficerowie zobaczywszy, że doktor wskoczył w wodę, przerażeni pobiegli wyznaczyć wszystko komendantowi, który o tem zdarzeniu zdał raport pułkownikowi. Ten zaś przyjął to bardzo źle, oficerów skazał na ośm dni aresztu, a doktorowi dał surowe napomnienie.

Ale nie skończyło się jeszcze na tem. W głównej kwaterze oficerowie okazali wielkie współczucie Guliczowi, którego w pułku wszyscy lubili i przekonali go, że powinien wyzwalać kolegów, którzy z niego sobie zażartowali, przyczem postanowili znowu zabawić się jego kosztem. Ułożono czas i miejsce pojedynku, który miał odbyć się na pistolety nabite tylko prochem, o czem Gulicz nie wiedział. Doktorowi przypadł pierwszy strzał, naturalnie, nie zranił on przeciwnika, a w chwili, gdy ten miał wystrzelić, jeden z jego sekundantów ukrytą w rękę kulą rzucił w Gulicza.

— Jestem raniony! — krzyknął doktor, padając na ręce swoich świadków.

Ponieważ nie było śladu rany, wytłumaczono mu, że to, co uczuł, było tylko kontuzją, poczem walczący podali sobie ręce, a wszyscy obecni wieszowali Guliczowi męstwa. Dopiero znacznie później, kiedy już jeden z biorących udział w tym figlu nie żył — powiedziano doktorowi prawdę, ale jego wielka dobroć nie pozwoliła mu zachować długo urazy.

Wszyscy byli ludzie zacni, doskonali oficerowie, nieustraszonego męstwa i bardzo wesołego charakteru. Gulicz był najuczciwszym, najlepszym człowiekiem, kochanym zarówno przez oficerów, jak i przez żołnierzy, dobrym doktorem i zręcznym chirurgiem, ale miał usposobienie tak dobrodusze i łatwowieczne, że wszyscy doświadczali pokusy płatania mu figłów.

116

W połowie tegoż miesiąca wołyżerowie 44-go i naszego pułku zostali przeniesieni do Villafranca, razem z dwoma szwadronami kirasyerów i dwoma działami, a pułkownik Klicki (późniejszy jenerał W. P.), został mianowany dowódcą przedniej straży. Pełniłem w Villafranca obowiązki plac-komendanta. Na tem stanowisku musiałem często gromić nadmierne wymagania niektórych oficerów. Było to powodem mojej sprzeczki z porucznikiem Czaki, który przybył z Warszawy z ustaloną sławą zawadyaki. Biliśmy się na pałasze: po pierwszych złożeniach, zostałem lekko zraniony w głowę, co nie przerwało walki, prowadzonej dalej z taką zaciętością, że sekundanci zaledwie zdołali nas rozłączyć. Gdy wróciłem do swojej kwatery, przyszedł

do mnie pułkownik Klicki; zwykle łagodny, był teraz bardzo rozgniewany, obsypał mnie wyrzutami, a przeciwnika Czakiego wsadził do aresztu i o całym zajściu doniósł Chłopiczemu.

Ponieważ rozeszła się wieść, że jestem ciężiej raniony, niż było rzeczywiście, poczciwy Gulicz, który był mi bardzo życzliwy, wybrał się sam konno, nie czekając na eskortę, żeby mnie odwiedzić i opatrzyć w razie potrzeby. Ale napadnięty tym razem przez prawdziwych powstańców, zawdzięczał swoje ocalenie tylko szybkości konia i przybył do nas z kapeluszem przesytytym kulą, który nosił jako pamiątkę tak długo, że jeszcze w Rosji widziałem go na jego głowie.

Moja rana nie przeszkadzała mi do pełnienia służby i tak się na razie skończyła ta sprawa. Ale kiedy generał przybył pierwszy raz do Villafranca, żeby być obecnym przy rekonesansie wyprawionym w stronę Torre la Carcel, nie spojrzął na mnie i na jednego oficera wołyżerów. Porucznika Czaki pod błahym pozorem wysłał do *compagnie du centre*, z której potem przeniesiony został do 4-go pułku, stojącego nad granicą portugalską.

117

Staliśmy spokojnie w dolinie Jiloca, kiedy spadł śnieg. W Monreale żołnierze przygotowali sanki i ułożono wybrać się w odwiedziny do pułkownika Klickiego. Porozstawiano pikiety po obu stronach gościńca, i zobaczyliśmy nadjeżdżające dwoje sani, otoczonych licznym oddziałem oficerów konno. Generałowie Laval i Chłopicz, pułkownik Kąsinowski i kilku innych wyższych oficerów siedziało w sankach, którymi powozili oficerowie. Wszyscy bawili się wybornie i odjechali z powrotem późno. Generał Laval, już niemłody i wrażliwy na zimno, jak większość Francuzów, ubrał się był na tę wyprawę w ciepłą, okrągłą czapkę. Ale w drodze wyruciły się sanki, w których jechał i czapka spadła mu z głowy. Macając w ciemnościach, znalazł coś okrągłego i wsadził na głowę. Ale na nieszczęście, nie była to czapka, tylko pasztet, który kucharz generała przezornie zapakował na wypadek, gdyby w Villafranca zabrakło żywności. Nieszczęśliwa ta pomyłka była bardzo nieprzyjemna dla generała, ale całe towarzystwo wprawiła w najweselszy humor i żyła w pamięci wesołej młodzieży jeszcze wtedy, kiedy biednego generała oddawna już nie było na tym świecie.

118

XVII.

Działanie wojenne w dolinie Guadalaviaru. — Dziwna, lecz prawdziwa historia o oficerze wizyonerze.

Dnia 8-go lutego opuściliśmy zimowe leże i poszliśmy w kierunku Teruelu. Przednia straż pod Torre-la-Carcel stoczyła kilka potyczek z Hiszpanami, a potem biwakowała w Villarquemado, wśród śniegu. Nazajutrz 10-go posunęliśmy się do Teruelu, gdzie Hiszpanie zaczęli się oszańcowywać, lecz ustąpili bez wielkiego oporu.

Dnia 11-go połączeni wołyżerowie posunęli się z rekonesansem w górę Guadalaviaru do Villel, ale nieprzyjaciel stał tam na tak silnej pozycji i to w tak znacznej liczbie, że musieliśmy odstąpić po dość żywej utarczce.

Dnia 12-go lutego poszliśmy znowu naprzód i zastaliśmy Hiszpanów już pod Villastar, ale odepchnęliśmy ich, straty nasze były bardzo znaczne.

Dnia 13-go cofnęliśmy się do Teruelu, czekając na posiłki, żeby stoczyć bitwę z Villacampą, który zebrał 6,000 ludzi.

Dnia 14-go poszliśmy znowu do Villastar, ucierając się z Hiszpanami, ale musieliśmy odstąpić, otrzymawszy z Teruelu rozkaz odwrotu.

Dnia 15-go lutego wieczorem Chłopicz zaprosił do siebie na wieczerzę znaczną liczbę oficerów. W chwili, gdy miano siadać do stołu, otrzymał wezwanie od generała dywizji (Lavala), który zgromadził u siebie oficerów sztabu dla naradzenia się w ważnej sprawie.

Pomiędzy gośćmi generała Chłopiczego był niejaki kapitan Razowski, człowiek już niemłody, wspaniałej postawy, charakteru posępnego i małomówny. Umiał on, jak mówiono, tłómaczyć sny i zajmował się innymi mistycznymi praktykami. Nam młodym imponował swoim milczeniem a szorstkością trzymał

119

nas z daleka. Gospodarz nasz Chłopicz, wychodząc, prosił kapitana, żeby go zastąpił, jeżeli za pół godziny nie będzie z powrotem i żeby nas zaprosił do stołu.

Po wyjściu generała wszyscy rozmawiali z sobą wesoło. Jeden tylko kapitan Razowski stał samotny w ostatnim pokoju, odwrócony plecami do kominka i patrzył posępnie w ziemię. Franciszek Żarski z 1-go pułku grenadyerów, mój serdeczny przyjaciel, wziął mnie pod rękę i powiedział:

— Chodź do tego starego czarnoksiężnika, żeby mi sen wytłómaczył.....

Nie pamiętam już, jaki był sen, o który pytał Żarski, ale pamiętam, że stary kapitan, wysłuchawszy go, odpowiedział spokojnie:

— Młodzieńcze! Chciałeś sobie ze mnie zażartować. Zanim rok i dzień upłynie — dowiesz się rzeczy, z których nie wolno sztydzić: wystrzegaj się tych gór! A pan, panie poruczniku — dodał, zwracając się do mnie — czego chcesz się dowiedzieć.

Opowiedziałem mu sen, jaki rzeczywiście miałem kilka dni przedtem, na biwaku w Villastar, a potem tu w klasztorze. Śniło mi się, że zabląkany w górach, wyczerpany głodem i pragnieniem, połknąłem masę śniegu i czułem w całym ciele lodowate zimno. Sen ten powtarzał mi się przez dwie noce z rzędu.

— Czy naprawdę tak ci się śniło. — zapytał o ile mi się zdawało, że współczuciem. A gdym go upewnił, że mówię prawdę, dodał:

— Nie żądaj odemnie wytłómaczenia; nie lubię przepowiadać nieszczęścia, a nic dobrego nie mogę ci wróżyć.

Była godzina ósma i poproszono nas do stołu, w drodze powiedział mi Żarski:

— Nie myślałem, że on jest taki waryat.

Ten stary wierzy sam naprawdę w to, co mówi. A jednak to, co nam powiedział, spełniło się

120

niepojętym sposobem co do słowa. Nazajutrz, zostałem śmiertelnie raniony, a zanim rok upłynął Żarskiemu w tych samych górach obie nogi zgruchotała kula armatnia, kładąc kres życia jednego z najlepszych ludzi i najdzielniejszych oficerów armii.

Dowiedziałem się o śmierci mego niezapomnianego przyjaciela, stojąc w przykopie pod Tortosą, razem ze starym kapitanem. — Czy słyszałeś pan o śmierci Żarskiego? — zapytałem.

— Wiedziałem o niej — odpowiedział mi krótko.

Zimno mnie przeszło i od tej pory zawsze na widok tego człowieka przejmował mnie dziwny lęk. W parę lat potem, przed bitwą pod Berezyną, stałem pod drzewem oparty na kulach. Obok mnie stali kapitanowie Dobrzycki, Rechowicz i Starowski; trochę dalej pułkownik Kašinowski, podpułkownicy Bayer i Regulski.

Wtem zbliżył się do pułkownika Regulskiego stary Razowski, oddał mu zegarek i sakiewkę, zawierającą około stu napoleonów, i powiedział:

— Wkrótce wybiję moja ostatnia godzina. Powierzam ci mój zegarek i oszczędności; bądź tak dobry i odeślij to mojemu bratu, który jest w szpitalu dla ociemniałych w Bordeaux. Żegnam was, panowie!

I odszedł, idąc pewnym krokiem do swoich ludzi, którzy stali niedaleko ztamtąd.

— Nowe przywidzenie Razowskiego — zawołał Regulski i w dobitnych wyrazach rozwodził się nad jego szaleństwem.

W kilka godzin potem poległ pułkownik Kašinowski, kapitan Starowski i sam Razowski, kapitan Rechowicz miał przestrzelone obie nogi, Dobrzycki umarł po paru dniach z ran otrzymanych. Z bitwy jeden Regulski wyszedł żywy; lekko tylko raniony w ramię, przedostał się szczęśliwie do Niemiec i mógł później wypełnić pośmiertne polecenie Razowskiego.

121

Nie przytaczam tycli faktów dla dowiedzenia, że stary kapitan — który zresztą był człowiekiem bez wyższego wykształcenia — miał szczególny dar prorokowania, tylko dla wykazania, jak tajemniczo i dziwnie składają się często okoliczności w burzliwym życiu podczas wojny i jak wśród wojskowych, żyjących długi czas w takich warunkach, wytwarzają się ludzie, jak gdyby obdarzeni nadprzyrodzonymi właściwościami, którzy nawet w najśmielszych i najtrzeźwiejszych budzą obawę. Sam Napoleon przytacza przykłady podobnego przeczucia śmierci, jak na przykład u generała La Harpe po przejściu rzeki Po.

Zresztą zebranie u generała Chłopickiego, które się przeciągnęło do 11-ej w nocy, było wesołe i ożywione. Doskonałe wino porozwijało wszystkie języki, a na drogach, które powracaliśmy do naszych kwater, rozlegały się odgłosy wesołych rozmów i żartów.

XVIII.

Bitwa pod Vilelem (16-go lutego 1810 r.). — Przewożą mnie do Teruelu. — Odwiedziny generała głównodowodzącego. — Order.

Dnia 16-go lutego (1810 r.), rano, brygada Chłopickiego sformowała się u podnóża gór, na których leży Teruel — i zaczęła się posuwać brzegiem Guadalaviaru. Połączeni wołyżerowie, idący na czele, spotkali się wkrótce z tak silnym oporem, że musieli się zatrzymać. Hiszpanie zajmowali doskonałą pozycję za Villastar, na wierzchołku stromego wzgórza, którego w zagłębieniu brzegi zasłaniały ich przed naszym wzrokiem. Oni zaś widzieli nas aż nazbyt dobrze i utrzymywali gęsty ogień, skierowany ku miejscu, przez które trzeba było przechodzić.

122

Wołyżerowie, idący na czele, posunęli się odważnie ku temu przejściu; ale po drugiej salwie zaczęli się rozsypywać po za skałami w celu zasłonięcia się od strzałów. Chłopicki przy tej sposobności wypowiedział energiczną przemowę do żołnierzy Polaków. Kompanie posuwały się z prawej i lewej strony, a ja z moimi ludźmi znalazłem się na samej drodze. Przedemną wznosiła się niebezpieczna góra, na którą trzeba się było wdzierać pod ogniem nieprzyjaciela. Bez wahania zawołałem na moich ludzi:

— Naprzód, przyjaciele!

I rzuciłem się na czele z jednym tylko trębaczem Jankowskim, wdzierając się na górę. Hiszpanie popełnili ten błąd, że strzelili zaraz za naszym ukazaniem się, poczem nastąpiła chwila przerwy w strzelaniu, z której skorzystali nasi ludzie, żeby uderzyć na pozycję Hiszpanów, co już było łatwiejsze po przejściu spadzistości. Hiszpanie, chcąc do nas strzelać, musieli się więcej odsłaniać i mocno ucierpieli od ognia wołyżerów, którzy z po za nas strzelali. Ogień wkrótce ustał; napróżno hiszpańscy oficerowie popędzali swoich ludzi, narażając się sami na największe niebezpieczeństwo: Hiszpanie uciekli w dzikim popłochu. Zdaje mi się, że do tej pory nie posiadałem ani jednego żołnierza w mojej kompanii, ale kiedym dobiegł do nieprzyjacielskiej pozycji, przedzierając się przez skaliste dróżki, pomiędzy skalnymi złomami, drzewami i krzakami, oddział mój liczył zaledwie jakichś 60 — 80 ludzi z batalionu, pomieszanych z Francuzami, których usiłowałem sformować.

Byłem jeszcze niezdecydowany, co dalej robić, kiedy ukazał się Chłopicki z jednym adjutantem, z laseczką w rękę. Pochwalił nas i rozkazał ścigać nieprzyjaciela bez straty czasu. Przemówił wtedy do mnie po raz pierwszy od chwili mojego pojedynku z porucznikiem Czakim. Nieprzyjaciel był

123

zupełnie zdemoralizowany i opuścił bez oporu kilka doskonałych stanowisk. Pośpiech, z jakim wdzieraliśmy się na górę, i zmęczenie skutkiem tego, przerzedziło nasz oddziałek. Ja sam byłem już bez sił; zbierałem śnieg w rozpadlinach skały i gasiłem nim pragnienie, które mnie dręczyło.

W miarę, jak zbliżaliśmy się do Villelu, nieprzyjaciel stawiał silniejszy opór. Nawet *Tajaros*, (nieduże szopy) pod Vilelem były silnie obsadzone i otoczone głębokimi rowami. Na małej płaszczyźnie, rozciągającej się po za tą pierwszą linią obronną, wznosiła się reduta nieskończona, ale silnie obsadzona. Ujrzałem tam oficera siedzącego na karym koniu; przejeżdżał on od posterunku do posterunku, zachęcając swych ludzi do oporu.

Wdrapywaliśmy się w górę łożyskiem Guadalaviaru i pomimo, że nas było mało, udało się nam wyprzeć przeciwników z kilku szop, pod osłoną których mogliśmy się skupić i skierować silny ogień na nieprzyjaciela. Chłopicki dogonił nas tutaj.

— Trzeba wepchnąć do wody tych łajdaków! — zawołał — bo inaczej mogą się nam wymknąć. Zbieraj swoich ludzi i dalej na nich!

Usłuchałem rozkazu i kazałem mojemu trębaczowi Jankowskiemu zatrąbić do ataku, oraz bębnić niałemu dobozowi, należącemu do *compagnies du centre* 44-go pułku, który nie wiadomo z kąd wziął się między nami, ale tym razem żołnierze, wyczerpani z sił, czy też przestraszeni przeważającą liczbą nieprzyjaciół, opuścili mnie w połowie drogi. Zostałem sam z małym dobozsem, a że nie mogliśmy we dwóch zdobyć reduty, zmuszeni byliśmy do odwrotu.

Udało mi się jednak przyprowadzić żołnierzy do porządku; powiedziawszy im kilka słów zachęty, poprowadziłem ich znowu do ataku i byliśmy już blisko rowów, kiedy ugodzony kulą w głowę, padłem nieprzytomny.

124

Mam tylko niejasne wspomnienie tego, co potem się działo. Przyszedłem do przytomności dopiero w rękach lekarzy. To tylko pamiętam, że po upływie dłuższego czasu zadałem sobie pytanie:

„Jako, umarłeś — a oni jeszcze strzelają?”

Potem zdawało mi się, że widzę Inezę; próbowałem się dźwignąć, ale pomimo wysiłków, nie mogłem ruszyć ręką ani nogą. Nakoniec uczułem, że mnie podnoszą z ziemi; myślałem, że to aniołowie niosą mnie do nieba i znowu postradałem zupełnie przytomność. Po jakimś czasie usłyszałem głos mówiący:

— Powraca do przytomności....

A potem, uczułem że coś mi wlewają do ust, ale zapadłem znowu w zupełną nieprzytomność, z której ocknąłem się dopiero po kilku dniach w Teruelu. Postradałem pamięć i nie mogłem sobie przypomnieć nawet imienia mego służącego, i dopiero stopniowo powracały mi władze umysłowe.

Później dowiedziałem się, co zaszło potem, kiedy padłem ranny. Widząc mnie padającego, moi ludzie w pierwszej chwili rzucili się do ucieczki i przez chwilę byłem w mocy Hiszpanów, którzy ściągnęli mi buty, obdarli szlify i zabrali zegarek, zawieszony na wstążce Inezy, ale szpadę włożyli napowrót do pochwy i rzucili przy mnie na ziemi. Gdy nadbiegły posiłki, moi ludzie poszli znowu do ataku, i odepchnawszy nieprzyjaciela, zanieśli mnie do ambulansu. Oddział jazdy hiszpańskiej, naciskany silnie przez jazdę, przebił się mężnie przez nasze szeregi i uciekł w góry, wpadłszy po drodze na ambulans, do którego mnie przeniesiono, i zraniwszy jednego z lekarzy.

Po bitwie rannych poumieszczano na osłach i mułach i przeniesiono do Teruelu. Mnie upakowano (inaczej nie można tego nazwać) w koszu, zawieszonym na grzbiecie muła, a dla równowagi zawieszono z drugiej strony tornistry żołnierskie,

125

i po północy przewieziono do jednego z domów na placu targowym w Teruelu.

Nazajutrz przybył lekarz dywizyjny Courtois i wyraził zdanie, że jedynym ratunkiem dla mnie jest trepanacja czaszki. Sprzeciwili się temu moi przyjaciele — Żarski i Bogusławski — mówiąc, że lepiej dać mi spokojnie umrzeć, niż tak mnie męczyć.

Z operacji, którą mi robiono, przypominam sobie tylko to, że rozszerzono otwór rany i pukano w czoło młotkiem. Jakkolwiek nie sprawiało mi to bólu, ale wyraziłem wtedy obawę, że mi rozłupią czaszkę, a doktor poczytał to za objaw pomyślny. Podczas gdy leżałem jeszcze bez przytomności, przybył do Teruelu *général en chef*, żeby ztamtąd wyruszyć na wyprawę do Walencji. Porozdawał przytem oficerom orderzy za bitwy pod Santa-Maria i Belchite, które dopiero co nadeszły. Ponieważ jeden z nich był dla mnie przeznaczony, przyniósł mi go sam, przyszedłszy do mnie z adjutantem. Ale że byłem zupełnie nieprzytomny, dowiedziałem się o tem dopiero później od kolegów, z rozkazu dziennego i z „Gazety Sarogoskiej”, z 8-go kwietnia 1810 r. Rozkaz dzienny złożyłem, kiedy wstępowałem do służby w wojsku pruskim i nie zwrócono mi go wcale. Numer gazety jest w mojem posiadaniu i załączam z niego odnoszący się do mnie ustęp, opisujący potyczkę pod Villelem:

„W liczbie rannych znajduje się młody i nieustraszony porucznik Brandt, z 2-go pułku Nadwiślańskiego, któremu generał głównodowodzący osobiście doręczył krzyż Legii Honorowej, przeznaczony mu przez cesarza za bitwę 15-go czerwca ubiegłego roku”.

Za bitwę pod Villelem otrzymałem polski krzyż Zasługi Wojskowej — *Virtuti. Militari*. Dyplom datowany jest 26-go listopada 1810 r.

126

XIX.

Świetna obrona i szczęśliwe wyzwolenie załogi Teruelu. — Pułkownik Plicque i kapitan inżynierzy Lévistone. — Wygląd Teruelu. — Jego wodociągi. — Targ.

Dzięki silnemu organizmowi i starannemu leczeniu przez doktora Courtois, zdrowie moje poprawiło się prędko. Po upływie dwóch tygodni powróciła mi pamięć i mogłem już usiąść na łóżku. Ale dłuższy czas minął, zanim mogłem wstać i chodzić swobodnie z powodu zawrotów głowy, a powrót mój do zdrowia opóźnił się skutkiem moralnych wpływów. Wspomniałem, że *Général en chef* z Teruelu wyruszył na wyprawę do Walencji. Ale czy z powodu niedostatecznych sił, czy planu ułożonego na podstawie mylnych wiadomości, wyprawa zupełnie się nie udała. Podczas gdy generał Suchet szedł z wojskiem do Walencji, przysłano z głównego sztabu pułkownika Plicque'a z rozkazem zajęcia Teruelu i zabezpieczenia komunikacji z Saragossą z jednej, a Walencją z drugiej strony. W tym celu zajęto seminarium klasztoru Jezuitów, mającego dobre położenie; tam szpital przeniesiono i zapasy i obsadzono go 150 — 200 ludźmi z rozmaitych pułków. Rekonwalescenci mieli wzmocnić słabe siły załogi. Ale wszystko wzięło inny obrót, niż przewidywano. Zaledwie generał Suchet odszedł drogą do Walencji i rozproszył pod Alventosą przednie straż nieprzyjacielskie, ukazał się pod Teruelem Villacampa z zebranymi nanowo wojskami otoczył miasto i wezwał załogę do poddania się.

Łatwo zgadnąć, jaką otrzymał odpowiedź.

Jenerał hiszpański zajął na początek miasto, odepchnął nasze posterunki do klasztoru i obsadził okoliczne domy. Czy przez nasze niedbalstwo, czy przez zdradę księży, którym pozostawiliśmy kościół dla odprawiania nabożeństwa, zajął go wraz z jedną

127

wieżą, przez co nasze położenie stało się w najwyższym stopniu niebezpieczne.

Byliśmy zupełnie odcięci i ograniczeni posiadaniem klasztoru, zabezpieczonego wprawdzie z jednej strony Guadalaviarem, który tam przepływa i stromą spadziścią, na której stoi, ale odsłoniętego z dwóch stron.

Kapitan inżynierii Lévistone czynił, co mógł, dla zabezpieczenia klasztoru: zabarykadował wejścia, pozabijał deskami okna i był duszą całej obrony.

Hiszpanie, obsaczywszy nas ze wszystkich stron, przysłali drugiego parlamentarza z ostrzeżeniem, że nas wysadzą w powietrze. Przez dom sąsiedni dostali się do piwnic klasztornych — czemu nie mogliśmy przeszkodzić — i usłyszeliśmy wnet ich robotę pod ziemią. Leżąc w łózkach, mogliśmy rachować uderzenia hiszpańskich motyk i każdej chwili spodziewać się podróży do nieba.

Gwałtowny atak, przypuszczony przez nas, powrócił wieżę, nie zabraną przez Hiszpanów, ale mimo to położenie nasze niewiele się poprawiło. Nowy parlamentarz przybył, wzywając nas do poddania się i dodał propozycję, żebyśmy wyprawili jednego z naszych oficerów inżynierii dla obejrzenia zrobionych podkopów. Pułkownik Plicque przystał na tę propozycję i posłał Lévistona. Ten przyniósł wiadomość, że zastał minę rzeczywiście wykopaną, ale że nie jest pewny, czy beczki są istotnie napełnione prochem. Pomimo to usunięto żołnierzy z podminowanej części gmachu i przedsięwzięto środki do dalszej obrony w tej części, która mogła oprzeć się wybuchowi. Wszyscy ranni, którzy mogli utrzymać się na nogach, brali udział w obronie: grenadierzy i wołyżerowie, zaledwie powracający do zdrowia, prosili o najniebezpieczniejsze stanowisko, jako należny im przywilej. Co zaś było najdziwniejsze, to, komunikacja z Saragossą nie została przerwana. Dnia 8-go marca oficer naszego pułku, porucznik

128

Gordon, wiozący korespondencje z Saragossy, przybył do miasta. Został wprawdzie napadnięty, ale oddział naszych zrobił wycieczkę i doprowadził go do nas szczęśliwie. Przypadek, o którym dowiedzieliśmy się później, dopomógł tej zuchwałej wyprawie. Tegoż samego dnia Villacampa zabrał część oblężniczego wojska, zaskoczył w Alventosie jedną polską kompanię i wziął ją do niewoli. Skutkiem tego ruchu droga do Saragossy była prawie wolna przez kilka godzin, ale Villacampa, zabrawszy swoich ludzi, powrócił znowu na gościniec do Saragossy.

Dnia 9-go rano usłyszeliśmy w tamtej stronie strzały armatnie. Spotkanie nastąpiło na płaszczyźnie, położonej niedaleko zbiegu rzek Alhambry i Guadalaviaru, o godzinę drogi od Teruelu. Strzały padały gęsto i sądziliśmy, że nasi są górą. Ale wkrótce wywiedziono nas z błędu. Po południu sam Villacampa zawiadomił nas o podwójnym zwycięstwie, jakie odniósł nad Polakami w Alventosie i nad oddziałem, dążącym z Daroca, który zniósł doszczętnie. Dodał do tego, że armia Sucheta została zupełnie rozbita pod Walencją i ponowił groźbę wysadzenia nas w powietrze, jeżeli nie poddamy się natychmiast. Nowe to wezwanie zostało odrzucone tak samo, jak poprzednie, pomimo, że mieliśmy pewność, iż z tych trzech złych wiadomości dwie pierwsze są prawdziwe. Prócz tego Villacampa dodał, że pozwala nam jeszcze raz sprawdzić założone miny. Ale Lévistone utrzymywał wciąż, że Hiszpanie nie mają prochu i że gdyby nie to, nie ociągaliby się tak długo z wyprawieniem nas na tamten świat. I miał słuszość: Hiszpanom rzeczywiście brakowało prochu. Pomimo to prowadzili ostentacyjnie prace oblężnicze; barykadowali ulice, uzbrajali sąsiednie domy, kopali z wielkim hałasem pod ziemią.

Tymczasem, 13-go marca, wybiła nagle godzina naszego wyzwolenia. Główny korpus armii,

129

10—12,000 ludzi, po niepowodzeniu doznaniem pod Walencją zmuszony do odwrotu, cofał się, niepokojony ciągle przez nieprzyjaciela i 13-go ukazał niespodziewanie pod Teruelem. Mój przyjaciel, Żarski, prosił o pozwolenie stanięcia na czele przedniej straży. Śpieszył się tak bardzo, że znacznie wyprzedził ze swoją garstką główne siły przedniej straży.

Gdy wszedł na wąską uliczkę, z której nieprzyjaciel już był ustąpił, o czym nie wiedzieliśmy, przyjęło go wołanie naszych straży:

— *Halte-là! Qui vive?*

Odpowiedział na to:

— *France! 1 regiment de la Vistule!*

Podejrzewaliśmy w tem zrazu jakiś wybieg wojenny Hiszpanów, do którego użyli może przemocą Polaków, ujętych w Alventosie. Dlatego nie chcieliśmy dopuścić bliżej przybyłych. Ale Żarski zawołał głośno, ażeby wyprawiono porucznika Brandta,

który go pozna. Powiedział mi, jak rzeczy stoją i pułkownik Plicque pozwolił jego ludziom zbliżyć się do klasztoru, ale tylko po jednemu. Można sobie wyobrazić naszą radość. Było nam, jak gdybyśmy się obudzili z długiego snu gnębiącego. Żołnierze ściskali się i padali sobie w objęcia. Oblężenie trwało od 25 lutego do 13-go marca, a przez dwanaście dni żyliśmy pod grozą wylecenia w powietrze. Wina i mąki było jeszcze na jakiś czas, ale brakowało nam oddawna mięsa, a od kilku dni nawet i wody do picia.

Suchet przybył nazajutrz. Obejrzał roboty oblężnicze, odwiedził szpital, rozmawiał z ciężko rannymi, a do mnie powiedział kilka słów przyjacielskich. Pułkownika Plicque obsypał pochwałami. Dla biednego Lévistona, który był rzeczywiście duszą obrony, który nie odpoczywał ani w dzień, ani w nocy, zdobył się zaledwie na kilka wyrazów. Nasz komendant był człowiekiem ograniczonym i dziwakiem.

130

Całe dnie spędzał przy biurku, a gdy kto wszedł, zatrzymywał go wołaniem: *Silence!* albo *Chut!* i czasem długo trzeba było czekać, zanim można było złożyć raport i spełnić dane polecenie. Przed frontem miał zawsze minę zmieszana, i niedołączną; zdawało się, że nie ma żadnej energii i nie wiem, coby było się stało w tem trudnym położeniu, gdyby nie Lévistone i kilku

innych, pełnych energii oficerów. Śmiesznym wydawał się nam patos, z jakim Plicque opowiadał o swoich układach z Hiszpanami.

Marszałek Suchet w swych „Pamiętnikach” gani surowo postępowanie dwóch oddziałów, zaskoczonych przez Villacampe. Ale artyleria nie za służyła na ten zarzut, bo wypełniła wiernie swój obowiązek. Wszyscy kanonierzy przy tych czterech armatach polegli, albo zostali ranni, a ostatni wystrzał wycelował sierżant, dwukrotnie już zraniony.

Stan, w jakim była moja rana, skłonił doktora Courtois do wyprawienia mnie do szpitala w Saragossie. Ale muszę tu jeszcze poświęcić parę słów opisowi Teruelu.

Dziewięć klasztorów, siedem wspaniałych kościołów, nadają mu wygląd o wiele większego miasta, aniżeli jest w rzeczywistości. W jednym z tych kościołów, San Pedro, pokazują relikwie, mniej lub więcej autentyczne, „kochanków z Teruelu”, których losy opiewało tylu poetów.

Co jest najciekawszego w Teruelu, to olbrzymi wodociąg, oparty na pięciuset arkadach, który prowadzi do miasta wodę po nad głęboką przepaścią. Wodociąg ten został zbudowany w XVII w., ale na zapytanie, kto go zbudował, jedni odpowiadają, że Maurowie, a drudzy, że dyabeł, przegrawszy zakład do świątobliwego księdza. Uliczki są wązkie i kręte, a znaczna ilość brudnych placyków nie dodaje miastu uroku. Nigdzie w Hiszpanii nie

131

miałem sposobności obserwować mieszkańców, jak w Teruelu, gdzie całymi godzinami wyglądałem z balkonu na plac targowy. Z pierwszym promieniem jutrzeńki zjawiali się przekupnie na osłach i mułach: mężczyźni w płaszczach, kobiety w mantylach. Wrzawa trwała przez cały dzień, a takie były kłótnie i wrzaski, jak gdyby miało zaraz przyjść do bójki. Ale kiedy zadzwoniono na „Anioł Pański”, robiła się nagle cisza: sprzedający i kupujący żegnali się pobożnie i odmawiali modlitwę, a po ostatnim uderzeniu dzwonów rozpoczynali na nowo swój hałas piekielny. Rozlegały się znów kłątwy i wymysły, zmieszane z pobożnymi wykrzykami „*carajo, demonio*”, to znów „*ave Maria purissima*”, albo *naldita sea la virgen*” mulnika, którego muł nie chciał ruszyć. Po kilku godzinach wrzasku piekielnego tłum się rozprasał, odjeżdżając na osłach i mułach, rzadziej na wozach. Ale że wszyscy mieli tylko brunatne, albo czarne płaszcze i suknie, brak było tłumowi tego ożywienia, jakie nadają gdzieindziej jaskrawe ubrania. Brak było szczególnie czerwonych i kolorowych chustek.

W chwili wyjazdu do Saragossy miałem jeszcze zawroty głowy, niepewny chód i ociężałość w nogach, a prócz tego przy sondowaniu znajdowały się odłamki kości, pomimo, że rana zaczynała się goić. Pod staranną jednak opieką doktorów i przy odpowiednim spokoju odzyskałem prędko siły i już 1-go maja mogłem powrócić do pułku, choć rana jeszcze niezupełnie była zagojona. Ale przed wyjazdem pozwoliłem sobie na żarcik względem jednej damy, mającej stosunek miłosny z oficerem, który się z nią później ożenił. Dał on mi list do swojej lubej, a ja przyrzekłem doręczyć go zaraz. Ponieważ zmuszony byłem odłożyć to na później, więc wstyd mi było oddać osobiście list tak opóźniony. Przebraniu się tedy za prostego wołyżera i poszedłem. Ale Hiszpanka, domyślając się czegoś, wyjęła sztukę

132

złota z sakiewki i wcisnęła mi ją do ręki. Ponieważ wziąłem pieniądze, nie wiedziała już co sądzić i kto właściwie jestem, a w tej niepewności musiała pozostać do następnego dnia, kiedy do niej przyszedłem i jako porucznik — oddałem napiwek, otrzymany przez — wołyżera. Po wielu latach widziałem się z tą osobą w Polsce. Oboje postarzeliliśmy się, ale przypomnieliśmy sobie z przyjemnością tę zabawną scenę. Żyła jeszcze w Warszawie na początku piętego dziesiątka tego wieku, wśród liczego grona dzieci, nie tęskniąc za swoją piękną ojczyzną. Jeżeli się nie mylę, krewni jej opisali romantyczny początek jej stosunków miłosnych z późniejszym mężem i rozmaite niebezpieczeństwa, na jakie później była wystawiona, a szczególnie wtedy, gdy jej mąż leżał w Wittenbergu ciężko raniony.

XX.

Znów gerylasowie. — Przygotowania do oblężenia Tortosy. — Pochód do tego miasta przez Morellę. — Niebezpieczny wąż. — Zejście do Huerty. — Przybycie do Tortosy. — Gorąca utarczka.

Dnia 1-go maja wróciłem do pułku, który stał w dobrze mi znanej Calamocho. Na powitanie wziąłem udział „w oblawie” na gerylasów Comorana i Hernandezza, którzy się zebraли w górach, z kąd wypływa Panetudo i Rio Martin i z tamtąd robili wyprawy aż w dolinę rzeki Ebro.

W powrocie do Calamocho nieprzyjacieli szedł za nami i pod N. S. de Lancosa przyszło do bitwy, dzięki temu, że zawróciliśmy nagle i wpadliśmy zniemacka na niego. Dostał tam taką naukę, że od tej pory nie słyszeliśmy już więcej o tych bandach i do samej Calamocho nie daliśmy ani razu ognia.

133

Po powrocie z tej wyprawy obuwie mojej kompanii było w stanie godnym pożałowania. Niektórzy żołnierze byli prawie boso. Skutkiem raportu, jaki o tem złożyłem, major Michałowski, dowodzący chwilowo pułkiem, a mający obowiązek specjalnego nadzoru nad dostawą umundurowania, odbył przegląd mojej kompanii. Pan ten, którego uczciwości dużo zarzucano, przypisał mi całą winę i powiedział, że w kompanii niema porządku. Odpowiedziałem mu na to, że przy tak złym materiale nie pomoże najściślejszy nadzór i powołałem się na zdanie całego pułku.

Major przyjął, naturalnie, bardzo źle moje oświadczenie, a że był zarazem sędzią i stroną, skazał mnie na ścisły areszt, ale na tem się skończyło; w pułku wywołało to wzburzenie i niezadowolenie; generał Chłopicki dowiedział się o wszystkim i tego samego wieczoru zwrócono mi szpadę.

Kiedym się zameldował majorowi, przyjął mnie z wielką słodyczą i powiedział, że ukarał mnie tylko dla nauczenia na przyszłość większej przeczności. Nie odpowiedziałem mu nic i odszedłem zuchwale, zadąsany, jak zwykle robią obrażeni ludzie.

Dnia 25-go poszliśmy przez Calanda i Monroyo do Morella, gdzie przybyliśmy 28-go. Zastaliśmy tam generałów Lavalą i Montmarie. Cała dywizja Lavalą była tam zebrana, to jest 14-ty pułk francuski; polskie: 5-ty, 44 i 2-gi, 13-ty kirasyerów, część pułku huzarów i 12 dział.

Morella leży w północnej części królestwa Walencji, w okolicy górzystej, jałowej, zamieszkałej przez ludność ubogą, ale wojowniczą. Małe to miasteczko, położone na stoku góry Muela de Garamba, do którego przystęp jest trudny, otoczone jest murem

najeżonym basztami; ma prócz tego na skalistym wzgórzu niewielką cytadelę, bronioną przez 12 dział.

134

Nieprzyjaciel miał zamiar bronić miasta, ale silny atak generała Montmarie zmusił go do zrzeczenia się tego zamiaru i wykonał odwrot z takim pośpiechem, że opuścił jednocześnie miasto i cytadelę. Był to wielki błąd ze strony Hiszpanów, że nie obsadzili silniej twierdzy, pod której osłoną mogli bronić miasta i zorganizować wojnę partyzancką, wojnę wśród gór okolicznych, co byłoby uniemożliwiło Francuzom wejście od tej strony do Walencji.

Rzadko która okolica przedstawia równie korzystne warunki do takiej wojny. Granitowe skały, dziwnie poszarpane, burzliwe potoki, głębokie rozpadliny, zarosłe zrzadka dębami i sosnami, przedstawiały doskonałe pole do zasadzek, napadów i chronienia się w odwrocie. Taki dowódca, jak Mina, mógł nam narobić dużo kłopotu na podobnym gruncie.

Cała dywizja Lavalą, skoncentrowana w Morelli, ruszyła w pochód 30 czerwca, kierując się do Chert. Mieliśmy iść przez najdzikszą i najbardziej górzystą okolicę, a szczególnie niebezpieczne było przejście przez wąwóz, gdzie przez sześć godzin szliśmy ciasnym przesmykiem pomiędzy stromymi skałami, stojącymi w niektórych miejscach tak blisko siebie, że pozostawała zaledwie mała i wązka szczelina między nimi. W innych miejscach droga była zawałona wielkimi głazami, które się stoczyły z gór. Sami żołnierze rozumieli niebezpieczeństwo i dziwili się, jak można było pozostawić bez obrony takie przejście, w którym garstka odważnych ludzi mogła przez kilka dni zatrzymać całą dywizję. Odetchnęliśmy dopiero, kiedy po wyjściu z wąwozu ukazał się nam czarujący krajobraz Walencji. Piękne ogrody, winnice, palmy, kanały, olśniewającej białości domy, kościoły o jaskrawych kopułach, otoczone wyniosłymi palmami — wszystko to budziło zachwyt w tym „raju, który zamieszkują szatani”, według wyrażenia Aragończyków.

135

1-go lipca doszliśmy po uciążliwym pochodzie do *La Jana* w cudownej okolicy. Mieliśmy do zbytku doskonałego wina, najpiękniejszych jarzyn i owoców. Prócz tego wędzone ryby — *abadejos* — i wyborną szynkę. Brak tylko było paszy dla koni, i trzeba było żywić konie i muły chlebem świętojańskim, co im szło na zdrowie i smakowało widocznie. Tylko konie, pochodzące z północy, w początkach nie chciały jeść, ale w końcu przyzwyczyły się do tego pożywienia.

Z *La Jana* część pułku poszła do Vinaroz, a grenadyerzy i wołtyżerowie z kirasyerami do S. Mateo. Jest to miłe, wśród oliwnych gajów położone miasteczko, gdzie mieliśmy żywności do zbytku, ale wino tamtejsze nie smakowało naszym ludziom. Wino w Aragonii ma ciemniejszą barwę i smak inny. Wino w Katalonii i w Walencji jest jaśniejsze i mocniejsze, ale niema tego aromatu, co wino z Aragonii, Nawarry, z Campo de Carinena, z Tudeli, Peralty i z Tafalli, tak zwany „Kwiat Nawary”.

Ale co tam Aragonia w porównaniu z Walencją! W ogrodach strzelają tu w górę kwitnące *Jucca gloriosa* i olbrzymie, niebieskawe, sztywne liście agawy, zakończone kiścią kwiatową, wysoką niekiedy na 30—40 stóp. Pod drzewami pomarańczowymi i mirtowymi obcowali codziennie synowie Północy — i zdawało mi się chwilami, że należą do wędrowni ludów, prowadzonej przez galilejskiego imperatora. Biwakowaliśmy wprawdzie pod gołym niebem, ale odwiedzali nas często mieszkańcy, którzy nie opuścili swoich siedzib.

3-go lipca wyszliśmy wczesnym rankiem do Uldecony, gdzie stanęła obozem cała dywizja. Pozostało tylko w miłym miasteczku kilku grenadyerskich kompanii ze sztabem. W nocy zaczął wiać wiatr przenikliwy i było tak zimno, że chociaż przeszliśmy od S. Mateo cztery mile, nikt nie mógł

136

zasnąć. O 2-jej zaalarmowały nas forpocztą — dano hasło wymarszu. Kiedy rozkazał zatrzeć mojemu trębaczowi — który mi zawsze towarzyszył — zobaczyłem, że był tak pijany, iż ledwie mógł utrzymać się na nogach, a drugi zgubił mundsztuk od trąbki; byli oni zresztą obaj dzielne chłopcy. Wobec takich katastrof najlepiej skutkuje wypoczynek, na szczęście też, nie wyruszyliśmy zaraz, i obaj inni trębacze mieli czas wytrzeźwieć i odszukać zgubiony mundsztuk. Wyszliśmy dopiero nazajutrz o 4-jej. Pochód odbywał się zrazu spokojnie, dopóki nie przyszliśmy w okolice Tortosy. Wokoło strzelały w górę wyniosłe głowy palm. Szczególnie dużo ich było widać w stronie morza, zwykle po trzy. Miejscowi ludzie mówili nam, że palmy zawsze muszą tak rosnąć, żeby mogły na siebie patrzeć — jak mąż między dwiema żonami. O milę od Tortosy spotkaliśmy batalion gwardii wallońskiej. Nasi ułani wpadli na niego, część wzięli do niewoli, resztę rozproszyli. Pułkownik sztabu, Mesclop, który dowodził przednią strażą — 1 batalionem połączonych wołtyżerów, 50-u ułanami i czterema działami, pędził z takim pośpiechem, że stanął pod Tortosą prędzej niż zbiegowie. Zdaje się, że nie doszła tu wiadomość o naszym pochodzie, pomimo, że byliśmy alarmowani w Uldeconie. Zastaliśmy mieszkańców przy pracy i doszliśmy do przyczółka mostu bez wystrzału.

Pułkownik Mesclop rozstawił swój oddział tak, że trzy kompanie wraz z działami obsaczyły warownię na odległość strzału armatniego, a w rezerwie pozostawił kompanię 44-go pułku z jazdą, na gościńcu, którym przyszliśmy.

Ja z moją kompanią posłany zostałem na drogę do *La Roquette*. Nie spotkawszy oporu, sądziliśmy, że szaniec zostały opuszczone i zbliżyliśmy się do samej palisady oszańcowanego miejsca. Sądzę, że gdyby wszystkie kompanie były tam w tej

137

chwili, bylibyśmy zdobyli szaniec przedmostowy. Ale wnet rozległy się okrzyki: *Los Franceses! los enemigos! a las armas!* Stary zamek posłał z drugiego brzegu pierwszą kulę armatnią, która przeleciała nam nad głowami. Rzeka w tem miejscu jest szeroka na 650 kroków i mogliśmy słyszeć wrzawę, jaka się rozlegała w mieście, krzyki mieszkańców, bicie w bębny. Szaniec przedmostowy pokrył się w mgnieniu oka czerwonymi czapkami i gwałtowny ogień zmusił nas do odwrotu, tem prędszego, że byliśmy bez żadnej osłony, ponieważ domy i drzewa zostały zniszczone na odległość armatniego strzału.

Cofnęliśmy się więc do dwupiętrowego domu z ogrodem, otoczonym murem, oddalonego o 500 kroków od szańca.

Nie mając żadnego rozkazu, uznałem, że trzeba się zatrzymać w tem schronieniu i spodziewałem się otrzymać wkrótce posiłki.

Ustawiłem część swoich ludzi w ogrodzie i zresztą zająłem dom. Zatrzymałem w rezerwie trochę ludzi z 1-ej kompanii wołyżerów i trochę wołyżerów z 44-go pułku, którzy przybiegli tu ze mną. Nie skończyłem jeszcze wydawać rozporządzeń, kiedy artyleria skierowała na nas gwałtowny ogień. Strzał za strzałem padał z przedmostowego szańca, z baterii położonych nad brzegiem rzeki i ze starego zamku „Castillo Viejo”. Dach na domu w oka mgnieniu został podziurawiony, również i ściana od strony miasta. Z szańca przedmostowego usiłowano zburzyć mur opasujący ogród.

Kanonada ucichła na chwilę i wysypało się parę tysięcy *miqueletów* w czerwonych czapkach; większa ich część zwróciła się ku domowi zajętemu przez nas, a reszta poszła brzegiem Ebra. Z początku przewaga była po naszej stronie, ale artyleria z zamku zasypywała nas bezustannie bombami i granatami, a gdy drugie piętro runęło, ranni

138

zapełnili wnętrze domu i osłabł nasz ogień — Hiszpanie posunęli się naprzód. Wdarli się do ogrodu przez wyłom i wyparli z tamą moich ludzi. Mogliśmy widzieć zblizka te dzikie i wrogie twarze naszych nieprzyjaciół. Na szczęście, przy drugim ataku kanonada ustała nagle, wypchnęliśmy Hiszpanów z ogrodu, ale zaczajeni za murem, strzelali do nas tak gwałtownie, że prawie cały dom zapełnił się rannymi i poległymi.

— *Notre situation se dessine en noir, lieutenant!* — powiedział mi sierżant francuski, który z częścią wołyżerów z 44-go pułku przyłączył się do nas.

Nie wiem, z jakiego powodu nastąpiła przerwa w ataku. Słońce było już wysoko, lecz odsiecz nie było widać. Najwięcej dręczyło nas pragnienie, a nie mógł nikt iść do studni w ogrodzie, bo było to miejsce najczęściej wystawione na strzały.

Złożyłem radę wojenną z porucznikiem Krąkowskim i sierżantem Szewczykiem. Byliśmy otoczeni ze wszystkich stron, o przebicciu nie mogło być mowy. Postanowiliśmy bronić się, ustępując z pokoju do pokoju, i pogrzebać się raczej w gruzach, niż kapitulować. Byliśmy zresztą pewni, że pomoc lada chwila nadejdzie i udało się nam dodać ducha żołnierzom. Położenie oczywiście było niebezpieczne. Otoczeni przez krwiożerczego wroga, pod ogniem potężnej artylerii, odcięci zupełnie od swoich, w dodatku zmęczeni, wyczerpani uciążliwym marszem i bitwą. Nieprzyjacielski ogień zwalniał trochę i zrobił się jakiś ruch między czerwonymi czapkami na drodze do Roquetty. Hiszpanie cofali się przez gęste zarośla, wiszące po obu stronach gościńca, i zdawało się, że zamierzają uderzyć znowu na nas. Ale kiedy daliśmy do nich ognia, puścili się żywo ku szącowi przedmostowemu. Jednocześnie ci, którzy nas otoczyli, opuścili swoje stanowiska i cofnęli się ku rzece, a na drodze

139

do Walencji ukazały się nasze kolumny i zajęły brzeg ogrodu, ciągnącego się w półkole ku szącóm. Rzuciliśmy się za uchodzącym nieprzyjacielem, ale powstrzymał nas gwałtowny ogień działowy i karabinowy z szańców. Kula armatnia obsypała mnie piaskiem i ziemią, kula karabinowa drasnęła w prawe ramię, a jednocześnie dostałem w prawą rękę kilka siekańców, z których jedno ziarnko weszło tak głęboko, że nie można go było wydobyć. — Dziś jeszcze — po latach pięćdziesięciu — ból w danej ranie przypomina mi pierwszy dzień oblężenia Tortosy.

W tejże chwili nadciągnął generał Chłopicki, zluzował moich ludzi i rozstawił łańcuch forpoczt ze świeżo przybyłego wojska. My zaś zapędziliśmy się do rajskiego obozu, w którym stanęła dywizya, o 600 stóp oddalonego od twierdzy.

Po przyjsciu do obozu wywołałem ludzi swoich do apelu. Brakowało 52 poległych i rannych z pomiędzy wszystkich, którzy ze mną byli. Pułkownik rozwodził się nad tak wielkimi stratami i utrzymywał, że niepotrzebnie się narażałem. Ale to nie było słuszne; było to tylko następstwem nietrafnego rozporządzenia w pochodzie i innych okoliczności. Gdybyśmy byli otrzymali pomoc, bylibyśmy bez żadnej wątpliwości zdobyli szance przy niepojętem niedbalstwie i nieostrożności Hiszpanów. Ale wysunięty naprzód oddział pozostawiono bez instrukcyi i bez pomocy, więc musiał on liczyć tylko na własne siły.

Tak wielkie straty wynikły skutkiem tego, a przy odrobinie energii można było złemu zapobiedz. Zapewne dla zamaskowania popełnionego błędu pominięto całą tę sprawę milczeniem.

Nad wieczorem urządziliśmy się już wygodnie w obozie. Wszędzie paliły się wesoło ognie, a lubo hiszpańska artyleria dawała się nam mocno we znaki, nie przeszkadzało to nikomu do wypoczynku.

140

Niesłychane masy żywności różnego rodzaju pościągano z okolicy. Oficerowie kompanii siedzieli pod wielkim figowem drzewem i zajadali z zadowoleniem baraninę pieczoną i dawno niewidziane kartofle, które w Hiszpanii nazywają pogardliwie *comida por los cochinos* — jedzenie dla świń — a niedaleko od nich grupa wołyżerów, z których kilku było pijanych.

— Niech Bóg da zdrowie alkaldowi! — zawołał jeden z nich — za to, że mnie oddał w rekruty. Nigdy pewnie nie kosztował on czekolady, ani wina. Niech żyje!

I w tej samej chwili, kiedy podniósł szklanę w górę, żeby wypić zdrowie alkalda, gwizdnęła kula z cytadeli i urwała mu głowę w taki sposób, że czaszka obdarta z włosów bez mózgu potoczyła się opodal jak by wyrzucona z procy.

— Szkoda! — odezwał się jeden z żołnierzy, — Dobry był z niego żołnierz, dzielny kolega!

— I wielki pijak! — dodał kapral.

Poczem odniesiono na bok ciało zabitego.

Ponieważ ogień nieprzyjacielski dawał się nam we znaki — pomimo gęstych drzew figowych, orzechowych i świętojańskich, pośród których obozowaliśmy — usypaliśmy następnego dnia wysoki szaniec, który nas zasłaniał od strzałów.

Nie mając dużo materiału, musieliśmy powyrywać wszystkie budulec z domów okolicznych i z tego wybudowaliśmy baraki. Wszystko to robiliśmy wśród ciągłych wycieczek nieprzyjaciela, który 6, 7, 8, 9, i 10 lipca staczał z nami żywe utarczki.

9-go lipca na miejsce strat, poniesionych przez moją kompanię, miałem wziąć ludzi z *compagnie du*

141

centre. Ponieważ miałem prawo wyboru, przyszło do nieprzyjemnych wyjaśnień z kapitanem, który mi wymawiał, że marnuję ludzi bez potrzeby. Zrobiło to tak niedobre wrażenie na żołnierzach, że niechętnie wstępowali na moje wezwanie, gdy dotąd był nadmiar kandydatów do mojej kompanii. Musiałem pokutować za błąd popełniony przez zwierzchników. Ale generał Chłopicki ujął się za mną. Miał on kwatery o 50 kroków od naszej kompanii, w małym domku, obrosłym winem, otoczonym kwitnącymi drzewami, i prawie codzień przechodził przez nasz obóz. Nazajutrz po bitwie, przechodząc tamtędy w chwili, gdyśmy stanęli do apelu, przemówił zwykle milczący generał:

— Biliście się wczoraj jak dzielni chłopcy, ale nie wątpię, że tak będzie.

Potem przystanął przed wołyżerem, któremu kartacz urwał pompon i przedziurawił kaszkiet, i dodał:

— Prawda, że sprawiliście się dobrze?..

— Nie było tam jeszcze tak gorąco, jak pod Villastar — odpowiedział żołnierz.

Generał poklepał go po ramieniu, a mnie podał rękę po przyjacielsku.

— No! — powiedział obecny tej scenie kapitan Solnicki, dowódca 3-ej kompanii fizyliarów z 2-go batalionu, który znał generała jeszcze z Włoch, — pewnie już śmierć niedaleko od generała, bo nie widziałem go jeszcze nigdy takim!

Do 12-go lipca, korzystając z ciemności nocy, oszańcowywaliśmy odosobnione posterunki i łączyliśmy je z sobą szaniami, a stojące pojedynczo domy fortyfikowaliśmy, czemu usiłowali przeszkadzać Hiszpanie, staczając z nami częste potyczki. Dnia 12-go zrobili wycieczkę do domu, którego nasza kompania broniła 4-go lipca. Wyparli warty z przykopu, ale zostali odparci przez nadbiegające rezerwy pod dowództwem kapitana Balla. Przed samem

142

południem ukazał się znowu oddział, z 20-tu ludzi złożony ale ujrawszy naszych, cofnął się zaraz. Jeden tylko z Hiszpanów wystrzelił, a ten strzał położył trupem męznego kapitana Balla, który w tylu utarczkach, bitwach i oblężeniach nie był nigdy ranny. Kula ugodziła go w czoło i wyszła drugą stroną czaszki, a kapitan padł na miejscu zabity nie wydawszy nawet jęku.

Ogólnie żałowano tego zacnego człowieka. Jak zwykle, idąc na służbę, ubrał się starannie i grenadierzy wychwalali jego spokojną zawsze postawę, kiedy go śmierć tak niespodziewanie zaskoczyła. Byłem wtenczas na warcie na samym krańcu lewego skrzydła, nad rzeką Ebro, kiedy doszła mnie wiadomość o śmierci mojego kochanego i czcigodnego przyjaciela i protektora, a nie mogłem nawet jego zwłok pożegnać, bo kiedy został nazajutrz zluźowany z posterunku, były już od kilku godzin złożone w ziemnym grobie.

Od 13-go nastał spokój, który trwał kilka dni. Czy to był wybieg wojenny dla uspienia naszej czujności, czy też niesłychane gorąco, nawet na Hiszpanów wywierało wpływ — dość, że cały ten czas stali beczynnici. Nawet artyleria umilkła. Wykończyliśmy nasze szanice i zaprowadziliśmy połączenia między nimi; oblężeni robili to samo na drugim brzegu rzeki.

Złe wiadomości, nadchodzące z Katalonii, trochę osłabiły naszego ducha. Choć były skąpe i niedokładne, to jednak było z nich widoczne, że właściwe oblężenie nieprędko się rozpocznie.

Armia katalońska, na której współdziałanie liczyliśmy, nie mogła skutkiem przeszkód rozpocząć swoich działań. Dywizya nasza, wbita klinem między armię katalońską i Walencyanów, mając przed sobą twierdzę z silną załogą, za sobą góry trudne do przebycia, naokoło cały kraj pod bronią, była w położeniu niebezpiecznym.

143

Dni mijały powoli na drobnych, utarczkach i niepokoieniu przez nieprzyjaciela. Żywności zaczynało być mniej, źródła wyschły i wodę do gotowania trzeba było sprowadzać z daleka.

Pierwszych dni sierpnia nocą, wielu oficerów słyszało na gościńcu do Taragony — na drugim brzegu Ebra — turkot licznych wozów, a ja, stojąc na straży 2-go sierpnia, słyszałem odgłos maszerującego wojska, ale Hiszpanie zachowywali się spokojnie, nie strzelali i w dzień nie było widać u nich żadnego ruchu, w głównej kwaterze nie zwracano przeto uwagi na nasze raporty, a że przyjechał wtedy do obozu *Inspecteur aux revues*, cały sztab, płatnicy, kapitanowie, furerzy i t. d. zostali wezwani i zdawali rachunki w dość oddalonym domu.

D. 3-go sierpnia, około 4-ej, nagle odezwały się w krótkich odstępach trzy strzały armatnie i bomby przeleciały nad naszymi głowami w stronę La Roquetty. Oficerowie leżeli na matach pod drzewami, porozbierani, bo upał był nie do zniesienia.

— To sygnał! — zawołałem.

I zerwawszy się jednym susem, pomimo żartów niedowierzających kolegów, pobiegłem do swojej kompanii. Zanim zdążyłem dobiec, walka w przykopach już się rozpoczęła. Nasi, dobrze wyćwiczeni ludzie, stanęli natychmiast pod bronią, niezupełnie według formy poubierani, ale broń była w porządku.

Podczas gdy rozstawiał swoich wołyżerów, kule już gwizdały naokoło nas. Nadbiegł generał Chłopicki w kurtce, w nankinowych spodniach i płytkich trzewikach, zawsze z nieodłączną laseczką w rękę i zakomenderował swoim pięknym głosem:

— Grenadyerzy w lewo! Wołyżerowie w prawo! I naprzód!

A po wykonaniu tego ruchu stanął na czele oddziału i poprowadził go na Hiszpanów.

144

Przez ten czas na naszym lewym skrzydle około 300 jeźdźców hiszpańskich, okrążywszy nasze skrzydło, popędziło prosto do wsi *Jesusa*, gdzie była nasza główna kwatera. Tam rozsiekali na ulicy kilku kawalerzystów i zabili sztyldwacha przed drzwiami generała. Przyjęci strzałami kompanii grenadyerów francuzkich, będących na służbie, rozproszyli się i pouciekali w różne strony; niewielu z tego pułku powróciło z St. Jago do Tortosy. Gdyby byli zatrzymali się w porządku, byłiby mogli zniszczyć lub zabrać cały park amunicji, stojący o kilka kroków, bardzo słabo strzeżony, a potem zaskoczyć nas z tyłu, ale widocznie potracili głowy. My zaś stoczyliśmy na broń sieczną walkę krótką, ale krwawą, w której wzięliśmy górę. Między Hiszpanami dużo było pijanych, szczególnie *Migueletów* (nieregularne wojsko). Niektórzy rzucali się jak wściekli na naszych ludzi, inni atakowali oficerów,

usiłując ich pozabijać; jeden z takich rozwścieczonych wpadł na mnie i już podniósł broń, kiedy sierżant Dachowicz położył go trupem.

Nasze wojsko, rozstawione w linii, odepchnęło nieprzyjaciela, idącego kolumną i skutkiem tego mogliśmy go otoczyć z obu stron. Ostatni żołnierze w kolumnie hiszpańskiej, przestraszeni tem, zachwiali się i pomimo, że oficerowie czynili, co mogli, żeby ich poprowadzić naprzód, koniec kolumny, zobaczywszy naszych żołnierzy na bokach, zawrócił, za nim środkowe kompanie, a w końcu czoło, opuszczając oficerów.

Wszystko to trwało zaledwie kwadrans, poczem Hiszpanie rozpoczęli bezcelową strzelaninę z oszańcowanej drogi do przedmostowego szańca, na co nasi odpowiadali słabo.

Jeńców, których sprowadzano ze wszystkich stron, było 200 — pomiędzy nimi dużo oficerów i kilku sztabowców; nasz pułk, który wytrzymał główne natarcie, nieprzyjaciela, miał mnóstwo rannych i poległych,

145

a między temi ostatnim i kapitana Solnickiego, dobrego, ale zbyt surowego oficera, który dużo się przyłożył do wykształcenia młodszych oficerów, lecz był w najwyższym stopniu nienawidzony przez żołnierzy. Przyniesiono go jako zabitego do obozu: kula rozłupała mu czaszkę nie naruszywszy mózgu, ale gdy zdjęto odłamek kości z mózgu, otworzył oczy, powiedział: „Jak mi dobrze!” i w tej chwili skończył. Kapitanowi Mędrzykowskiemu kula strzaskała ramię; prócz tego, zostali lekko ranieni porucznicy Niedzielski i Dobrzycki, oraz wielu innych.

Zaledwo Hiszpanie przeszli przez most, ze wszystkich szanów i fortów rozpoczęła się gwałtowna kanonada. Jeden z młodszych oficerów, chcąc okazać, że gardzi niebezpieczeństwem, stanął na parapecie. Za nim poszedł drugi i trzeci; zebrali się tam w końcu porucznicy: Dobrzycki, Piątkowski, Żórawski, Brand, Kupść, Niedzielski. Nagle zobaczyliśmy oficera idącego zewnątrz parapetu spokojnie i wolno.

— Panowie! — przemówił. — Jenerał pyta, co znaczy ta fanfaronada i zabrania jej surowo.

Wszyscy powrócili spieszenie do przykopu, a poseł — kapitan Rechowicz — powrócił tym razem wewnętrzną stroną szańca. Mówiono później, że wprawdzie jenerał powiedział to, ale dodał, że jesteście zuchy. Kapitan zaś uczynił uwagę:

— Robisz to samo, co te szalone głowy!

Na to Rechowicz z niewzruszoną zimną krwią odrzekł, że adjutant z rozkazem powinien iść zawsze najkrótszą drogą.

Należy tu dodać kilka szczegółów do charakterystyki jenerała Chłopickiego.

Kiedy w przykopach oczekiwaliśmy dalszego rozwinięcia się walki, jenerał wszedł do jednego pokoju, w tym samym domu, w którym przeżyłem takie gorące chwile 4-o lipca. W tym pokoju, na

146

ścianie, porucznik Dobrzycki, który był doskonałym rysownikiem, narysował węglem jenerała, jak w groźnej postawie prawi surowe kazanie porucznikowi, nie cieszącemu się jego łaskami. Obie postacie były uderzająco podobne.

— Kto to zrobił? — zapytał jenerał.

Kiedy mu powiedziano, że porucznik Dobrzycki jest tym artystą, jenerał się odezwał:

— Bardzo dobrze rysowane, ale chyba, że tak znowu źle nie jesteście z sobą?

Kiedy o zmroku powracały kompanie, jenerał zawołał do kompanii grenadyerów i wołtyżerów, na których czele sam dziś stanął:

— Dobry wieczór, dzieci!

Wszystkim oficerom mówił „dobry wieczór”, wymieniając ich po nazwisku. Przeszedł koło baraku gdzie leżał mążny Solnicki — którego jenerał nigdy nie lubił — ale nie wstąpił, żeby go odwiedzić.

Marszałek Suchet w swoich Pamiętnikach, przypisuje powodzenie bitwy 3-o sierpnia doskonałym rozporządzeniom jenerała Laval. Widziałem go rzeczywiście idącego na czele kilku kompanij grenadyerów i dowiedziałem się później, że otrzymał dość silną kontuzję. Ale zważywszy na odległość od wsi Jezusa do mostu, mógł Laval przybyć dopiero pod koniec bitwy, która miała przebieg niezwykle szybki. W każdym razie 3-ci sierpnia był dniem rozstrzygającym o losach Tortosy. Sam marszałek Suchet to przyznaje, tylko, że nie kładzie nacisku na to, co ważniejsze. Pod Tortosą był główny punkt decydujący o losach wyprawy; nasze niepowodzenie mogło spowodować zgubę dla obserwacyjnego korpusu, stojącego pod Cenia — wojsk na prawym brzegu Ebra — a nawet główne siły Sucheta postawić w trudnym położeniu.

We dwa dni potem wyprawiono mnie do Tortosy po rzeczy naszych jeńców. Włożyłem — rozumie się — najpiękniejszy mundur, przystroiłem się w szlify,

147

założyłem świeżą wstążkę do orderu i kazałem sobie poprzylepiać na świeże i dawne rany czarne plastry, zamiast białych.

Wystroiłem także mego trębacza Jankowskiego, zalecając mu, żeby nic nie pił. Zaopatrzyłem się w niezbędne listy i w otoczeniu wszystkich młodszych kolegów poszedłem do przykopu. Kazałem Jankowskiemu wsunąć trąbkę między dwa wozy z piaskiem i parę razy zatrąbić, poczem podnieśliśmy się i trąbiąc ciągle poszliśmy do krzyża przy głównej drodze. Zobaczyliśmy na tej drodze pełno ludzi, którzy lufy swoich karabinów powsuwali między palisady. Doszedłszy do krzyża, usłyszeliśmy wołanie — Alto! (stój) albo: dam ognia!

Wkrótce ukazał się niemiody oficer z trębaczem — zapytał czego żądam i wymawiał mi, że tak daleko zaszedłem. Przyjął moje usprawiedliwienie, zawiązał mi oczy i chciał wziąć listy, ale powiedziałem mu, że mam rozkaz doręczyć je osobiście komendantowi, na co odrzekł, że to nie od niego zależy. Wyprawił z zapytaniem swego trębacza, poczem zaczęliśmy rozmawiać, co trwało aż do powrotu posła. Pytał się o jeńców, w których interesie przybyłem, ale zdawało się, że zna niewielu, bo większa ich część należała do wojska, które przyszło do Tortosy z Katalonii, z Henrykiem O'Donnellem. Po upływie dość długiego czasu przyszedł oficer z pozwoleniem na wprowadzenie mnie do miasta. — Obaj ujęli mnie pod ręce i poprowadzili przez most. Miałem polecenie przemierzyć jego długość; uczyniłem to, ale wątpię, czy dokładnie, bo moją uwagę mąciła rozmowa z przewodnikami.

Ze szmeru głosów wnosłem, że mijamy tłum ludzi, a niekiedy dochodziły do moich uszu uwagi.

Ktoś powiedział:

— To jeszcze bardzo młody chłopiec.

Parę razy odezwało się też groźne i namiętne:

— *Al viage de sangre con el carajo!* (na krwawą drogę z tym...).

„Krwawą drogą” nazywają miejsce w pobliżu miasta, gdzie zamordowano wielu Francuzów podczas oblężenia Tortosy jeszcze przez księcia Orleańskiego.

Nareszcie zawróciliśmy raptownie, a potem weszliśmy na schody, gdzie mi zdjęto przepaskę z oczu i w pokoju o ścianach podziurawionych przez nasze kule stanąłem przed obliczem komendanta: *general conde de Alacha*. Nie mogę powiedzieć, żeby jego osoba zrobiła na mnie osobliwe wrażenie.

— Ekscelencyo! powiedziałem po francusku — mam zaszczyt doręczyć listy od oficerów wziętych do niewoli 3-go sierpnia i od generała Lawała.

— Bardzo mi miło — odrzekł i poszedł z kilku wyższymi oficerami do sąsiedniego pokoju. Kilku młodszych oficerów pozostało przy mnie i poczęstowali mnie czekoladą i wodą z lodem. Wina, które podawano, pić nie chciałem.

— Smutne tam życie wiedziecie — powiedział jeden z oficerów. — Lepiejby było u nas.

— Jesteśmy do tego przyzwyczajeni, uważamy to za nieodłączne od stanu wojkowego — odrzekłem — i ufamy przyszłości.

— Przyszłości? Nie zapowiada się ona ponętnie — odparł. — Ale sądzę, że tylko wola Boska może o tem rozstrzygnąć.

Wśród tej rozmowy powrócił *senor Gobernador* i wręczył mi list do generała; zapytał następnie, czy jestem kapitanem, a usłyszawszy moją odpowiedź, że dopiero podporucznikiem, zawołał:

— Ach! mój Boże! Gdybyś zechciał przejść do nas, zostałbyś pułkownikiem!

Te słowa odjęły mi w pierwszej chwili mowę i dopiero po ochłonięciu byłem w stanie odpowiedzieć:

— A czy panowie oficerowie hiszpańscy chcieliby służyć ze zdrajcą?

Nie czekając na odpowiedź, poprosiłem o pozwolenie powrotu do obozu. Ale można sobie wystawić moje zdumienie, kiedy wyszedłszy z pokoju, w przedsionku zastałem mojego trębacza Jankowskiego, pijanego straszliwie, który oznajmił mi, że nie wraca ze mną, bo wstępuje do służby hiszpańskiej.

— Jaktó! — zawołałem. — Z całego pułku wybrano ciebie, żebyś mi towarzyszył, a ty chcesz na cały swój pułk ściągnąć taką hańbę? Dobrze, odejść. Zostań tu i patrz na to, jak zabijają twoich braci!

Jankowski wytrzeźwiał odrazu. Wyjął z kieszeni sakiewkę, w której było może 12 — 15 talarów, rzucił ją na ziemię i zawołał po polsku:

— Zabierzcie swoje Judaszowe pieniądze! Wracam z moim porucznikiem!...

Wśród najgłębszej ciszy przeszliśmy między licznie zebranymi Hiszpanami; na schodach zawiązano nam znowu oczy i wśród takich samych okrzyków, przekleństw, wrzasków, powróciliśmy przez most do przykopu. Po powrocie do obozu zdałem pułkownikowi sprawę z mojej misji i wręczyłem mu otrzymany list. Nazajutrz odesłano listy, rzeczy i pieniądze jeńców, a odbierali je adjutanci generała, mnie zaś pozostawiono na uboczu. Młody i niedoświadczony, a przytem trochę zarozumiały, odczułem to mocno i wynęrzyłem się z moich żalów przed jednym ze starszych kapitanów.

Ależ mój kochany — odrzekł mi na to — nie wyobrażaj sobie, że cię wybrano dla jakiegoś wyróżnienia! Wiesz dobrze jacy są Hiszpanie, jak postępują nieraz z parlamentarzami — pomimo całego trąbienia i dęcia strzelają do nich — a niekiedy zatrzymują ich jako jeńców. Jesteś młody, ambitny, mówisz po francusku, generałowie znają cię osobiście

i dlatego ciebie tam wyprawili. Czy tak samo myślą, jak ja, nie mogę twierdzić napewno, ale zdaje mi się to bardzo prawdopodobne.

Pomimo, że to objaśnienie zrobiło mi dotkliwą przykrość, w następstwie wpłynęło na mnie korzystnie i nauczyło mnie w późniejszym życiu zapatrywać się na wiele rzeczy z właściwego stanowiska.

Nasz pułk postradał w ciągu sierpnia jeszcze i kapitana Wyganowskiego, mego kolegę z Monzonu, który został zamordowany nieopodal obozu. Trochę idealista, zrażony był sposobem prowadzenia wojny i brał stronę biednych Hiszpanów, którzy jak utrzymywał — byli zupełnie w prawie bronić się i nam gdzie i kiedy się zdarzyło podrzynać gardła. Przytem cierpiał on na nostalgię, marzył dniem i nocą o pięknych brzegach Prosn i o doskonałym grzaniem piwie, które ludzie tam piją wieczorem przy kominku. Po różnych prośbach i pisaniach, na których zeszedł blisko rok, otrzymał łaskawe uwolnienie od służby w Morelli, gdzie stał w zamku z załogą 200 ludzi.

Jak tylko otrzymał dymisyę, zwierzył się przed jednym Hiszpanem z zamiaru opuszczenia kraju i chciał na drogę dostać paszport od Villacampy i Barsoncourta, którzy w tej okolicy dowodzili oddziałami z Aragonii i Walencji. Z przewodnikiem — hojnie zapłaconym — ułożył się, żeby go doprowadził do naszego obozu pod Tortosą, przebrał się za Hiszpana i dostał się szczęśliwie aż do naszych forpocz. Ale tu nieszczęśliwy padł od pugnału mordercy. Jak się to stało — nie wyjaśni się nigdy. Człowiek, któremu się powierzył, usprawiedliwił się później świadectwem napisanem własnoręcznie przez Wyganowskiego, że wypełnił swój obowiązek, jak przystało na uczciwego człowieka. Świadectwo wystawione było tego samego dnia, kiedy znaleziono ciało. Leżało ono niedaleko od drogi, pod drzewem

oliwnem, zupełnie obnażone, z dwiema głębokimi ranami w piersi i tak znalazł je patrol z naszego pułku.

XXII

Przewiezienie chorego generała Laval. — Pochód do Burceyte i zrabowanie miasta. — Atak Hiszpanów po powrocie. — Pułkownik Pascal. — Oblężenie i poddanie się Tortosy.

Wkrótce po wycieczce Hiszpanów, generał Laval zachorował tak ciężko, że obawiano się o jego życie. Postanowiono wyprawić go do Mora, gdzie była główna kwatera generała Sucheta. Moją kompanię, liczącą 160 ludzi, przeznaczono do eskorty, a prócz tego było jeszcze 30 ludzi do niesienia noszów.

Była to podróż uciążliwa i niebezpieczna. Aż do Jerty droga szła brzegiem Ebru, a miejscami skały tak blisko dochodziły do rzeki że pozostawała zaledwie przestrzeń niezbędna do przejścia. Hiszpanie w takich miejscach porobili szanice na drugim brzegu i ostrzeliwali ztamtąd drogę, skutkiem czego przejście w dzień było w najwyższym stopniu niebezpieczne, a nawet nocą trudne.

Minąwszy Jertę, wchodziło się w kraj górzysty niebezpieczny z powodu band powstańczych, przebiegających go we wszystkich kierunkach. Szczególnie słynne były wąwozy, w których napadano zawsze na oddziały idące z Tortosy. Jeden szczególnie nadawał się do tego. Z prawe, strony droga zwężała się pod wysokimi skałami, z lewej była głęboka, ziejąca przepaść. Nad nami wznosiła się góra stroma od strony Jerty, a łagodnie pochyła od strony Mory. Zarośnięta gęstym lasem i zasiana olbrzymimi głazami, przedstawiała doskonałe warunki do zasadzki, z czego umiały korzystać wałęsające się oddziały gerylasów. Dzikie góry, obfitujące

152

w ciasne przesmyki, zwiększały jeszcze grozę tej okolicy. Pomimo to udało się nam pod osłoną, nocy przebyć niepostrzeżenie kilka najgorszych miejsc nad brzegiem Ebro i tylko na główne siły oddziału padło czasem kilka strzałów. O świcie kolumna zbliżyła się do Jerty i weszła w góry. O 9 rano doszła do wyżej opisanego wąwozu. O ile można było sądzić, góra z lewej strony nie była zajęta

przez nieprzyjaciela. Ale zabrało to nam całą godzinę i naraziło na stratę czasu, zanim zrekonoskowaliśmy miejscowość i zaczęli wchodzić na górę. Wybrałem drogę krótszą. W jednym miejscu zatrzymałem się i wysłałem kilku ludzi w górę, nakazując im nie posuwać się za daleko, na widok nieprzyjaciela natychmiast strzelać, w końcu iść jako tylna straż za oddziałem. Następnie wyprawiłem 12 ludzi z dzielnym podoficerem i z rozkazem, żeby szli pojedynczo w odległości 10 — 12 kroków jeden za drugim przez wąwóz, a szparko, i u wyjścia zaczęli na oddział idący za nimi.

Kiedy pierwsi żołnierze weszli do wąwozu, ukazały się zaraz w zaroślach czerwone czapki Katalończyków ale nie padł ani jeden strzał. Dopiero kiedy 6 ludzi, idących pojedynczo, doszło do środka wąwozu, kilku Hiszpanów dało ognia, poczem zaraz pojawiła się masa gerylasów. Zdawało się, że sami nie wiedzą, co mają robić. Jednakże kiedy 50 — 60 kroków za podoficerem ukazał się oficer z 30 ludźmi w grupach po czterech i pięciu, zaczęły z góry sypać się gęste strzały. Ale ucichły, kiedy ostatni żołnierz minął to miejsce. Oficer, doszedłszy do wyjścia z wąwozu miał zawrócić, rozsypując się w tyralierkę, ku miejscu zajętemu przez nieprzyjaciela, do którego z tej strony dostęp był łatwy, jak wyżej powiedziano, ale 12 ludzi miał zostawić za sobą na straży przy wyjściu z wąwozu.

W tej samej chwili, kiedy po wyjściu z wąwozu odezwały się strzały tyralierów, wysłanych na

153

górze, jednocześnie ukazało się czoło głównej kolumny. 30 ludzi przebiegło pędem przez wąwóz, reszta została w tyle z generałem. Hiszpanie zadziwieni, sądzili zapewne, że są ze wszystkich stron otoczeni i po krótkiej kanonadzie cofnęli się, co umożliwiło reszcie oddziału przewieźć generała bez szkody przez to przejście w najwyższym stopniu niebezpieczne.

Gdyby nie wyparcie Hiszpanów z ich stanowiska za pomocą tego zarządzenia, można przypuszczać, że główne siły oddziału, idące zwolna za noszami generała, byłyby postradały mnóstwo ludzi od strzałów nieprzyjacielskich. Może i sam generał byłby padł ofiarą, co byłoby jeszcze wzmocniło buntowniczego ducha mieszkańców tych okolic.

Kiedy po jednodniowym odpoczynku szedłem z powrotem do Tortosy, zabrałem listy do naszej dywizji. W Jercie zastałem generała Roberta, stojącego tam ze 117 pułkiem, jeśli się nie mylę. Cały korpus oficerski zebrany był w ogrodzie z pułkownikiem, przy wieczerzy. Ponieważ każdy oficer z głównej kwatery był pożądanym zjawiskiem dla tych odosobnionych oddziałów, ja byłem podwójnie pożądanym, bo przyniosłem pułkowi — nic o tem nie wiedząc — masę dekoracyj, awansów, listów i t. d. Moi żołnierze byli też przedmiotem szczególnej uwagi, a mnie spotkało najserdeczniejsze powitanie dzięki rozgłosowi, jaki nadano małej, szczęśliwie stoczony potyczce i krążącym o niej wieściom.

W końcu sierpnia i w początkach września musieliśmy stawić czoło rozmaitym niebezpieczeństwom. Nasamprzód parę razy deszcz padał *a cantaras* jak mówią Hiszpanie — to jest jak z cebra. Cała Huerta zamieniła się w morze i gdyby te ulewy nie były ustały, byłibyśmy musieli przenieść obóz na góry. Ale znosiliśmy to cierpliwie i nawet cieszyliśmy się, bo źródła zaczęły nanowo wytryskać i cała natura odżyła.

154

Gorsza i nierównie dokuczliwsza od ulewy była napaść moskitów, która nastąpiła 21 września wieczorem. Wieczór był parny, wiatr wiał od morza i dla chłodu pootwieraliśmy drzwi i okna w barakach.

— Ależ te moskity tną dziś jak dyabły! — odezwał się jeden z kolegów.

I prawie w tej samej chwili przepełniło się niemi całe powietrze. Owady o czarnawych ciałkach zawisły — w dosłownym znaczeniu tego wyrazu na wysokość stopy od ziemi i tak gęstą chmurą, że niepodobna było oddychać. Otoczyły nas brzęcząc i nie dając chwili spokoju. Paliliśmy naboje, podpalali nawóz, ale to wszystko było niedostateczne, żeby nam zapewnić spokój na jeden moment. Wiadomo z historii, że Francuzi w 1653 odstąpili od oblężenia Granady dręczeni chmarami moskitów tak, że niepodobna było dłużej wytrzymać — i pewien jestem, że to samo stałoby się z nami, gdyby ta plaga potrwała dłużej. Ale 25-go wieczorem wiatr od północy rozproszył niepożądanych gości. Raz jeszcze potem — w górach — spotkaliśmy ich groźne roje.

Hiszpanie, po kilku usiłowaniach rozproszenia wojsk oblężniczych, pozostawiali nas w spokoju, rzucając tylko trochę bomb do naszego obozu. Największym błędem, ciągle przez nich popełnianym, było to, że staczali bitwy, w których zawsze nasze

mężne, zdolne, wyćwiczone wojska zadawały im klęski. Mina i Terena, jedyni z pośród hiszpańskich dowódców, umieli tego unikać, ograniczając się do podjazdowej wojny i dlatego mieli prawie stale powodzenie.

W końcu września na tyłach naszej armii wybuchnęło powstanie. Napadnięto na nasze oddziały, wymordowano jeńców, przestano dostawiać żywność. Ruch ten szerzył się groźnie. Powstańcy zajęli Teruel i Montalvan; pod Daroca i Calatayud pojawiły się liczne bandy i nawet w samej Saragossie ukazywały się oznaki wzburzenia i oporu.

155

Dnia 26 września z Alcaniz i z naszego obozu wyszło wojsko dla przywrócenia porządku. Z obozu pod Tortosą poszły cztery kompanie, w ich liczbie i moja. Po uciążliwym pochodzie — bez wystrzału — wyszliśmy na góry, ścigani tylko przez moskity i dotarliśmy do Berceyte — *la Ville Noire*. Postępowanie tamtejszych mieszkańców, okrucieństwa, jak je nazywali Francuzi, popełnione na jeńcach, zasługiwały na srogą karę, przed którą uciekli w góry, unosząc z sobą mienie swoje.

Gdyśmy weszli, śmiertelna cisza i pustka panowała w ten „Czarnem mieście”. Zostało ono przez nas gruntownie i metodycznie zrabowane i zniszczone. Oliwne drzewa wycięto i spalono, winne krzewy powyrywano, wszystko spustoszone.

O 9-j rano wyszliśmy z powrotem, a ja prowadziłem przednią straż. Mieliśmy iść przez niesłychanie niebezpieczny przesmyk, mający długości sto kroków, a prowadzący do wąwozu leżącego wśród poszarpanych skał.

Już podczas pochodu do Berceyte zastanawialiśmy się nad niebezpieczeństwem, jakie mogło przedstawiać to miejsce, gdyby było obsadzone przez garstkę odważnych ludzi, a stary sierżant, Wasilenko, powiedział wtedy do mnie:

— Panie poruczniku! jeżeli Hiszpanie nas tędy przepuścili, to chyba dlatego, że już w całej okolicy niema nikogo, kto by strzegł tego przejścia.

— Mój przyjacielu — odrzekłem — Hiszpanie zrobili tu to samo, co w San Mateo.

San Mateo był to ten opisany przezemnie wąwóz, który dywizya Lavalą musiała przebywać, idąc do Tortosy.

Ale w powrocie z Berceyte, zaledwie weszliśmy w ponury, wązki przesmyk, doniosły przednie strażę, że wyjście jest zatarasowane, a jednocześnie rozległy się strzały. Przyspieszyłem kroku, dobiegłem truchtem do barykady i kazałem ją rozruszać. Strzały

156

padały zrzadka, ale z góry zaczęto staczać kamienie. Na szczęście, zdołałem się sformować dla osłony wchodzącej kolumny. Ale gdy nadciągnęło już czoło kolumny, a ja chciałem posunąć się naprzód, że wszystkich stron sypnęły się strzały. Przednia straż cofnęła się, bo dużo miała rannych. Moi ludzie strzelili bez komendy; czoło kolumny zaczęło gwałtownie pchać się do wyjścia z wąwozu. Sześć kompanij zbiło się w jedną, skotłowaną masę. Prawie wszyscy oficerowie byli ranni. Pułkownikowi Pascalowi, dowódcy naszej kolumny, kula strzaskała ramię. Ale nawoływaniem i groźbami udało mu się wreszcie zebrać żołnierzy. Pod gradem kul gromiącym głosem wyrzucał swoim ludziom tchórzostwo.

— *Vilains conscrits!* — krzyczał. — Macie już tylko życie do stracenia, bo honor postradaliście, uciekając przed tymi zbójami! Tacy, jak wy tchórze nie warci żyć.

Wyjął pistolety — które od chwili, gdy mu zabito konia trzymał pod pachą — i zastrzelił dwóch mnichów, uwięzionych poprzedniego dnia, których prowadziliśmy z sobą.

— Dajcie się tu mordować i zabijać, ale kto dobry Francuz, niech idzie za mną! — zawołał na żołnierzy.

Z rozgłośnym okrzykiem *en avant* rzuciliśmy się na Walencyanów i sformowawszy się nanowo, zdołaliśmy po kilku natarciach wziąć nad nimi górę.

Polacy, idący z oddziałem, nie zrozumieli ani słowa z energicznej przemowy pułkownika Pascala, ale jego postępek tak im zaimponował, że bili się odważniej niż przedtem. Pascala, który był poprzednio komendantem w Jerta i został przysłany dla dowodzenia naszą wyprawą nie znano poprzednio, a mimo to nie chcieli go opuścić, kiedy mu kula zgruchotała szczękę. Nieśli go na karabinach przez góry blisko dwie mile, i dopiero kiedy zwolnił pościg

157

nieprzyjaciela, mogli zrobić nosze z gałęzi. Postępowanie pułkownika zjednało mu szacunek żołnierzy.

Postradaliśmy w tej utarczce nasze bagaże i zdobyte zapasy żywności. Pomimo dzikiego popłochu, mało mieliśmy poległych: moja kompania straciła tylko 7 ludzi.

W obozie dowiedzieliśmy się, że przez ten czas panował tam spokój; przypuszczano, że Hiszpanie musieli wysłać z twierdzy większą część załogi. Skutkiem tego my młodzi oficerowie tworzyliśmy różne projekty w jaki sposób naoznaby zaskoczyć nieprzyjaciela i zdobyć szzańce.

Bez żadnych ważniejszych wydarzeń upływały dni aż do połowy grudnia. Dopiero wtedy ukończono przygotowania do właściwego zdobycia Tortosy; ale mojemu pułkowi przypadło w udziale inne zadanie.

XXIII.

Przeprawa przez Ebro pod Jertą. — Ponawiane szturm. — Rozpoczęcie układów o poddanie twierdzy. — Zerwanie. — Energiczne zachowanie się jenerała Sucheta. — Chwiejne i niezdecydowane postępowanie hrabiego Alacha. — Poddanie się Tortosy, 2-go stycznia. — Przeprowadzenie jeńców do Francji. — Saragossa. — Pampeluna. — Bajonna.

Dnia 15-go grudnia 1810 r., o pierwszej w nocy, wyruszyliśmy z obozu, żeby przejść przez rzekę Ebro pod Jertą. Dobrze utrzymany łyżwowy most ułatwił nam pochód w czasie zimnej nocy; wojsko było wprawdzie mężnie usposobione, ale długa beczynność podczas blokady rozwinęła w niem pewną gnuśność, która jednak ustąpiła, jak tylko zaczęliśmy się gotować do rzeczywistego szturm. Po przejściu przez rzekę, wszedłszy na gościniec do Tortosy, usłyszeliśmy gęste strzały, ale nikt na to nie zważał. Okrążyliśmy wielkiem półkolem twierdzę

158

i około południa stanęliśmy na najwyższym punkcie gór Alba, nie dawszy ani jednego strzału. Ale zbliżywszy się do fortu Orleans, położonego na płaskowzgórzu, żeby ztamtąd spuścić się do doliny Ebro, zostaliśmy zasypani istnym gradem kul. Woltyżerowie rozrzucili się w tyralierkę, a pod osłoną ich łańcucha posuwał się pułk pojedynczemi oddziałami. W tej rozprawie kula armatnia urwała głowę jednemu z woltyżerów, temu samemu, który został wyróżniony przez generała Chłopickiego, kiedy mu kula urwała pompon i zrobiła dziurę w kaszkiecie. Szczęka jego została wyrzucona z taką siłą na 15 — 20 kroków, że drugiemu żołnierzowi z tej samej kompanii zdruzgotała obie nogi poniżej kolana. Kazałem zanieść nieszczęśliwego za wystającą skałę, żeby go choć trochę zasłonić od strzałów, ale musiałem go pozostawić na łasce losu i dopiero wieczorem dowiedziałem się od żołnierzy z innej kompanii, że go wkrótce potem zastali już nieżywego.

Wieczorem, o zmroku, weszliśmy na tę równinę nad Ebrem, na którą przez sześć miesięcy spoglądaliśmy z utęsknieniem. Po krótkiej utarczce udało nam się odepchnąć Hiszpanów i opanować całą równinę aż do rzeki. Gdy zupełnie ściemniało, mogliśmy podsunąć się bliżej pod samo miasto. Sprawność naszych ludzi ułatwiała nam to bardzo, bo można było liczyć napewno, że zawsze zrobią to, co potrzeba, nawet bez rozkazu. Kiedy obchodziłem posterunki, zbliżył się do mnie sierżant Dachowicz, donosząc, że podsunął się pod sam stok nieprzyjacielskich szańców, nie spotkawszy Hiszpanów. Dla sprawdzenia tej wiadomości kazałem się zaprowadzić na to miejsce i przekonałem się, że Hiszpanie rzeczywiście cofnęli się na oszańcowany gościniec. Doszedłem wzdłuż wałów aż do rzeki i powróciłem tą samą drogą do moich ludzi. Tam usłyszałem, że mnie ktoś woła po nazwisku. Był

159

to generał Chłopicki, którego nie widziałem jeszcze po powrocie ze zwyciężkiej wyprawy do Aragonii. Zapytał mnie, jak stoją sprawy, poprowadziłem go więc tą samą drogą, którą przyszedłem, do swoich. Generał rozkazał mi porozstawiać strażę jaknajbliżej szanca nieprzyjacielskiego i obiecał przyjść znowu. Przybył wkrótce z generałem Rogniatem i poszedłem wraz z nimi trzeci raz tą samą drogą. Nie zmienili nic w moich rozporządzeniach, polecili mi tylko pozostać na noc na tem samem miejscu, a rano dopiero postąpić stosownie do okoliczności. Od strony gór wiał mroźny wicher, ognia nie można było rozpalić, żywności było mało, a długi, męczący pochód wyczerpał nasze siły. Od 24 godzin byliśmy ciągle w ruchu i tylko zahartowaniu naszych ludzi zawdzięczaliśmy to, że znosili wesoło ciężar takiej służby. Nieprzyjaciel zachowywał się spokojnie i dopiero nad ranem pokazały się od strony oszańcowanego gościnnca patrole, które jednak zaraz się cofnęły. Skorzystaliśmy z przerwy w strzelaniu, żeby się cofnąć na bezpieczniejszą pozycję i na niej się ustawić. Nadszedł pułkownik Kąsinowski i pochwalił wszystkie rozporządzenia. Wkrótce potem zostaliśmy zluzowani i zajęliśmy miejsce pozostawione dla nas w obozie. Staliśmy tam pod ogniem nieprzyjaciela i kule niepokoiły nas ciągle. 17-go poszedłem na wartę i zadziwiłem się, zastawszy nasze posterunki cofnięte w tył; kto i dlaczego to zrobił, nie mogłem się dowiedzieć. Na posterunku tego dnia nie było tak spokojnie jak przedtem. Byliśmy ciągle niepokojeni i ogień trwał z małemi przerwami przez całą noc. Dopiero nad ranem osłabł i luzujący nas oddział przybył do nas bez przeszkody. Po powrocie do obozu zastaliśmy jeden z naszych baraków zburzony doszczętnie przez bombę, u drugiego wyrzuconą jedną ścianę. 20 maja kompania została posłana dla osłony robotników pracujących w przykopach. Na pozycyi, gdzieśmy

160

zebrali się, dwadzieścia kompanii grenadierów i woltyżerów, panował zamęt jak przy wieży Babel: gwałtowny wiatr i egipskie ciemności przeszkadzały zaprowadzeniu jakiegokolwiek porządku. Nie wiem kto wydał dowódcy 2-ej kompanii 2-go nadwiślańskiego pułku u rozkaz: „*de suvre l'Ebro et d'étendre la compagnie à peu près 80 pas le long du glacis, de protéger les travailleurs et de maintenir la communication avec la 1 compagnie des voltigeurs du régiment*“. Ruszyłem naprzód i doszedłszy wkrótce do rzeki, spełniłem dane mi instrukcje. Znając dobrze miejscowość, udało mi się to wykonać bez trudności. Ale gdym się zawrócił na prawo, zostałem przyjęty strzałami, a z twierdzy padło kilka kartaczów, co mnie przekonało, że po za obrębem twierdzy niema Hiszpanów. Stałem spokojnie, ustawiwszy swoich ludzi według rozkazu, sam na prawem, skrzydle pilnie bacząc na połączenie się z sąsiednią kompanią, co mi się w końcu udało. Przepędziliśmy noc stojąc, leżąc, czołgając się po ziemi. Było bardzo zimno: mroźny wiatr podnosił duże fale na rzece, a gdy zaczęło świtać cofnęliśmy się do przykopów, które już teraz mogły stanowić dla nas osłonę.

Kiedy nieprzyjaciel zobaczył o świcie nasze roboty, które przybliżyły się na 220 — 230 kroków, zaczął gwałtownie strzelać ze wszystkich dział i próbował zrobić wycieczkę, ale został odparty, zanim doszedł do naszych szańców. Po cofnięciu się Hiszpanów zobaczyłem nadchodzącego ze smutną miną porucznika grenadyerów Żórawskiego.

— No i cóż ty na to? — zapytał.

— Na co? — odpowiedziałem.

— Na wiadomość o śmierci Żarskiego?

— Co! — zawołałem przerażony — Żarski nie żyje!

— Nie żyje. Kula zgruchotała mu obie nogi w bitwie pod Fuente-Santa, blisko Villelu, 12-go listopada — i umarł zaraz.

161

Skutkiem zmęczenia, wysiłku, grożącego niebezpieczeństwa, w pierwszej chwili nie odczułem tak żywo bólu z powodu tej straty, ale po powrocie do obozu ogarnął mnie tak wielki żal, że nie mogłem nad nim zapanować. Przypomniałem sobie ostatni pobyt razem w Teruelu, jak się spełniła straszna przepowiednia starego kapitana Razowskiego, jak mój przyjaciel przybiegł z Alventosy na mój ratunek, jak wzruszające było nasze spotkanie. Nigdy już nie kochałem nikogo tak jak, Żarskiego, nie znałem nigdy szlachetniejszego, bardziej do poświęceń gotowego człowieka, jak on. Pięćdziesiąt blisko lat, jak straciłem tego przyjaciela, a jeszcze stoi wyraźnie przed memi oczyma jego szlachetne, szczere oblicze. Jak niewiele brakowało, żebyśmy spoczęli w jednym grobie!

Oblężenie żwawo posuwało się naprzód. Hiszpanie robili częste wycieczki, odpierane przez nas bez wielkich strat. Między oficerami, prowadzącymi roboty oblężnicze, wyróżniał się pułkownik inżynierii Henry. Z gołą głową, trzymając pod pachą złożony nakształt szapoklaka kapelusza, w szarym surducie, włożonym na mundur, uwijał się, wydawał rozkazy i rozporządzenia,

niezmordowanie czynny i zawsze w dobrym humorze. Kilka polskich wyrazów, jakie miał zwyczaj mówić naszym żołnierzom, zjednały mu ich serca.

Wielkie usługi oddawały nam worki napełnione piaskiem, które poustawialiśmy na naszych szańcach. Porobiliśmy między nimi strzelnice i obsadziliśmy je dobrymi strzelcami. Utrzymywali oni ciągły i skuteczny ogień i dokuczali nieprzyjacielowi, tak, że z obawą obsługiwał swoje działa. Jak tylko Hiszpanie zaczęli się ruszać w bateriach, grad pocisków sywał się na nich. Wkrótce drewniane zasłony strzelnic na całym froncie podziurawione były przez kule armatnie. Ale ogień hiszpańskiej artylerii stopniowo stawał się coraz słabszym,

162

a piechota nie robiła ze swojej strony nic, żeby podtrzymać równowagę w utarczkach.

26-go Hiszpanie zrobili nową wycieczkę do przykopów, lecz odparł ją 44-ty pułk. My nie wzięliśmy udziału w bitwie. Ale postradaliśmy sporo ludzi od strzałów armatnich, które dochodziły do obozu. W pobliżu obozu, w domku, w którym generał Chłopichi miał kwatery, kula armatnia rozbiła pokój, który zajmował. Gdyby nie to, że był w tej chwili w przykopach, on, który zawsze narażał się na niebezpieczeństwo, byłby mógł znaleźć śmierć w łóżku lub przy stole.

Noc z 26-go na 27 grudnia była jedną z najniespokojniejszych przez cały czas oblężenia. Kiedy nasi saperzy zbliżyli się do oszańcowanej drogi, nieprzyjaciel obsypał ich granatami. Byliśmy tak blisko, że żołnierze obu armii mogli sobie wzajemnie wymyślać szyderczymi żartami.

— Macie drewniane armaty! — wołali do nas Hiszpanie.

— Może pożyczycie sobie armat od don Enrique'a O'Donella, żeby do nas strzelać? — dodawali inni.

W końcu zawiązało się między nimi a Francuzami coś nakształt znajomości, prowadzącej do pauz w boju i przerywania strzałów. Ale Hiszpanie nie przedłużali zbytnio tych improwizowanych zawieszek broni: dawali zniemacka ognia do oficerów i żołnierzy, którzy nieuważnie wystawili się na ich strzały i wielu w ten sposób poranili. Walka potem rozpoczynała się na nowo: Hiszpanie, rzucając się naprzód, spędzili robotników i zaczęli nawet burzyć szańce, ale nadbiegłe z pośpiechem rezerwy przeszkodziły temu. Kiedy zaświtał dzień, Hiszpanie rozpoczęli tak gwałtowną kanonadę, że trzeba było odstąpić od robót i pościągać ludzi. Poprzestaliśmy na tem, że z drugiej paraleli nasza piechota tak silnie ostrzeliwała nieprzyjaciela, iż zmusiła do milczenia jego artylerję. Marnowano bardzo amunicję, a oficerowie nie byli w stanie tego

163

powstrzymać. Żołnierze znajdowali przyjemność w toczeniu walki z artylerją za pomocą karabinów i dzięki ich ciąglemu i celnemu strzelaniu, pomimo że nie mieliśmy ani jednej armaty, mogliśmy siódmego dnia opanować oszańcowany gościniec. Moja kompania w ciągu 24 godzin miała mnóstwo ranionych, ale dziwnym sposobem nie od kul, tylko odłamkami koszów, odrywanymi przez armatnie kule, albo odpryskami kamieni i granatów, które zasypywały nasze stanowiska. I mnie podczas rozmowy z oficerem inżynierij granat, rzucony z oszańcowanego gościńca, spadł na lewe ramię, ale szlifa ochroniła mnie od większego uszkodzenia i osłabiła siłę pocisku. W wydanym nazajutrz rozkazie dziennym zabroniono surowo rozmów i znajomości z nieprzyjacielem, prawdopodobnie skutkiem zdarzeń poprzednich dni.

27-go po południu Hiszpanie zrobili wycieczkę. Rzucili się na nasze roboty, zabili oficera i kilku żołnierzy, i dotarli aż do drugiej paraleli. Ale kiedy zaczęli rozrzucać porobione szańce, nadbiegli grenadyerzy z 44-go francuskiego i 2-go polskiego pułku, wyrzucili Hiszpanów z przykopów i ścigali ich aż do pikiety. Porucznicy Lasocki i Żórawski odznaczyli się w tej wyprawie. Żórawski dostał silne uderzenie kolbą od grenadyera hiszpańskiego i kula przeszła mu bermycę w chwili, kiedy chwycił oficera hiszpańskiego, uciekającego na oszańcowany gościniec.

Następne dni były również niespokojne. 29-go rano baterie nasze (45 dział) rozpoczęły ogień na całej linii. Wielu oficerów przyszło z obozu, żeby być świadkami rozpoczęcia tego ognia. 30-go armatnia kula rozdarła sztandar powiewający na starym zamku (*Castillo viejo*), co przez naszych powitane zostało radosnymi okrzykami, a kanonierom przyniosło dwadzieścia napoleonów wynagrodzenia.

Miałem tego dnia sposobność podziwiania zimnej krwi generała Chłopickiego. Przyszedł on na

164

miejsce, gdzie stała moja kompania. Mgła zaczęła się rozchodzić i ukazał się szczyt wieży kościelnej, kiedy padła kula armatnia w nasze szańce i rozruciła karabiny oparte o parapet. Dzielny żołnierz, Dabka, został śmiertelnie raniony. Kiedy generał powiedział mu parę serdecznych wyrazów, ranny zawołał:

— Ach, Boże! co tam na mnie zależy! Niech tylko Bóg osłania pana generała swoją opieką!

I skonał. Drugiemu żołnierzowi kula karabinową strzaskała obie nogi.

Żołnierze zaczęli objawiać niepokój, generał wziął od jednego z nich karabin, wystrzelił — potem zrobił to samo z drugim, trzecim, czwartym żołnierzem i odszedł — nie powiedziawszy ani słowa — do robotników pracujących przy szańcach.

— To prawdziwy żołnierz! — mówili wołyżerowie.

— Dlatego też jest generałem i dowodzi takimi zuchami, jak ty! — dodał jeden wołyżer, klepiąc po ramieniu żołnierza, który od czasu bitwy pod Calatayud nie cieszył się opinią odważnego.

Uwaga ta wywołała wybuch śmiechu.

Generał Suchet coraz energiczniej nacierał na oblężonych. Byliśmy zawsze dwie noce na służbie, a tylko jedną mieliśmy wolną. W nocy z 31 grudnia na 1-y stycznia trzymałem straż w przykopie, kiedy koło 10-ej ukazała się w twierdzy biała chorągiew i wnet potem przyprowadzono do naszych szańców dwóch parlamentarzystów, idących do głównej kwatery. Jeden z nich był mały, gruby, niepozorny, na głowie miał okrągły kapelusz z czerwoną kokardą, brunatną kurtkę, takie same spodnie, niebieskie pończochy, a przy kołnierzu pułkownikowskie galony. Drugi miał wygląd więcej wojskowy, ale nie tak znów bardzo, żeby nam dać wysokie wyobrażenie o postawie załogi. Ogień ustał na całej linii, ale roboty oblężnicze były prowadzone bez przerwy. W tem nagle, czy to skutkiem

165

niezaprzestania robót przez nas, czy z innych powodów, Hiszpanie zaczęli strzelać do baterii, przy której był generał Chłopicki. Nie namyślając się, wskoczył on na parapet i krzyknął, grożąc im laseczką trzymaną w rękę;

— *Carajos demonios!* Jeżeli nie przestaniecie strzelać, każę was wszystkich powywieszać.

Hiszpański ogień ucichł, jak na komendę.

Układy, przerywane częstym porozumiewaniem się z fortecą, trwały do późnego wieczora, ale że strony nie mogły się porozumieć co do warunków, walka rozpoczęła się nanowo.

Nowe baterie rozwinęły bardzo skuteczny ogień; nazajutrz do południa zrobiono dwa wylomy i założono miny. Wojsko zostało ustawione w szyku bojowym, gotowe ruszyć do szturmów za danym znakiem. Nagle ukazały się w twierdzy trzy białe chorągwie, ale tym razem nie przerwaliśmy strzelania, i dopiero kiedy nasze wojsko stanęło w jednej z bram, generał Suchet rozpoczął nowe rokowania pod warunkiem, że załoga francuska zajmie natychmiast jeden z fortów, a gdy posłowie ociągali się, wymawiając się nieposłuszeństwem żołnierzy, *général en chef* z całym sztabem, pod osłoną jednej tylko kompanii grenadierów 116 pułku, udał się pod zamek, oznajmił strażom o zaprzestaniu kroków nieprzyjacielskich i rozkazał hiszpańskiemu oficerowi zaprowadzić się do komendanta, generała hrabiego de Alacha; komendant ustnie zgodził się na wszystko, ale lękając się załogi, która stała pod bronią i nie wydawała się wcale usposobioną do poddania się, zwlekał z podpisaniem kapitulacji *à discretion*. Jednakże kiedy nadszedł generał Habert na czele swoich wojsk, komendantowi nie pozostawało już nic innego do uczynienia. Generał Suchet w tejsze chwili przybrał ostrzejszy ton; przypomniał brak dobrej wiary w układach poprzedniego dnia, wskazał na kolumny gotowe do szturmów i rzucił na komendanta odpowiedzialność

166

za wszelkie następstwa, jakie wynikną z jego oporu. Jednocześnie starsi żołnierze wdarli się do wylomów, a komendant stracił do reszty głowę. Zamiast posłać oficera do magazynu i nakazać mu wysadzenie go w powietrze, jeżeli Francuzi nie ustąpią natychmiast z fortu próbował jeszcze układów. Pod dowództwem tak słabego komendanta zapomnieli Hiszpanie o uroczystej przysiędze złożonej przez załogę 3-go sierpnia na szpadę O'Donnella: *zwyciężyć albo umrzeć!*

Ułożono naprędce warunki kapitulacji i podpisano ją na lawecie od armaty. Komendant oddawał twierdzę d. 2 stycznia 1811 r. bez żadnych zastrzeżeń; oficerowie mieli prawo zachować szpady, cała załoga bagaże, a wszyscy, jako jeńcy wojenni, mieli być odstawieni do Francji.

Tak haniebnie skończyła się dla Hiszpanów walka, prowadzona od 4-go lipca 1810. Około 9,000 jeńców, 180 dział i mnóstwo wojennego materiału wpadło w nasze ręce. Zdobycie Tortosy wyzwoliło generała Sucheta z nieprzyjemnego położenia i dało mu na teatrze wojny przewagę z której potrafił skorzystać rozumnie i trafnie.

Załoga Tortosy po kapitulacji opuściła twierdzę i przedelfilowała przed głównodowodzącym, poczem została skierowana w stronę Jerty.

Nasza brygada otrzymała rozkaz odstawienia jeńców do Saragossy. Pośpiech, z jakim musieliśmy wyruszyć w pochód, miał następstwa nieprzyjemne, szczególnie dla biednych Hiszpanów. Ponieważ wyszliśmy późno z Tortosy, a nasz pochód nie był odpowiednio uregulowany, doszliśmy bardzo późno do Jerty.

Przy wyjściu z Tortosy otrzymaliśmy rozkaz najsurowszego baczenia na jeńców, strzelania do każdego, ktoby usiłował uciec, lub nie mógł podążyć z kolumną.

Strzały, które słychać było od czasu do czasu, a które z nastaniem zmierzchu stały się coraz

167

gęstsze, nie pozostawiały żadnej wątpliwości, że surowy rozkaz spełniano, może nawet zanadto gorliwie. Generał Chłopicki, dowodzący brygadą, posłał adjutanta dla zobaczenia, co się dzieje, i polecił mu przedsięwziąć środki odpowiednie.

Moja kompania dostała rozkaz zatrzymania się, przepuszczenia ostatniej kolumny i pójścia w tylnej straży. Prócz tego adjutant, kapitan Mühlberg, nakazał mi zapobiegać wszelkim okrucieństwom. Miałem skutkiem tego niemało do roboty, bo co chwila musiałem przystawać i pomagać zmęczonym do dalszego pochodu, a że wielu z nich chciało korzystać ze sposobności do ucieczki, wydałem rozkaz, żeby jedni drugich podtrzymywali w marszu, i oznajmiłem, że cały oddział będzie wzajemnie odpowiadał za siebie, a do nadzoru nad każdym takim oddziałem nazaczyłem dobrych i cierpliwych ludzi. Pomimo to niejedni jeńcy pozostali w drodze, ale miałem przynajmniej to uspokajające uczucie, że uczyniłem, co było można, żeby zapobiedz niepotrzebnemu rozlewowi krwi.

Położenie naszego obozu pozostawiało dużo do życzenia. W głównej kwaterze spostrzeżono, że pośpiech był zagwałtowny i otrzymaliśmy rozkaz po przejściu przez Ebro zatrzymać się w Jerta przez cały dzień.

5-go stycznia poszliśmy do Pinell, a w drodze przechodziliśmy słynny wąz *las armas*, tak nazwany z powodu herbów wykutych tam wysoko na ścianie pionowo wznoszącej się skały. Jeńcy objaśnili nas, że to na pamiątkę króla Aragonii Jayme — zwanego Zdobywcą — który, wracając z wyprawy przeciwko Maurom w Walencji, zachorował i umarł w tym wąwozie, wykuto jego herb na tym najwyższym punkcie w całej okolicy.

Nabraliśmy już pewnej wprawy w przeprowadzaniu jeńców. Porozdzielaliśmy ich na oddziały ponumerowane, oddzieliśmy oficerów od żołnierzy i w tym chaotycznym tłumie zaprowadziliśmy porządek.

168

Przy pierwszej kolumnie szli furyerzy, oglądali miejscowość, robili porządek, porozumiewali się z władzami i t. p. i przygotowywali dla nas pomieszczenie, a gdzie się dało, żywność i drzewo — tak, że zaraz po przybyciu transportu, można go było rozmieszczać.

W Gandesa i Batea stali Neapolitańczycy, którzy przyjęli nas bardzo przyjaźnie

Oficerowie zapraszali nas na obiady, pili nad miarę, a na zakończenie grali z nami w karty i w kości, i kiedy kilku oficerów wygrało znaczne sumy, większa część naszych zgrała się do ostatka. Neapolitańczycy, tak w Gandesie, jak w Batei objęli w naszym

zastępstwie służbę przy jeńcach, a przy wymarszu okazało się, że brakuje mnóstwo ludzi. Rozeszła się — słusznie, czy niesłusznie — pogłoska, że poczciwi Neapolitańczycy za pieniądze i dobre słowo ułatwili im ucieczkę.

Suchet pisze w swoich Pamiętnikach:

„*Cette troupe composée de beaux hommes, mais mal armés et mal habillés, avait été gatée par un mélange de vagabonds et de gens condamnés ou repris de justice, qu'ony avait imprudemment incorporés*“.

Słowa te dowodzą, że nasze podejrzenia były uzasadnione, ale zapóźno już było, ażeby zło naprawić.

Szliśmy doskonałym gościńcem, który Suchet kazał zbudować dla przewozu żywności i materiału wojennego z Megnineuza do Jerty. Dzieło to, niezależnie od natychmiastowego użytku, stało się prawdziwym i trwałym dobrodziejstwem dla kraju i pamiątką po jenerale Suchecie.

Dnia 8 stycznia byliśmy w Caspe. Położenie zmieniło się zupełnie. Handel ożywił się, mieszkańcy powrócili do swoich zajęć; odwiedziłem tam mojego dawnego gospodarza i jego żonę, którzy nie poznali w ogorzalym dowódcy wyborowej kompanii, prowadzącej kolumnę 600 jeńców, ozdobionym krzyżem Legii Honorowej — młodego oficera, który przed

169

dwoma laty stał u nich na kwaterze. Czcigodny mąż zrobił się teraz wielkim przyjacielem *senores franceses*, którym zawdzięczał znaczne zyski.

W Saragossie, dokąd przyszlśmy 11-go, ślady walki ulicznej nie mogły się zatrzeć tak prędko.

Saragossa wogóle zachowała wygląd oblężonego miasta. Liczne posterunki wojskowe, patrole, szańce w najważniejszych punktach miasta, armaty ustawione w zamku Aljaferia przypominały, że nie można ufać pozornemu spokojowi. Pomimo, że byłem kilka razy w tym zamku, nie mogłem nigdy obejrzeć lochów Inkwizycyi, która tam miała swoją siedzibę. Oficerowie, którzy je zwiedzali, upewnili mnie, że niema w nich nic osobliwego. Jeden z nich powiedział: „*qu'elles ressemblent à nos cuchots*”. Sala zwana *Audencia*, gdzie przesłuchiowano oskarżonych, miała ściany obite czarno z białym obrzeżeniem; w głębi po za estradą inkwizytorów wielki krzyż czarny, a na nim krucyfiks i trupia głowa. Odźwierny zebrał ładny zbiorek narzędzi, służących do tortur, a znalezionych w podziemiach zamku, i pokazywał je „dla pobudzenia ciekawości amatorów”, jak się wyraził jeden z moich kolegów.

Pewnego dnia zaczął mnie w sklepie stary Hiszpan, prowadzący pod rękę równie starą Hiszpankę i przedstawił mi się; nie poznałem go zrazu i dopiero na zapytanie, z kim mam zaszczyt mówić, dowiedziałem się, że to były komendant Tortozy, hrabia de Alacha. Opowiedział mi, że podpisał kapitulację tylko zmuszony koniecznością, a teraz zapalone głowy nazywają go zdrajcą.

— A pan, co o tem sądzisz? — zagadnęła mnie seniora Governadora.

— Żli ludzie nie dadzą się nigdy przekonać, więc po co się usprawiedliwiać? — odpowiedziałem, a moja odpowiedź bardzo się jej podobała. Zaczęła mi opowiadać, że jej mąż jest głęboko dotknięty, że to człowiek najspokojniejszy w świecie, ale

170

że od czasu kapitulacyi ziomkowie okazują, mu niepojętą nienawiść.

Nasz pierwszy postój za Saragossą wypadł w Alagonie, który we mnie obudził przykre wspomnienia; przyszlśmy tam 27 stycznia. Miasto było nie do poznania zmienione: znać w niem było spokój i zamożność. Mieszkańcy popowracali do pracy, a znaczne sumy, jakie skutkiem ciągłego przemarszu wojsk pozostawały w mieście, wpłynęły na ich dobrobyt.

Umieściwszy więźniów, poszedłem odwiedzić dom, w którym zachorowałem, i ten, w którym mieszkał poczciwy Bruno. Ztamtąd pośpieszyłem obejrzeć szpital klasztorny. Budynek ten, w którym pomieszczono teraz jeńców, choć zawsze dość brudny, nie miał już tej grozy, co poprzednio. Przez lasek oliwny poszedłem na cmentarz: nie było tam już żartobliwego grabarza, ale wielkie mogiły, usypane od tej pory, świadczyły wyraźnie o tem, że jego życzenia spełniły się zupełnie. Ogarnęły mnie dawne wspomnienia, i stanął mi przed oczami ten dzień, kiedy po raz pierwszy tu przyszedłem. Przeżyłem tyle od tej pory, postradałem tyle drogich przyjaciół, tyle razy groziła mi śmierć, a Bóg opiekował się mną tak cudownie wśród tylu niebezpieczeństw.

Oczy moje napełniły się łzami, gdy powróciłem

do miasta o zachodzie słońca. Na drodze był kościół, do którego wstąpiłem. Pusto było, tylko stary ksiądz klęczał w bocznej kaplicy przy otwartej trumnie. W trumnie leżało ciało młodziutkiej zakonnicy; była w wieku Inezy i miała ten sam habit *Compania di Maria*. Ostatni promień słońca, padając na bladą twarzyczkę, nadał jej przez chwilę pozór życia. Ogarnięty niewymownem wzruszeniem, wysunąłem się z kaplicy i padłszy na kolana przed wielkim ołtarzem, zacząłem się modlić tak gorąco, jak nigdy przedtem w życiu. Ksiądz zauważył mnie widocznie, bo spotkałem go przy

171

drzwiach kościelnych; odpowiedział przyjaźnie na moje pozdrowienie i pobłogosławił mnie. Mam nadzieję, że Bóg mu przebaczył błogosławieństwo udzielone heretykowi.

Następnego rana wyszlśmy wcześniej do Mallen, gdzie nas przyjął serdecznie oficer z naszej legii, pełniący tu obowiązki komendanta, i zaopiekował się o ile mógł jeńcami, z których wielu umierało na dysenterję.

Przez Tudelę i Caproso prowadził nas pochód. W Tudeli jeńcy znaleźli pomieszczenie w klasztorach i kościołach. Jenerał Pannetier, który tam miał dowództwo, kazał nam przedefilować przez most na Ebro, pochwalił porządek w naszych szeregach, a potem już więcej o nas się nie zatroszczył.

Caproso było ufortyfikowane i mocno obsadzone wojskiem, i mogło stawić czoło nawet silnemu przeciwnikowi. Było to konieczne wobec przedsiębiorczości Miny. O milę od miasta wytryska piękne źródło, którego czysta jak kryształ woda, ujęta w kamienne koryto 20 stóp długie, odświeża całą tę okolice. Różne wieści krążyły o tem źródle. To zdaje się nie ulegać wątpliwości, że padła pewna liczba koni, napojonych jego wodą. Mówiono, że Hiszpanie kilka razy zatruli źródło, przy którym zwykle wojsko stawało na wypoczynek.

Przechodząc pod Caproso rzekę Aragon po pięknym kamiennym moście, ochotnicy aragońscy płakali:

— Niech woda rzeki zanieś nasze ostatnie pożegnanie ojczyźnie, niech Ebro zabierze nasze żale! — wołali. — Nie zobaczymy już nigdy tych stron: *jamás! jamás!* — powtarzali wśród łkania.

W Tafalli mieszkańcy nie okazywali jeńcom wielkiej sympatii. Żywności dostawiono nam skąpo. Zamek — dawna rezydencya królów Nawary — był ufortyfikowany i obsadzony przez mocną załogę. Zastaliśmy tam zapasowy batalion naszej legii, którego część została włączona do naszego pułku.

Pampeluna, do której przybyliśmy 22-go, pozostała czysto hiszpańskim miastem, a mieszkańcy jej stanowili rażące przeciwieństwo z Francuzami, którzy osiedlili się tam nanowo i prowadzili handel różnymi przedmiotami. Od francuskich wspaniałych sklepów odbijały skromne hiszpańskie, ale jednak te hiszpańskie winiarnie i szynkownie, w których wszystko było tańsze, więcej były uczęszczane, niż francuskie.

Pod względem wojskowym wszystko w mieście było *au qui vive*. Cytadela otoczona palisadami i zaopatrzona w żywność. Miasto także uzbrojone. Bliskość Miny przynosiła wszystkim, jak zgorza, przejmując trwogą i tłumiąc wszelkie życie. Słynna jego proklamacja *del campo de honor* wydana 11-go września 1811 — była już wprowadzona w czyn, zanim jeszcze urzędownie doszła do wiadomości władz francuskich.

Artykuł I proklamacji oznajmiał, że: „*Nawara wypowiada wojnę na śmierć, bez pardonu, wszystkim francuskim oficerom, żołnierzom i samemu cesarzowi.*

II. *Każdy oficer lub żołnierz ujęty z bronią, czy bez broni, w bitwie, czy w polu, zostanie powieszony w mundurze, na gościńcu.*

III. *Kto ośmieli się krytykować niniejsze rozporządzenie, zostanie rozstrzelany.*

IV. *Kto ośmieli się wziąć stronę skazanego, zostanie ukarany okuciem w kajdany na lat ośm.*

V. *Miasto Pampeluna zostaje ogłoszone za będące w stanie oblężenia.*

VI. *Nikomiu bez różnicy stanu, płci i wieku nie wolno podejść do Pampeluny bliżej, niż na ćwierć mili.*

VII. *Rozporządzenie to ma być odczytywane w kościołach co dwa tygodnie. Ktoby się temu sprzeciwił, ksiądz, sędzia lub notaryusz, zostanie w ciągu 24-ch godzin oddany pod sąd wojenny.*

Można sobie wyobrazić, ile cierpiał kraj i mieszkańcy wobec takiego teroryzmu. W Walencji, w 1808 roku, biedny ptasznik wypowiedział wojnę

na śmierć cesarzowi Napoleonowi i wywołał powstanie. Tu — uczynił toż samo pasterz. Później o władzę ksiądz i jednej nocy kazał wymordować 200 Francuzów i *afrancesados*, dopóki go nie uprzętnęli inni. Rozumniejszy Mina potrafił do końca wojny, a nawet i później utrzymać swoją władzę i zdobyte godności.

Przebywszy cały dzień w Pampelunie, poszliśmy drogą na Tolozę do Fuentarrabii, dawnej granicy hiszpańskiej i 28-go stycznia przybyliśmy do St. Jean de Luz, pierwszego etapu francuskiego. Główny gościniec zajęty był przez wojsko, a my szliśmy bocznymi drogami, uciążliwymi w najwyższym stopniu, ale dostępnymi dla lżejszych wozów. Biedni jeńcy ucierpieli straszliwie w tym pochodzie. Zimno, niemożność zabezpieczenia ich od niepogody przez dobre pomieszczenie i ograniczona ilość pożywienia, wywarły bardzo zły wpływ na ich zdrowie. Czas był wielki, żeby się dostali do Francji, gdzie mogli mieć więcej wolności i wygody. 29-go doszliśmy do Bajonny, gdzie oddaliśmy ich gubernatorowi, generałowi du Quesne, który zajął się mmi troskliwie. Większa część jeńców pożegnała się z nami serdecznie. Czyniliśmy wszystko, co było w naszej mocy, żeby ulżyć ich doli, choćby tylko słowem i okazaniem współczucia, jakie się należy od bliźniego człowiekowi w nieszczęściu. Hiszpanie witali nas zawsze z radością, gdyśmy wyruszyli w pochod po dniówce, w czasie której byli pod strażą innych wojsk, swoją wdzięczność przenieśli na całe nasze wojsko i nieraz słyszałem, jak mówili do siebie: *que buena gente los Polacos!* (jacy dobrzy ludzie ci polacy!).

Była to najlepsza nagroda za ten pełen trudów pochod, którego zakończenie powitaliśmy, z radością.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

SPIS RZECZY

| | Str. |
|---|------|
| Przedmowa | 5 |
| W HISZPANII | |
| I. Dziecinne lata. — Szkoły. — Pogrzeb Kanta. — Królowa pruska w Memlu (1807). — Marszałek Davoust. — Blücher i Schill. — Zostaję podporucznikiem w Legii Nadwiślańskiej (1808). — Pochód do Francji. — Sedan. — Arcis sur-Aube. — Wspomnienia Dantona. — Bordeaux i dom Montaigna. — Bajonna. — Kąpiele Napoleona w Biarritz. — Wejście do Hiszpanii. | 13 |
| II. Złowogi wygląd kraju. — Dniówka w Zubiri: rozmowa po łacinie z don Juanem de la Torre. — Przybycie do Pampeluny. — Cytadela i kule śniegowe. — Drugi pułk Nadwiślański. — Zwycięstwo marszałka Lannes pod Tudelą. — Upadek ducha w Saragossie. — Dwukrotnie odkładany atak do miasta. — Powody tego opóźnienia i jego nieszczęśliwe następstwa. — Szpital w Alagonie. — Powrót do działań zaczepnych. — Bitwa d. 21-go grudnia: <i>le gouffre de la mort</i> . — Pierwsze dni oblężenia | 23 |
| III. Wyprawa do Alagonu. — Choroba. — Szpital, tyfus i grabarze hiszpańscy. — Wyzdrowienie i powrót do obozu. — Noc spędzona w przekopie. — Marszałek Lannes. — Ognisko markietanki. | 32 |
| IV. Szturm w d. 27 stycznia. — Casa Gonzalès. — Walka na ulicach. — Lacoste i Rogniat. — Klasztor świętej Moniki. — Szturm do Cosso. — Kapitan Ball. — Dzień 18 lutego | 39 |
| V. Poddanie się miasta. — Rabunek. — Wycieczka na miasto. — Matka Boska del Pilar. — | |

| | | |
|--------|---|-----|
| | Calle de Toledo. — Refektarz w klasztorze św. Józefa | 49 |
| VI. | Sylwetki wojskowe: Lannes, Junot, Laval. Habert. — Msza wojskowa w kościele del Pilar. — Wyjazd Palafoxa. — Uwagi | 52 |
| VII. | El Burgo i koty. — Gwadelupa. — Egzekucja. — Alcaniz. — Morison i jego zamek. — Tragiczny koniec alkalda-melomana. — Zaimprovizowana artyleria. — Gorąca utarczka i zimna kąpiel. — Raport kapitana Solnickiego. | 58 |
| VIII. | Barbastro. — Placówki. — Pochód przez dolinę rzeki Cinca. — Mądre, lecz bezskuteczne rady przewoźnika. — Nieszczęśliwa przeprawa przez rzekę. — Rozpacz Haberta. — Porażka przedniej straży. | 65 |
| IX. | Gallego. — Perdiguera. — Odwiedziny nowego dowódcy korpusu. — Obiad u kanonika. — Kazanie pod kościołem. — M. B. de Piar. — Porucznik Ratkowski. — Bitwy pod Maria i Belchite. | 69 |
| X. | Pobyty w Belchite. — Gospodarz i gospodyni odrębnego usposobienia. — Zdobywanie klasztoru Matki Boskiej w Aquila. — Podziemie w Daroca. — Podminowany zamek: cudowne uniknięcie mimowolnego wniebowzięcia. — Zajęcie Almunii i Calatayud. — Awanturka przejażdżka | 77 |
| XI. | Pobyty w Calatayud. — Dekoracje. — Zaskoczenie posterunku francuskiego. — La puerta San Martin. — Powrót do Calatayud. — Posyłka adjutanta. | 83 |
| XII. | La Monjita Miguela. — Osobliwa egzekucja. — Przygoda dwóch lekarzy | 87 |
| XIII. | Monjita z Calatayud. | 91 |
| XIV. | Monjita z Calatayud (dokończenie). | 96 |
| XV. | Bitwa pod Ojos-Negros. — Kirasyer. — Zdobywanie klasztoru w Tremedal. — Koniec Idylli. | 103 |
| XVI. | Muły hiszpańskie. — Pobyty w dolinie Xilosa. — Tragi. — Przygoda zakochanego doktora. — Pojedynek na żarty i pojedynek na seryo. — Spacer sankami w Hiszpanii | 112 |
| XVII. | Działanie wojenne w dolinie Guadalaviaru: — Dziwna, lecz prawdziwa historia o oficerze wizjonerze | 118 |
| XVIII. | Bitwa pod Vilem (16-go lutego 1810 r.). — Przewożą mnie do Teruelu. — Odwiedziny generała głównodowodzącego. — Order. | 121 |
| XIX. | Świetna obrona i szczęśliwe wyzwolenie załogi Teruelu. — Pułkownik Plicque i kapitan inżynierzy Lévistone. — Wygląd Teruelu. — Jego wodociągi. — Targ | 126 |
| XX. | Znow gerylasowie. — Przygotowania do oblężenia Tortosy. — Pochód do tego miasta przez Morellę. — Niebezpieczny wąwóz. — Zejście do Huerty. — Przybycie do Tortosy. — Gorąca utarczka | 132 |
| XXI. | Oblężenie Tortosy. — Wycieczka 3-go lipca. — Moja misja do komendanta twierdzy. | 140 |
| XXII. | Przewiezienie chorego generała Laval. — Pochód do Burceyte i zrabowanie miasta. — Atak Hiszpanów po powrocie. — Pułkownik Pascal. — Oblężenie i poddanie się Tortosy. | 151 |
| XXIII. | Przeprawa przez Ebro pod Jertą. — Ponawiane szturmowanie. — Rozpoczęcie układów o poddanie twierdzy. — Zerwanie. — Energiczne zachowanie się generała Sucheta. — Chwiejne i niezdecydowane postępowanie hrabiego Alacha. — Poddanie się Tortosy, 2-go stycznia. — Przeprowadzenie jeńców do Francji. — Saragossa. — Pampeluna. — Bajonna. | 157 |